kolumna ajencyjna

- Benzynowy cyrk
- Spór o rynek
- Chłop płaci, a stonka żyje
- Bomba „A" dla ubogich
- Opowiadania SF

Łódź

Odgłosy

tygodnik społeczno-kulturalny

NUMER 19 (1272) ROK XXV 13 SIERPNIA 1982 ROKU CENA 20 ZŁ

Kazimierz nad Wisłą

Foto: Mirosław Zajdler

Grzegorz Kościński

Zejście do parteru

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

Kryzys, jaki przeżywamy i z którego chcemy wszelkimi siłami wyjść, skłania do szukania odpowiedzi o jego przyczyny i źródła. Skłania również do szukania sposobów wyjścia. W toczącej się dyskusji wiele mówi się o demokracji. Jaki ma być jej model i charakter w Polsce socjalistycznej, do jakich tradycji ma nawiązywać, na jakich wzorach opierać się, w jakim kierunku rozwijać? Wiele padło już na ten temat propozycji i uwag o wielkim ciężarze gatunkowym i wysokim stopniu teoretycznego uogólnienia, jak i również propozycji szczegółowych. Czasem jednak odnoszę takie wrażenie, że dyskusje toczą się jednym nurtem a poszukiwania praktycznych rozwiązań biegną drugim nurtem. Być może jest to pozostałość okresu, kiedy słowa różniły się od czynów i słuszne hasła oraz postulaty nie znajdowały pokrycia w praktyce. Stąd pewna ostrożność w stosunku do wszelkich teoretycznych rozważań. Ale przecież musimy być świadomi tego, że bez postępu w teorii nie dokonamy postępu w praktyce, a praktyka musi być podstawą wszelkich rozważań teoretycznych, jak też i ich sprawdzianem.

Za demokracją jesteśmy w zasadzie wszyscy, choć ten i ów wolałby ją odłożyć na później, skłaniając się w praktyce bardziej ku działaniom autokratycznym, ale w deklaracjach nikt nie przeczy potrzebie rozwijania demokracji socjalistycznej. Zresztą od dawna. Rzecz jednak nie tyle w deklaracjach, co w działaniu W tym, aby to działanie, poszukiwania rozwiązań opierać na rezultatach teoretycznych uogólnień. Stąd moja propozycja *zejścia do parteru*, czyli spojrzenia na konkretne problemy działania demokracji w świetle teoretycznych rozważań. Powodem do takiej propozycji jest praca rad narodowych. Przykładem: niedawne obrady Egzekutywy KŁ PZPR, podczas których zastanawiano się nad sposobami umacniania i doskonalenia roli rad narodowych oraz miejscem w pracy rad narodowych partyjnych zespołów radnych.

3

A czy przypadkiem nie ma nieśmiertelnej
brzozy wszystkich brzóz?

A. Hercen

* * *

Jest nieśmiertelna brzoza wszystkich brzóz
Szczerbi się na niej i Ockhama brzytwa
Pamięć ocala nikły płomyk jej
W nieustających pokoleń gonitwach

Wśród zgiełku ulic w betonowym cieniu
Gdzie hermetycznie zamyka się nas
Byty się mnożą w swoim nieistnieniu
W paradę coraz odleglejszych gwiazd

I dociekliwość nasza nie tak wielka
By przypominać wyostrzony nóż
Wciąż nieudolnie zagłębić się stara
W miąższ białej skóry brzozy wszystkich brzóz

luty 1982

W następnym numerze:

1. Koniński proces o pobicie Cyganów

2. Chińskie dylematy Henryka Sroczyńskiego

3. Ciekawostki obyczajowe z Paryża i Hong–Kongu

Przegląd prasy

Żniwa w Polsce centralnej mają się ku końcowi. Zainteresowanie opinii publicznej zbiorami jest w tym roku — co łatwo wytłumaczyć — większe niż kiedykolwiek. W „Polityce"

ŻNIWA U ROLNIKA INDYWIDUALNEGO

Jana Gniecieckiego z Dobrzyniówki, gdzie dawali pierwszą w Polsce ziemię z reformy rolnej. Autor reportażu, Witold Pawłowski, pokazuje żniwny rytuał w chłopskim gospodarstwie, złośliwie twierdząc, że „żniwa, jakie pokazują mieszczuchom wymyśliła telewizja. Wyścig, dramat przypominania, że idź w pole. Dobry rolnik sam wie o tym najlepiej..."

Bohater reportażu pt. „Rolnik teraz natężony" jest chłopem zamożnym. Mówi o sobie: „Ja nie przyzwyczajony zbierać na książeczkę". Co zarobił wkładał w maszyny. W ciągnik, w siewnik, wiązałkę, przewracałkę, roztrząsacz obornika, w orkana do zielonek.

Biedny biednieje, bogaty bogacieje. Ma produkcję, dostaje przydziałowe maszyny. I jeszcze szybciej idzie do przodu. Pieniądz rodzi pieniądz.

— *Tak, ja został milionerem* — mówi — *samego mleka odstawiam za milion, a policzyć maszyny po nowej cenie? Ja, syn chłopa małorolnego.*

Autor konkluduje: *Kryzys najmocniej łupnął średniaka, a nowe ceny na byle śrubkę zawirowały w głowie. Biedny i tak klepie biedę, więc niespecjalnie poczuł pogorszenie. Średniak był z opłacalnością produkcji nd styk i przeważnie korzystał z usług — teraz mało który się wyrobi. Bogaty znalazł się w strefie ochronnej. Ma swoje maszyny, produkuje taniej. Ten przestawia się na nowe ceny tak, że wszystko mnoży przez trzy, cztery: to co zarobi i to co musi wydać.*

Zapewne warto zwrócić uwagę na ten specyficznie wiejski efekt ogólnego kryzysu jakim jest rozwarstwienie wsi. Nie po raz pierwszy na wsi polskiej.

W tym kontekście szczególnie brzmi zdanie, wygłoszone przez czeskiego filmowca, a zanotowane przez Zygmunta Kałużyńskiego w korespondencji z Karlowych Warów (również w „Polityce"):

SYTUACJA W POLSCE JEST OBSERWOWANA

i wyciąga się z niej wnioski. Kluczowa jest polityka cen. Polacy w 1970 nie dopuścili do podwyżki cen mięsa, zresztą stosunkowo niewielkiej wówczas — i zamienili sprawę w skandal polityczny, co w konsekwencji doprowadziło do obecnej zapaści. Tymczasem w Czechosłowacji dokonano kilku podwyżek, bez zgrzytów i z korzystnym skutkiem gospodarczym. Inna rzecz, że podobna akcja u nas jest łatwa, bo mamy jednolitość systemu. W Polsce jej nie ma, nie jest to kraj socjalistyczny; gdy się słyszy obecnie, że socjalizm w Polsce się skompromitował, jest to niedorzeczność, bo jak mógł, skoro go nigdy nie było. Kraj, który ma trzy i pół miliona gospodarstw rolnych nie może być socjalistyczny. W Polsce działają sprzeczne struktury, które sobie wzajemnie przeszkadzają...

Kałużyński zręcznie dystansuje się od wypowiedzi owego Czecha: *„Powtarzam tu co zasłyszałem jako charakterystyczne, ale nie wiem, ile w tym słuszności".*

Z ostrożnością Kałużyńskiego kontrastuje mocno artykuł Artura Sandauera na sąsiedniej stronie tygodnika. Sandauer domaga się zdecydowanego przemodelowania mecenatu artystycznego w Polsce. Twierdzi, że awangarda powinna tworzyć swoje dzieła wyłącznie na własne ryzyko! *W tej sytuacji znaczna część środowiska musiałaby wówczas jąć się innego zawodu: kupowano by tylko towar najlepszy.*

Nosiciele poglądów skrajnie dogmatycznych bywają nazywani „betonami". W dyskusji nad emigracją wewnętrzną na łamach „Prawa i Życia" zadeklarował się jako beton-politolog Mieczysław Krajewski. Podejmując z nim polemikę Daniel Passent przeprowadza

NEGLIŻOWANIE BETONU

Krajewski wskazując błędy lewicy mówi m. in.: *„Gdyby władza się wyorała, to procesy społeczne potoczyłyby się inaczej. Nie wnikajmy już w to, że władza parę razy mogłaby się wyorać tak, jak komuniści chcieli, parę razy nie wykorzystała korzystnych dla siebie procesów, ale ja chcę brutalnie powiedzieć, nie znam wyborów, gdziekolwiek i kiedykolwiek, które by zawróciły procesy społeczne. Nie bagatelizuję oczywiście autentyczności wyborów, bo to jest zupełnie inna sprawa. Ale metodami wyborczymi nie można Polski wyciągnąć z kryzysu".*

Poglądom Krajewskiego przeciwstawia Passent fragment wypowiedzi innego politologa, Przemysława Wójcika z Instytutu Marksizmu-Leninizmu: *„jeżeli przez długi czas system, w którym działaliśmy, powodował ubezwłasnowolnienie szerokich rzesz społecznych, pozbawiał je wpływu na proces decyzyjny, a w ten sposób zdejmował z nich odpowiedzialność polityczną, to trudno się dziwić, że potem, kiedy wybucha kryzys, ludzie, którzy od tej odpowiedzialności politycznej byli odzwyczajeni, zachowują się w sposób nieodpowiedzialny, nierozsądny, niedojrzały".*

Negliżowanie betonu w tekście Passenta odbywa się w sposób elegancki, bez argumentów „ad personam" choć Passent nie omieszkał wypomnieć Krajewskiemu okresu pracy w Wydziale Prasy KC. Mieczysław Krajewski zajmował się wówczas m. in. „Polityką" i — być może — Passent ma z tego okresu niezbyt sympatyczne wspomnienia?

Ad personam atakowana jest natomiast felietonistka „Argumentów" Anna Błazucka. W felietonie pt. „Walka klasowa w łóżku" (sam tytuł zapewnia poczytność temu tekstowi), Błazucka tłumaczy jednemu ze swych czytelników dlaczego nie ma dzieci i zamiast zajmować się ich wychowywaniem pisuje felietony, które nie podobają się czytelnikowi. Otóż

BŁAZUCKA NIE MA DZIECI

nie dlatego, że nie lubi czy nie chce, ani nie jest np. feministką wojującą, tylko nie wyszła jeszcze za mąż, bowiem nie znalazł się osobnik płci męskiej o wystarczających zaletach ciała i ducha, z którym zechciałaby mieć dzieci. Wyobrazić sobie łatwo, że ew. przyszły małżonek felietonistki musi być osobnikiem w każdym calu znakomitym, bowiem o zaletach autorki wiemy już co nieco z poprzednich jej utworów.

Sądzę, że sprawa dojrzała już i redakcja „Argumentów" powinna wreszcie opublikować zdjęcie bądź nawet cały cykl zdjęć Anny Błazuckiej. Znam bowiem takich, co powątpiewają w istnienie ładnych żurnalistek w ogóle, na całym świecie! Nie śmiem domagać się aktu Błazuckiej, ale sądzę, że należy rozładować napiętą sytuację i zamieścić zdjęcie felietonistki na spacerze, na korcie tenisowym itp. Jeśli już jestem przy ilustracji prasowej to wbrew przyjętym obyczajom parę słów o graficznej stronie kilku tygodników, które akurat mam pod ręką.

NAJLEPSZY JEST KOBYLIŃSKI

na pierwszej stronie „Polityki". Jak zwykle głęboki i aluzyjny i nie podejmę się opisywać ani „recenzować" tego rysunku. Kto nie widział, stracił.

Rysunek z pierwszej strony „Rzeczywistości" mógłbym opisać ale po co, kiedy wcale nie jest śmieszny.

Jakość zdjęć i jakość druku w tygodnikach społeczno-kulturalnych plasuje się — jakby powiedzieli dziennikarze sportowi — daleko za światową czołówką. Niektóre zdjęcia to szare plamy i dalipan nie zgadniesz czy przedstawiają wybuch wulkanu czy też np. aktora Filipskiego w roli Piłsudskiego. Także niektóre teksty są wręcz nieczytelne. Najbardziej skandaliczną sprawą jest druk „Rzeczywistości". Poziom usług poligraficznych świadczonych „Rzeczywistości" przez drukarnię prasową w Kielcach wydaje się być jakimś nieuczciwym chwytem służącym zwalczaniu pisma...

Przypadkowo znam trochę kielecką drukarnię i wiem, że stać ją na coś więcej.

Bez samochwalstwa wyznać muszę, że na tle wielu tygodników wyróżniają się przyzwoitszym poziomem druku te, które powstają w łódzkiej drukarni, jak „Argumenty" i niniejsze pismo znajdujące się właśnie w rękach czytelnika.

Zupełnie inaczej rzecz ma się z tzw. tygodnikami kolorowymi, jak „Panorama" czy „Razem". Skoro zatem poświęciłem już kilkanaście słów stronie graficznej czasopism odnotuję jeszcze z satysfakcją, że w podorganie „Razem" noszącym tytuł „Osobno" dość dokładnie rozebrana szatynka jest naprawdę apetyczna...

W „Razem" zwraca też uwagę fotoreportaż Tomasza J. Gałązki pt. „Narodziny" i ciekawy artykuł o Państwowym Monopolu Loteryjnym.

„Przegląd Tygodniowy" zamieszcza wywiad z przeorem klasztoru na Jasnej Górze, ojcem Konstancjuszem Kunzem. Oto co ojciec Kunz mówi o wpływie klasztoru na sytuację społeczną Częstochowy: *„po 13 grudnia jest jednym z niewielu ważnych ośrodków przemysłowych, w którym nie było żadnych akcji protestacyjnych. Jest to spokojne miasto. Naprawdę widzę w tym wpływ naszego sanktuarium. Tu, na Jasnej Górze wszyscy czują się jak dzieci jednej matki niezależnie od wyznawanego światopoglądu. Nie wolno zapominać, że obok Wawelu jest to drugie miejsce w Polsce, gdzie skondensowana jest cała nasza przeszłość, ta odległa i ta najnowsza".*

Za książką Melchiora Królika „Przegląd Tygodniowy" publikuje listę sławnych osobistości, które odwiedziły Jasną Górę. Otóż był tu nawet

ADOLF HITLER INCOGNITO

Wymienia się wielu królów polskich, wielu wybitnych duchownych, wreszcie Pułaskiego, Józefa Poniatowskiego, a także trzech braci Kennedy. Dalej następują nazwiska Hindenburga, Hansa Franka, Heinricha Himmlera. Wreszcie Hitlera, który był na Jasnej Górze 11 sierpnia 1941 roku pod przybranym nazwiskiem!

„Przegląd" zajął się także egzaminami wstępnymi na warszawską ASP. Tym razem bez żartów i prześmiechów, do czego przyzwyczaili nas przez lata całe dziennikarze śledzący przebieg egzaminów wstępnych, żeby wyłowić co pikantniejsze pomyłki i inne głupstwa „palnięte" przez zdenerwowanych kandydatów na studia.

Cóż, samo podjęcie tematyki egzaminów wstępnych nie świadczy jeszcze o sezonie ogórkowym. A sezon jest, w tym roku, zapewne ze względu na nasze trudności płatnicze, potwora z Loch Ness zastąpiła na łamach prasy popołudniowej „paskuda" z Zalewu Zegrzyńskiego.

Tygodnik „Antena", zawsze czuły na punkcie poprawności językowej, ogłasza dyskusję pod hasłem:

RATUJMY JĘZYK POLSKI!

Pierwszy dyskutant, Juliusz Owidzki, atakuje ostro niektórych ludzi szczególnie „zasłużonych" w zachwaszczaniu polszczyzny w RTV:

„...czy na przykład zdajemy sobie sprawę, że kilku sprawozdawców sportowych ma większy wpływ na kształtowanie języka niż wszyscy uczeni od Nitscha do Doroszewskiego? Propagowanie w sposób ciągły i nienatrętny, przekonywający i stale kontrolowany, że wulgaryzowanie naszego języka, kaleczenie, zubożanie jest dowodem braku kultury i wykształcenia, wynikiem lenistwa i bezmyślności. Trzeba przekonać, że jest po prostu bezmyślnością powtarzanie pewnych słów i zwrotów tylko dlatego, że nimi posługuje się ktoś w telewizji. A w związku z tym trzeba wyrugować, bez względu na zasługi, nudnych i banalnych prelegentów, nieudolnych prezenterów i speszonych urzędników aż do rangi ministra (vide casus byłego min. Knapika).

Z drugiej strony warto uprzytomnić działaczom społecznym oraz decydentom gospodarczym i administracyjnym, że wystąpienie w telewizji nie zawsze jednoznacznie nobilituje. Tak nie jest, telewizja nie tylko przysparza popularności, ale i pogrąża często w opinii społecznej przez brak na przykład odpowiedniej formy wypowiedzi, nawet przy uznaniu treści..."

Dalej Owidzki proponuje:

A może by prezes Lorenc wydał okólnik zabraniający używać niezrozumiałych słów takich, jak konkretny (mieszkam w Warszawie, a konkretnie przy ulicy Hołupcowej), kształtować (ceny kształtują się) itd., itp.

Byłoby pięknie, gdyby można to załatwić jednym okólnikiem!

ANDRZEJ KAROLCZAK

Wyczyny emigracyjnej „Solidarności"

Tzw. „Biuro Informacyjne Solidarności" w Sztokholmie planuje uruchomienie „komputerowego banku danych o więźniach politycznych w Polsce". W sytuacji, kiedy ilość internowanych w Polsce (internowanych właśnie emigracyjna Solidarność nazywa więźniami politycznymi), systematycznie maleje, awanturniczy działacze Solidarności starają się wywołać w opinii publicznej Szwecji wrażenie, że w więzieniach polskich przebywają takie ilości więźniów politycznych, że do ich ewidencjonowania trzeba angażować kumputer.

Na południu Szwecji działa także inna organizacja emigracyjna „Komitet Pomocy Solidarności", współpracująca z „Biurem Informacyjnym". Szef tego Biura Stefan Trzciński w publicznych wystąpieniach nakłania ludność Szwecji i działające w tym kraju organizacje charytatywne aby ... nie wysyłały lekarstw, artykułów higienicznych i odżywek dla dzieci w Polsce, ponieważ ... „zagarnia je wojsko"! Trzciński „wygryzł" niedawno z funkcji szefa Biura Informacyjnego innego działacza emigracyjnego, Jakuba Święcickiego. Odbyło się to w atmosferze awantur i pyskówek, co skrzętnie odnotowały szwedzkie gazety i RTV. Jakub Święcicki propagował w Szwecji sankcje gospodarcze w stosunku do Polski i ZSRR i próbował inspirować szwedzkie środki masowego komunikowania do rozwijania kampanii antypolskiej.

Ruchliwość i aktywność Święcickiego uległa znacznemu wyciszeniu po oświadczeniu szwedzkiego działacza związkowego, Thorbjoerna Carlssona, który zarzucił Święcickiemu, że jest on finansowany przez Amerykanów.

Rzecznik wspomnianego Komitetu Pomocy Solidarności, Józef Lebenbaum specjalizuje się w straszeniu władz szwedzkich i opinii publicznej tego kraju konsekwencjami, jakie dla Szwecji może mieć polityka władz polskich. Twierdzi on, że w Polsce jest już blisko 800 tys. bezrobotnych, a dyskryminacyjna polityka władz prowadzi do emigracji ok. 100 tys. Polaków. Masowa emigracja polityczna z Polski stanowi — zdaniem J. Lebenbauma — zagrożenie interesów ekonomicznych krajów sąsiednich, do których skieruje się fala emigrantów.

Swoisty rekord w rozpowszechnianiu bzdurnych informacji pobił rzecznik biura Solidarności w Bremie (RFN), który oświadczył w wywiadzie radiowym, że w południowej części Polski działają liczne, uzbrojone grupy „partyzantów" podejmujące działania bojowe, akcje sabotażowe i wykonujące wyroki podziemnych sądów.

Tymczasem hałaśliwa działalność agend „Solidarności" w Szwajcarii coraz częściej spotyka się z dezaprobatą i wręcz zniecierpliwieniem Szwajcarów. Komentatorzy miejscowej prasy zwracają uwagę, że grupa działaczy Solidarności kurczy się i jest coraz bardziej ostentacyjnie izolowana w społeczeństwie szwajcarskim, a nawet w środowisku miejscowej Polonii. Z dezaprobatą spotykają się takie działania Solidarności jak deklaracja przeciw rozwijaniu przez Caritas akcji pomocy humanitarnej dla Polski.

Poważne zaniepokojenie i oburzenie budzi także rosnące współdziałanie emigracyjnej ekstremy z miejscowymi organizacjami terrorystycznymi o zabarwieniu trockistowskim.

Artykuł w umiarkowanej „Neue Zuercher Zeitung" nosi znamienny tytuł: „Solidarność" nadużywana i odchodząca w mrok"...

Polski węgiel wraca na rynek austriacki

Jeszcze niedawno — kilkanaście, a nawet kilka miesięcy temu — nie brakło w Austrii gorzkich słów krytyki wobec nie wywiązujących się z umów Polaków. Sam kanclerz Bruno Kreisky apelował do naszych robotników o polski węgiel potrzebny robotnikom austriackim.

W 1979 r. Polska dostarczyła Austrii nieco ponad milion ton węgla. W 1980 — niecały milion, a w roku ubiegłym tylko 547 tysięcy ton. Austria musiała szukać innych dostawców, na czym skorzystały przede wszystkim Stany Zjednoczone. Rok bieżący przynosi radykalną poprawę. Równolegle z wzrastającym wydobyciem węgla w Polsce podjęto działania, aby docierał on do kontrahentów austriackich w odpowiednich ilościach. W pierwszym półroczu br. wyeksportowano do Austrii 440 tysięcy ton węgla, a w całym roku, zgodnie z zawartymi umowami, wywóz ma wynieść 1,05 mln ton.

Na rynku austriackim ceni się nasz węgiel za wysoką jakość, zwłaszcza za rekordowo niską zawartość siarki, co ma niebagatelne znaczenie dla ochrony środowiska naturalnego.

Jeśli Polska ma zwrócić dług Zachodowi — pisze zachodnioniemiecki tygodnik „Die Zeit" — to musi eksportować węgiel, którego ma pod dostatkiem. Po odroczeniu o 5 lub 10 lat terminu płatności długów Zachód umożliwiłby Polsce modernizację górnictwa poprzez nowe kredyty. Gdyby doszło do takiego porozumienia to zachodni bankierzy powinni — zdaniem „Die Zeit" — przyznać Polsce nowe kredyty.

Listy do Redakcji

Zawiadamiam Szanowną Redakcję, iż autorem wiersza **„Dialog nad pierwszą stroną albumu"** jest nie Edward **Połczyński**, a Edward **Pałczyński**.

Proszę uprzejmie o sprostowanie, gdyż nie mogę wytłumaczyć moim znajomym, że ten facet piszący się przez „o" to jestem ja piszący się przez „a".

Z poważaniem
Edward Pałczyński

Prostujemy niniejszym, gorąco przepraszając Autora i Czytelników.

REDAKCJA

CHZ „Ars Polona", we współdziałaniu z Narodowym Bankiem Polskim, podpisała kontrakt ze znaną firmą numizmatyczną ITALCAMBIO CA z siedzibą w Caracas dotyczący sprzedaży praw do bicia i rozpowszechniania na rynkach światowych srebrnych i złotych monet polskich z wizerunkiem papieża Jana Pawła. Monety będą bite w Szwajcarii.

N/z.: awers i rewers monety. (der)

CAF — T. Zagoździński

Redaguje zespół **Ryszard Binkowski, Dariusz Dorożyński, Eugeniusz Iwanicki** (z-ca sekretarza redakcji), **Teresa Jerzykowska, Andrzej Karolczak** (sekretarz redakcji), **Jerzy Kwieciński, Bogda Madej, Andrzej Makowiecki, Grażyna Olechnowicz** (redaktor techniczny), **Jerzy Panasewicz** (z-ca redaktora naczelnego), **Igor Sikirycki** (kier. działu literackiego), **Karol J. Stryjski, Janusz Szymański, Glanc** (grafik), **Łucjusz Wołkowski** (redaktor naczelny), **Jolanta Wrońska, Mirosław Zajdler** (fotoreporter)

Stale współpracują: **Tadeusz Błażejewski, Krzysztof Drzewiecki, Grzegorz Gazda, Witold Kasperkiewicz, Włodzimierz Krzemiński, Krystyna Namysłowska, Ewa Pankiewicz, Henryk Sroczyński, Jerzy Wilmański.**

Tygodnik społeczno-kulturalny „Odgłosy" al. A. Mickiewicza 11, kod 90-438, Łódź. Telefony sekretariat i redaktor naczelny 652-44, sekretarz redakcji 680-99, publicyści 677-70. Redakcja nie zamówionych rękopisów nie zwraca, zastrzega sobie również prawo do skrótów informacji o warunkach prenumeraty udzielają oddziały RSW „Prasa — Książka — Ruch" i urzędy pocztowe. Cena prenumeraty rocznej 1040 zł. Prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granice przyjmuje RSW „Prasa — Książka — Ruch" Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw 00-958 Warszawa ul. Towarowa 28, konto NBP XV oddział w Warszawie nr 1153 201045 139. Prenumerata ta jest droższa od prenumeraty krajowej o 50 proc. Dla zleceniodawców indywidualnych i o 100 proc. dla zlecających instytucji i zakładów pracy. Wydawca: Robotnicza Spółdzielnia Wydawnicza „Prasa — Książka — Ruch", Łódzkie Wydawnictwo Prasowe. Adres: ul. Piotrkowska 96, kod 90-103, Łódź. Druk: Prasowe Zakłady Graficzne RSW w Łodzi, ul. Armii Czerwonej 28. Nr indeksu 36762. Zam. 1551. F-11.

Zejście do parteru

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

Dokończenie ze strony 1

W MIEJSKIM WOJEWÓDZTWIE ŁÓDZKIM działają 22 rady narodowe: Rada Narodowa Miasta Łodzi, 5 dzielnicowych rad narodowych, 5 miejskich, 2 rady narodowe miasta i gminy oraz 9 gminnych rad narodowych. Zasiada w nich 1340 radnych, w tym 749 członków PZPR. Obecnie funkcje przewodniczących rad narodowych pełni 13 członków PZPR, 6 członków ZSL, 1 członek SD i jeden bezpartyjny.

W Radzie Narodowej Miasta Łodzi zasiada 180 radnych, w tym 87 członków PZPR, 17 członków ZSL, 17 członków SD i 59 bezpartyjnych.

To zestawienie ma jednak charakter formalny i nie oddaje w pełni sytuacji. Radni działają w komisjach, zespołach, pełnią dyżury. Na przykład w ostatnich kilku miesiącach w czasie tych dyżurów na ręce radnych wpłynęło 159 wniosków, skarg i interwencji, dotyczących przede wszystkim spraw warunków życia mieszkańców województwa, ale były to w większości sprawy indywidualne zgłaszających się na dyżury. Nie odbywają się natomiast spotkania radnych z wyborcami. Przestały również funkcjonować — spełniające swego czasu pozytywną rolę — zakładowe zespoły radnych. Była to forma stałego kontaktu radnych robotników z ich załogami.

Nie mając stałego kontaktu z wyborcami rada narodowa nie może sprawnie funkcjonować, gdyż nie jest w stanie wypełniać swego konstytucyjnego obowiązku: „wyrażać wolę ludu pracującego oraz rozwijać jego inicjatywę twórczą", nie jest też w stanie „umacniać więzi władzy państwowej z ludem pracującym miast i wsi, przyciągać coraz szersze rzesze ludzi pracy do udziału w rządzeniu państwem".

POWODEM TEGO — można byłoby powiedzieć — jest kryzys, jaki obecnie przeżywamy. Czyli ogólny kryzys jest przyczyną spadku aktywności rad narodowych. Byłoby to jednak postawieniem problemu na głowie. Spadek aktywności rad narodowych, zerwanie więzi z wyborcami, jest tego kryzysu objawem, ale i przyczyną. Jedną z wielu oczywiście.

Jeśli za podstawową przyczynę kryzysu uznamy sprzeczność —ciągle nie przezwyciężoną — między siłami wytwórczymi a stosunkami produkcji, to w szczegółowym jej rozpatrywaniu trzeba dostrzec sprzeczność między przestarzałym sposobem sprawowania władzy a wykształconymi możliwościami i aspiracjami ludzi pracy. Funkcjonowanie rad narodowych było do tej pory sposobem sprawowania władzy „w imieniu ludu". Obecnie dojrzały warunki do tego, aby udział ludu w sprawowaniu **władzy był odpowiedni** do jego możliwości i potrzeb.

Mariusz Gulczyński w 9 numerze „Tu i Teraz" w artykule „Jaka demokracja?" stwierdza, że *„każdy z dotychczasowych wariantów demokratyzacji w Polsce Ludowej miał w istocie charakter ludowładztwa per procura — sprawowanego za pośrednictwem zawodowych polityków i administratorów komasujących gros wszelkich funkcji władczych z przedstawicielskimi włącznie"*. Politycy ci mieli na ogół nienaganny rodowód klasowy, ale też i na tym cała rzecz się kończyła. Chodziło natomiast nie tyle o rodowód, ile o stałą więź z masami pracującymi, aby przedstawiciele władzy sprawujący ją w interesie klasy panującej i klasy sojuszniczej nie wyobcowali się, nie sprawowali władzy „w imieniu", ale zgodnie z wolą klasy i jej interesem.

Warto może uświadomić sobie, jak w odczuciu ludzi kształtowała się hierarchia władzy terenowej. I sekretarz, naczelnik i gdzieś daleko rada. Przy czym I sekretarz — zgodnie z modelem ukształtowanym przed sierpniem 1980 roku — był jednocześnie przewodniczącym rady narodowej. W tym układzie unii personalnej znaczenie rady jeszcze bardziej się rozmywało. O radnym mówiło się często, że jest... bezradnym. Ale i dobór radnych — na których się głosowało, a których się nie wybierało — też był taki, aby zgadzał się z kluczem, a nie reprezentował interesy swoich wyborców. Jeśli nawet radny dobrze wywiązywał się ze swoich obowiązków przedstawicielskich, pracował ofiarnie i z pożytkiem w komisji, zgłaszał uwagi i interpelacje, to nie docierało to na ogół do społecznej świadomości. Interwencje u radnego też najczęściej kończyły się zanotowaniem sprawy i obietnicą zajęcia się nią. Ze skutkami bywało różnie. Bywali i są tacy radni, którzy przez całą kadencję statystują, głosu nie zabierają. Tyle, że są obecni.

NA RADY NARODOWE trzeba dziś spojrzeć inaczej. Nie tylko dlatego, że dyskutowany był projekt ustawy o radach narodowych. Ale przede wszystkim dlatego, że czekają nas nowe wybory do rad narodowych. Niezależnie od tego, kiedy one się odbędą, już dziś trzeba zacząć o tych wyborach myśleć. Trzeba się do nich przygotować, bo nie ulega wątpliwości, że również przygotowuje się przeciwnik polityczny. Trzeba więc problem pracy rad narodowych widzieć zarówno w płaszczyźnie politycznej, jak i społecznej — to znaczy reprezentacji klas i warstw społecznych. Nie ulega bowiem wątpliwości, że obserwujemy dziś głębokie rozwarstwienie w tradycyjnym podziale klasowym.

Mariusz Gulczyński w cytowanym artykule z „Tu i Teraz" proponuje takie rozróżnienie: *„do klasy robotniczej trzeba zaliczyć współcześnie wszystkich bezpośrednio produkcyjnych pracowników, niezależnie od wykształcenia"*. Jego zdaniem inżynier czy technik sterujący skomplikowaną maszyną czy całym ciągiem maszyn jest robotnikiem. Natomiast majster, brygadzista, którzy sterują nie maszynami a zespołami ludzi, podobnie jak dyrektorzy, wojewodowie, pracownicy różnych szczebli aparatu administracyjnego powinni należeć do *„warstwy kierowniczej"*. Zdaniem Mariusza Gulczyńskiego *„istnienie tego typu warstwy kierowniczej jest naturalnym zjawiskiem we współczesnym społeczeństwie, przynależność do niej nie poniża ani nie wywyższa nikogo samo przez się"*. Raczej przemilczenie jest szkodliwe, rodzi bowiem różne pseudo teorie o „czerwonej burżuazji", „nowej klasie wyzyskiwaczy". Nie pozwala też na właściwe umiejscowienie w społecznej strukturze tych grup inteligencji, które *„ze względu na charakter pracy bezpośrednio usługowej, poziom warunków bytowych, stopień wpływu na ośrodki władzy"*, jak na przykład nauczyciele czy lekarze, bliższe są robotnikom. I Mariusz Gulczyński proponuje, aby umownie nazwać ją *„proletariatem inteligenckim"* Również na wsi dokonało się głębokie rozwarstwienie. Klasę chłopską próbuje dzielić na *„proletariat chłopski"*, do której zaliczyłby rolników prowadzących samodzielnie gospodarstwa rodzinne oraz drobną i średnią burżuazję. Z tym, że ta dzieliłaby się na miejską i wiejską.

Można mieć do próby takiego podziału na klasy i warstwy takie czy inne zastrzeżenia. Nie o to mi chodzi. Sygnalizując potrzebę wnikliwej analizy struktury społecznej w Polsce, chce zwrócić uwagę na konieczność spojrzenia na problem przedstawicielstwa w radach narodowych. Funkcjonujący do tej pory klucz — a więc tylu robotników, chłopów, kobiet, młodzieży i tak dalej — musi być zastąpiony reprezentacją klas i warstw uwidocznioną w reprezentacji organizacji i stowarzyszeń. Sądzę, że warto zapamiętać doświadczenia z kampanii wyborczej przed IX Nadzwyczajnym Zjazdem PZPR, kiedy to dokonywał się samorzutnie proces przywracania robotniczego charakteru partii, co uwidoczniło się w wyborach do Komitetu Centralnego PZPR.

SPRAWOWANIE WŁADZY przez „zawodowych polityków" gwarantuje rutynę i doświadczenie, ale grozi oderwaniem się od mas. Przywrócenie właściwego charakteru klasowo-warstwowego organom przedstawicielskim zmusza do intensywnej pracy organizacji politycznych i społecznych z ich przedstawicielami, a także do systematycznej i wnikliwej kontroli ich działalności. Jeśli w dużej fabryce jest kilku radnych i tworzą oni zespół radnych, to załoga ma możliwość nie tylko oddziaływania przez nich na pracę rad, w których zasiadają i pracują, ale również możliwość kontrolowania ich pracy. Podobne organizacje delegujące swoich przedstawicieli jako kandydatów na radnych w wyborach do rad narodowych muszą mieć systematyczną możliwość kontrolowania ich po wyborach — jeśli zostaną wybrani — tak samo jak i wyborcy.

Taką funkcję kontrolną muszą wypełniać w stosunku do radnych członków PZPR ich macierzyste organizacje partyjne, jak i instancje partyjne na tym terenie, na którym działają radni. Statut PZPR daje prawo organizacjom partyjnym do *„oceny postaw swoich członków w tym także pełniących z ich rekomendacji funkcje w komitetach partyjnych, organach władzy państwowej i organizacjach społecznych oraz zajmujących stanowiska w administracji państwowej i gospodarczej,* a także do *„domagania się odwołania z pełnionej funkcji członka swej organizacji, który został przez nią rekomendowany"*. Również Statut PZPR jest podstawą do tworzenia zespołów partyjnych w radach narodowych. *„Zadaniem zespołów* — stwierdza Statut — *jest zapewnienie zgodności działań z programem i polityką partii, kształtowanie demokratycznego charakteru pracy danego organu przedstawicielskiego lub społecznego, pobudzanie jego inicjatywy i samorządności, rozwijanie aktywności w walce z biurokratyzmem, znieczulicą i samozadowoleniem"*.

Organizacje partyjne nie wypełniają obecnie swoich funkcji kontrolnych, nie oceniają postawy i pracy radnych, nie proszą ich o relację z ich działalności w radach narodowych. Istnieje pilna potrzeba odbudowy tej funkcji kontrolnej w tych organizacjach, których członkami są radni. Również instancje partyjne muszą poczuwać się do większej kontroli i współpracy z radnymi. I to już teraz, aby nauczyć się takiego działania również i na przyszłość.

Sądzę, że również terenowe organizacje partyjne, które są najbliższe spraw związanych z miejscem zamieszkania, a więc mają pełniejsze rozeznanie w sprawach osiedli, rejonów, dzielnic, wsi i miasteczek, powinny nawiązywać i utrzymywać stały kontakt z radnymi, służyć im pomocą i sprawować kontrolę nad ich pracą.

Natomiast zespoły radnych partyjnych nie mogą być w żadnym wypadku tylko instytucjami formalnymi. Ich zadaniem — zgodnie ze Statutem PZPR — jest realizacja polityki partii w określonych warunkach działania danej rady narodowej. Prawidłowa działalność zespołu radnych partyjnych staje się konkretną formą realizacji kierowniczej roli PZPR. Praktyka spełniania tej roli poprzez połączenie funkcji I sekretarza komitetu partyjnego z funkcją przewodniczącego rady narodowej nie zdała egzaminu, gdyż było to tylko formalne spełnianie tej roli,biurokratyczne, i zostało odrzucone przez VI Plenum KC PZPR.

WYPEŁNIANIE KIEROWNICZEJ ROLI PARTII w radach narodowych będzie mogło być wtedy, jeśli zespół partyjny radnych w swojej pracy będzie się kierował zasadą centralizmu demokratycznego. Po pierwsze — niezbędny jest między tym zespołem a instancją partyjną, organizacjami partyjnymi, wyborcami, innymi organizacjami i wyborcami nieprzerwany przepływ informacji. Zespół powinien dysponować wszelkimi niezbędnymi mu informacjami oraz pełną wiedzą o polityce partii, jej taktyce i strategii oraz o terenie, na którym działa. Po drugie — członkowie zespołu nie mogą — jak to się obecnie niestety zdarza — reprezentować tylko siebie, ale przede wszystkim program i politykę partii. Aby to było możliwe muszą wnikliwie przedyskutować dostatecznie wcześnie problem, jaki staje na sesji, albo jaki będzie przedmiotem obrad komisji, ustalić swoje stanowisko i konsekwentnie go bronić. Mniejszość, jeśli ma w danej sprawie odmienne zdanie musi podporządkować się większości, aby móc zgodnie występować na sesji rady narodowej bądź w komisji. Ta zasada nie wyklucza różnicy zdań, dyskusji i ostrych nawet polemik na posiedzeniu zespołu, ale wyklucza różnicę zdań na posiedzeniu rady narodowej między członkami zespołu. Trzeba umieć bronić swoich racji, jeśli się jest przekonanym o ich słuszności i posiada do tej obrony argumenty, a także umieć bronić racji partii na posiedzeniach rady narodowej lub komisji. Jest to podstawowe wymaganie centralizmu demokratycznego, bez tego nie ma jednolitego działania zgodnego z programem partii, a tylko polityka grup czy poszczególnych ludzi.

Tylko tak działający zespół radnych partyjnych może stać się rzeczywistym partnerem we współdziałaniu stronnictw politycznych: ZSL i SD oraz bezpartyjnych. A to współdziałanie ma nie tylko znaczenie dziś, kiedy budujemy platformę porozumienia narodowego, ale i w przyszłości, kiedy w imię tego porozumienia i współdziałania partii i stronnictw politycznych będziemy przygotowywali się do wyborów. I choć wydają się one jeszcze odległe w czasie, to doskonaląc pracę radnych i rad narodowych dziś, odbudowując więź z masami pracującymi, uczymy się też myśleć i działać w niedalekiej już przyszłości. ■

Do redaktora naczelnego „Odgłosów" list rozterki pełen...

Kolejną polemiczną wypowiedź Ryszarda Kaźmieraka na temat mojego eseju „Myśl polityczna Józefa Piłsudskiego", zamieszczoną w „Odgłosach" nr 14 z 9 lipca 1982 roku, przeczytałem uważnie i — co tu dużo mówić — w brodę sobie pluć zacząłem, bom nieopatrznie zobowiązał się, że na tym koniec.

Słowo się rzekło... ale po tym, czym mnie R. Kaźmierak uraczył, pomyślałem sobie, iż gdybym podjął polemikę, zaprotestowałbym przeciw stwierdzeniu, że obrzuciłem go epitetami.

Epitetami raczej mnie obrzucono, ale żeby to tylko były epitety! Sięga R. Kaźmierak do argumentów najcięższego kalibru: **„Ze zdziwieniem odnotowałem** — stwierdza — **że swą tezę o „oficjalnym zapomnieniu" Piłsudskiego wspierał** (niby ja! — ZJM) **autorytetem człowieka, który nie ukrywa, że jest antykomunistą"**. Jeżeli nieco dalej pisze R. Kaźmierak: **„Drogi Towarzyszu! (Bo jest nim wszak Z. J. Michalski)"** — intencje stają się wymowne.

Gdybym pisał polemiczny artykuł, nie pozostawiłbym na uboczu **sprawy „dwóch niezbyt spójnych okresów w życiu Piłsudskiego"**. Nie zgadza się z taką moją oceną R. Kaźmierak i oczywiście wie, skąd się ona wzięła. **„Wymyśliłj** — powiada — **ten kolejny mit apologeci Piłsudskiego"**. Czytałem i nie wierzyłem oczom. Przecież dla apologetów Piłsudskiego okres dyktatury był równie piękny i bezdyskusyjny, jak okres walki niepodległościowej. Dla apologetów Piłsudskiego nie było w jego życiu żadnych ciemnych stron, żadnych błędów.

Gdybym podjął polemikę, zaprotestowałbym także stanowczo przeciwko twierdzeniu R. Kaźmieraka, że starałem się Go ośmieszyć lub skompromitować, porównując z „panazagłobowymi bohaterami".

Drogi Panie Sędzio! (bo jest nim wszak R. Kaźmierak). Ani tak nie napisałem, ani mi nawet to do głowy nie przyszło! Panazagłobowe powiedzenie „polityczny z waści kawaler" proponowałem w tym przypadku jako naciągane zresztą, uzasadnienie łączenia związków małżeńskich Piłsudskiego z jego myślą polityczną. Określenie dotyczyło więc J. Piłsudskiego, a nie R. Kaźmieraka, a to różnica.

Nie pisząc, niestety, polemiki, nie będę mógł obalić ciekawego rozumowania R. Kaźmieraka. Pisze on: **„Skoro tak dobrze zna Z. J. Michalski te programy i podręczniki, to chyba miał jakiś wpływ na ich treść i kształt"**.

Znam dobrze wiele spraw, na których treść i kształt nie miałem najmniejszego wpływu. A po drugie — i to jest już poważniejsza sprawa — proszę się, Drogi Towarzyszu (bo jest nim wszak R. Kaźmierak) na coś zdecydować. W tej samej wypowiedzi raz spotykam się z zarzutem duchowych związków z antykomunistami, a drugi raz z równie poważnie traktowanym zarzutem poglądów lewackich. Aut — aut...

Gdybym podjął polemikę, zarzuciłbym R. Kaźmierakowi, że stosuje znaną metodę przypisywania przeciwnikowi (oczywiście przeciwnikowi w rozważanej sprawie) tego czego on nie powiedział i obalania jego rzekomych poglądów. Pisze bowiem R. Kaźmierak, że ocenia hasło walki zbrojnej w ostatnim ćwierćwieczu XIX wieku jako awanturnicze. I ma rację. Rzucenie hasła i wywołanie kolejnego zrywu zbrojnego zakończyłoby się wówczas kolejną tragedią narodową. Tylko, że skąd się wzięło to hasło walki zbrojnej? Ja w swoim eseju pisałem jedynie o wychowywaniu młodego pokolenia w duchu powstańczych tradycji, ze świadomością, że kiedyś nadejdzie czas sposobny i nie powinien zastać społeczeństwa nieprzygotowanym. (...)

Nie podejmując polemiki, nie będę także pisał, że jak mi się wydaje, obaj z R. Kaźmierakiem doszukujemy się rodowodu swoich poglądów na osobę J. Piłsudskiego. R. Kaźmierak sprawę określił dosyć jasno, wskazując na reakcyjne (ba, antykomunistyczne!), a zbieżne z moimi oceny.

Ja będę ostrożniejszy. I to nie tylko dlatego, że z prawnikiem (wszak jest nim R. Kaźmierak) mam do czynienia. Ale chciałbym zwrócić uwagę na to, że w swej ostatniej wypowiedzi pisze R. Kaźmierak, co następuje: **„Roman Dmowski już w 1903 roku pisał: „W gruncie rzeczy to pan Piłsudski socjalistą nie jest"**. A nieco dalej stwierdza: **„Stosunek Piłsudskiego do gen. gen. J. Hallera i W. Sikorskiego w niepodległej Polsce to odrębna sprawa"**.

Czyżby tu miał być przysłowiowy pies pogrzebany? Przy wszystkich zasługach gen. Hallera, stał on w początkach Polski Odrodzonej na skrajnie prawicowych pozycjach. To on przemawiał do rozwydrzonego tłumu otumanionej młodzieży i społecznego marginesu w dniach wyboru prezydenta Narutowicza, mówiąc, że tego prezydenta narzucają Polsce obce i wrogie narodowości. Piłsudski tę zbrodnię potępił z całą mocą, podał to zresztą jako powód usunięcia się z życia publicznego.

I myślę — warto uświadomić sobie, że Piłsudskiego oceniano negatywnie z biegunowo różnych pozycji. Ocenia go negatywnie — i słusznie — za jego działalność w Polsce Odrodzonej ludzie lewicy społecznej, ale oceniała go negatywnie, ze swojego punktu widzenia, i skrajna prawica — przede wszystkim Narodowa Demokracja. Przyganiał kocioł garnkowi — o tym ludowym porzekadle pamiętając, nie powoływałbym się na opinie Dmowskiego i Hallera. (...)

W poglądach na osobę Piłsudskiego jest między mną a R. Kaźmierakiem przepaść nie do pokonania. Dla R. Kaźmieraka Józef Piłsudski to szpieg austriacki i oszust polityczny, dla mnie — człowiek wprawdzie klasowo nam obcy, ale bojownik o niepodległość i mąż stanu. Gdybym pisał artykuł polemiczny, podjąłbym na koniec problem metodologicznej natury — klasowej oceny ludzi, faktów i zjawisk politycznych. (...).

Zwróciłbym też uwagę, że według R. Kaźmieraka **„Rozwój sytuacji politycznej w Europie uświadomił wreszcie Piłsudskiemu, że przegrał, że zwyciężyła koncepcja polskich socjaldemokratów, którzy głosili hasło wspólnej, solidarnej walki polskiego i rosyjskiego ludu przeciwko caratowi, jako wspólnemu ciemiężcy, a którą on „socjalista", zwalczał"**.

Wiele w tym prawdy, ale jest to problem bardziej złożony. Właśnie teraz, w setną rocznicę polskiego ruchu robotniczego, nie można zawężać jego tradycji z przełomu XIX i XX wieku wyłącznie do rewolucyjnej działalności socjaldemokratów. To przecież polski ruch socjalistyczny, w jednym ze swoich nurtów, jako jedyny wtedy, podniósł kwestię niepodległości i wpisał się do swego programu. Myślę o ludziach skupionych wokół Bolesława Limanowskiego i o uchwalonym w 1892 roku „Szkicu Programu PPS". Z tym nurtem związał się Józef Piłsudski.

A socjaldemokracja? Byli niewątpliwie najbardziej rewolucyjną partią polskiego proletariatu. Wnieśli do skarbnicy polskiego ruchu robotniczego wartości internacjonalistyczne i radykalizm w walce o prawa ludu. Ale przez długi czas pomijali sprawę niepodległości, uważając, że jedynym celem jest rewolucja, a jej zwycięstwo doprowadzi także do niepodległości jako logicznego rewolucji następstwa. Nie do końca mieli rację. Zwracał na to uwagę także Włodzimierz Lenin.

I to by już było wszystko. Gdyby zdecydował się Pan, Panie Redaktorze, zamieścić ten list, to nie aspirując do strony tytułowej, o jedno pięknie proszę: byle nie petitem ani nonparelem, bo ludzie, którzy jeszcze wiedzą, często już niedowidzą.

Wyrazy szacunku łączę

ZENON JANUSZ MICHALSKI ■

OD REDAKCJI: Długo zastanawialiśmy się, czy opublikować list Z. J. Michalskiego, jako że obaj polemiści zastrzegli się, iż już do polemiki nie powrócą. Z. J. Michalski niby nie polemizuje z R. Kaźmierakiem, a pisze tylko list. Ale w istocie jest to polemika.

Publikujemy w końcu obszerne fragmenty listu Z. J. Michalskiego, zamykając tym samym sprawę. Jeśli Szanowni Polemiści mieliby sobie coś jeszcze do powiedzenia, serdecznie zapraszamy do redakcji. Odstąpimy na parę godzin pokój, poczęstujemy herbatą i... podyskutujcie sobie do woli. W polemice na łamach „Odgłosów" nic już nowego — sądzimy — nie można się spodziewać. Obaj autorzy powiedzieli wszystko, co powiedzieć mieli.

Nie mamy się czym pochwalić

Rozmowa z prezesem Zarządu Związku Obrony Konsumentów w Łodzi — MARIUSZEM MŁYNARSKIM.

My — klienci, konsumenci, petenci — od dawna odczuwaliśmy potrzebę obrony naszych interesów. Jest niby wiele organizacji, które powinny zajmować się obroną tych interesów, ale dobrze wiemy, że różnie z tym bywało. Z takiej potrzeby narodził się ruch ochrony lub obrony konsumentów, swego rodzaju konsumencka samoobrona i samopomoc. W Polsce istnieją trzy takie organizacje: Federacja Konsumentów w Warszawie, Organizacja Ochrony Konsumentów we Wrocławiu i Związek Obrony Konsumentów w Łodzi. Z tego, co wiem i co można przeczytać w „Veto" toczy się ostry spór między prezesami Organizacji Ochrony Konsumentów we Wrocławiu a Federacją Konsumentów w Warszawie.

— Dlaczego?

— Nasze organizacje powstały spontanicznie, niezależnie od siebie. Wynikło to z istniejących potrzeb. Zostały zarejestrowane. Są pełnoprawne. Tyle tylko, że Federacja Konsumentów została zarejestrowana w Warszawie, a przepisy z 1932 roku głoszą, iż rejestracja jakiejś organizacji dokonana w Warszawie ma charakter ogólnopolski.

— Organizacje we Wrocławiu i Łodzi są więc regionalnymi.

— Są. Ale przez to wcale nie wynika, że podległymi Federacji Konsumentów w Warszawie.

— Czy nie byłoby jednak pożyteczniej, gdyby te trzy organizacje współdziałały ze sobą? Konsumentowi w końcu nie na tym zależy kto broni jego interesów, ale na tym, aby bronił skutecznie. Czy wspólnie nie byłoby skuteczniej niż oddzielnie?

— Zgadzam się z tym. Zresztą połowa korespondencji, jaką otrzymujemy jest adresowana: Federacja Konsumentów w Łodzi. Nazwa jest po prostu bardziej wpadająca w ucho, utrwalająca się.

— W czym więc rzecz? Skąd ten spór?

— Można to określić tak: są dwa stanowiska w sprawie współpracy. Jedno — które my reprezentujemy — to współpraca na zasadach partnerstwa. Z tym, że traktujemy się jak równorzędni partnerzy. I druga — którą reprezentuje Federacja Konsumentów — że jesteśmy ich agendami, podlegamy im jako Wojewódzkie Rady Konsumentów. W moim przekonaniu jest to koncepcja wzorowana na dawnej strukturze CRZZ.

— Andrzej Nałęcz-Jawecki polemizując w 8 numerze tygodnika „Veto" z prezesem Organizacji Ochrony Konsumentów we Wrocławiu, Mieczysławem Dereniem zarzuca mu, że regionalizm w ruchu konsumenckim jest z kolei wzorowany na strukturze regionalnej NSZZ „Solidarność".

— Ma prawo tak uważać.

— Zresztą w tymże samym artykule Andrzej Nałęcz-Jawecki zaprosił pana do Warszawy na 31 sierpnia 1982 roku na godzinę 10 do lokalu Federacji Konsumentów. Pojedzie pan?

— Pojadę, choć nie uważam tego rodzaju formy zapraszania na rozmowę za najwłaściwszą. Sądzę, że Andrzej Nałęcz-Jawecki potwierdzi to zaproszenie dodatkowym pismem.

— Czy do tej pory współdziałaliście z Federacją Konsumentów?

— Nie. Informowaliśmy wprawdzie Federację o naszych akcjach. Oni o swoich nie. Dwukrotnie też zapraszaliśmy Andrzeja Nałęcz-Jaweckiego do Łodzi i dwukrotnie nie przyjechał.

— Ale Federacja Konsumentów ma w składzie swojej Rady przedstawiciela z Łodzi.

— Tak. Jest to Władysław Kozulski.

— Czy jest on też związany ze Związkiem Obrony Konsumentów?

— Oczywiście. Jest to jeden ze współzałożycieli związku. W naszym Zarządzie pełnił funkcje sekretarza.

— To znaczy, że już nie pełni. Dlaczego?

— Złożył dymisję. Zgodził się kandydować do władz w Federacji Konsumentów, wszedł do Rady, co wywołało szereg kontrowersji w Zarządzie Związku Obrony Konsumentów. Stał na stanowisku, że powinniśmy się podporządkować Federacji. Reszta Zarządu jest temu przeciwna. Podał się więc do dymisji. Ale jest nadal członkiem naszego Związku i członkiem władz Federacji.

— Czy współpracowaliście z Organizacją Ochrony Konsumentów we Wrocławiu?

— Tak. Sądziliśmy, że powstanie jeszcze trzecia organizacja regionalna i wtedy moglibyśmy — zgodnie z przepisami — sfederować się i podjąć rozmowy z Federacją Konsumentów. Ale tak się nie stało.

— W tygodniku „Veto" jakoś nie ma informacji o waszej działalności, a przecież to nie jest organ Federacji Konsumentów, ale Tygodnik Każdego Konsumenta.

— Nie mamy czym się pochwalić, więc zbyt chętnie nie informujemy prasy o naszej pracy.

— Czy też z tego powodu nie pisze o was „Dziennik Łódzki", który kiedyś patronował waszemu ruchowi?

— Również. Teraz jest okres urlopowy, więc i każda działalność jest jakby powolniejsza. Sądzę, że to się zmieni jesienią, po okresie urlopowym.

— Czy nie sądzi pan jednak, że spory kompetencyjne, spory o strukturę ruchu obrony konsumentów odwracają waszą uwagę od spraw istotnych — obrony interesów konsumenta?

— Rozbicie jest bez wątpienia niekorzystne, ale ta dyskusja zrodziła już świadomość, że jest to ruch spontaniczny, nie zaś jednorodna organizacja, a ten spontaniczny ruch broni się przed ujęciem go w sztywne ramy organizacyjne. I to już — jak na początek — dużo. Z drugiej jednak strony również i my mamy świadomość, że bez sojuszników nie będziemy mogli wiele zrobić, że nasze porażki właśnie stąd się biorą.

— A kim mają być wasi sojusznicy?

— Choćby związki zawodowe, inne organizacje społeczne, a także niektóre instytucje.

— Zarówno pan, jak i Mieczysław Dereń z Wrocławia bronicie regionalnego charakteru waszych organizacji. Czy to daje wam jakieś korzyści?

— Ma to swoje zalety i swoje wady. Zaletą jest to, że w regionie wszędzie jest blisko. Dzięki temu możemy wiele dobrego zrobić w obronie interesów konsumenta. Wadą jest natomiast to, że trudniej nam jest wywalczyć coś w centralnej instytucji. Ruch obrony konsumenta ma i musi mieć społeczny charakter. Do Warszawy w sprawach Związku Obrony Konsumentów jeździmy w ramach urlopu za własne pieniądze, albo przy okazji wyjazdów służbowych. No i w centralnych instytucjach mamy mniejszą siłę przebicia. Chcieliśmy na przykład otrzymać pieniądze na wykorzystanie ekspertyz artykułów żywnościowych od centrali WSS Społem i nie udało się. Zignorowano nas po prostu.

— Chcieliście wziąć pieniądze od kontrolowanego? Oryginalne i śmiałe posunięcie!

— Ekspertów mamy własnych, ale nie mamy aparatury. Za wykorzystanie aparatury trzeba płacić.

— A przy okazji: ilu członków liczy Związek Obrony Konsumentów?

— Jest nas 230. Wracając jednak do tematu, to uważaliśmy, że handlowcom powinno również zależeć na dobrej jakości sprzedawanych artykułów spożywczych i powinni chętnie zgodzić się na pomoc w wykonywaniu ekspertyz jako, że są one skierowanie przeciw producentom, a nie handlowi.

— Na miejscu nie ma takich możliwości?

— Wiceprezydent Jerzy Łapiński robił nam pewne nadzieje na pomoc finansową. Sprawa wyjaśni się po urlopach.

— Czyli, że jak do tej pory to też się nie udało.

— Tak jest.

— A co wam się udało?

— Najistotniejszą naszą działalnością jest pomoc ludziom, którzy przychodzą do nas po radę i pomoc. Ludzie czują się zagubieni w gąszczu różnych przepisów, decyzji, a czasem wręcz matactwa. Klient musi też umieć walczyć o swoje prawa, nie dać się wykorzystać przez różnych sprytnych producentów czy handlowców. Nie może tylko czekać, aż ktoś to zrobi za niego. Ludzie, którym służymy pomocą przekonują się przede wszystkim, że mają rację, a następnie uczą się, jak mają bronić swoich interesów. Klient sklepu na Widzewie-Wschodzie przyniósł nam dwie karty gwarancyjne: kalkulatora i zasilacza, obie miały przestemplowane daty produkcji. Kalkulator ze stycznia 1979 roku, zasilacz z 1978 roku. Z tym, że data produkcji: 26. I. 1979 r. widnieje również na kalkulatorze. Daty produkcji przestemplowano w sklepie. Bezprawnie. Klientowi należy się zwrot pieniędzy w stosunku do starej ceny.

— I sądzi pan, że to się uda?

— Udało się już to w stosunku do producenta domków letniskowych z Mikołajek. Producent zatrzymał sprzedaż w czwartym kwartale 1981 roku, poczekał do nowego roku i zażądał dopłat od tych, którym był zobowiązany dostarczyć domki letniskowe po starych cenach. Znam dwa wypadki, kiedy producent zwrócił po 80 tysięcy złotych swoim klientom, bo w tych dwóch pomagaliśmy walczyć o obronę interesów oszukiwanego klienta.

— A ilu nadpłaciło? I czy tylko producent z Mikołajek stosował taką metodę?

— Bez wątpienia nie. Prasa zresztą prowadziła akcję demaskowania tych, którzy starym produktom dawali nowe ceny. Ale zwróciliśmy też uwagę Spółdzielni „Metap" na wadliwą kalkulację kosztów, a przez to i na wadliwie skalkulowane ceny usług. Nasza krytyka okazała się słuszna. Spółdzielnia dokonała rewizji kalkulacji i zwróciła klientom nadpłaty.

— Czy możecie wykazać się jakimiś sukcesami w sprawie jakości produktów?

— Nie. Sprawa ta mniej budzi teraz zainteresowania. Klienci po prostu kupują to, co mogą i nie reklamują nawet wtedy, kiedy są ku temu powody. Rozmawiałem w dyrekcji WPHW Otex i dowiedziałem się, że obecnie problem jakości wyrobów nie istnieje. Dlaczego, nie istnieje? Bo ludzie nie składają reklamacji.

— Ale przecież problem istnieje.

— Oczywiście, że istnieje. Są przecież producenci — monopoliści i oni dyktują nie tylko ceny produktów, ale i jakość wyrobów.

— A producenci artykułów spożywczych?

— Tutaj nic nie poradzimy bez pomocy fachowców, którzy przy pomocy specjalistycznej aparatury mogliby dokonywać ekspertyz. A — jak już mówiłem — nie mamy na to pieniędzy.

— Powiedział pan też, że waszymi sojusznikami mogą być instytucje. Jakie pan miał na myśli?

— Choćby Sanepid. Udało się nam już wspólnie z Sanepidem przeprowadzić kilka kontroli i stwierdzić bardzo zły stan sanitarny zakładów przetwórstwa spożywczego. Na przykład tak było w mleczarni w Pabianicach.

Tu chciałbym zwrócić uwagę, że w sprawie jakości artykułów spożywczych wiele mogą zrobić sami konsumenci, którzy w prasie, w tym również w „Veto" powinni prezentować swoje uwagi i opinie o kupowanych wyrobach żywnościowych. To może być pomocne i nam i innym instytucjom badającym i chroniącym jakość artykułów spożywczych.

— Jak się układają wasze stosunki na przykład z Wydziałem Handlu Urzędu Miasta Łodzi? Czy tam też macie sojusznika?

— Często różnimy się w poglądach, często w interesach. My nie kryjemy naszych uwag. Jesteśmy w stałym kontakcie i mam nadzieję, że Wydział Handlu UML korzysta z naszych poglądów, postulatów i krytyki.

— A przecież jest sporo do naprawienia. Choćby system funkcjonowania sieci sklepów spożywczych w wolne soboty, kiosków „Ruchu", komunikacji.

— Może po kolei. Pod koniec maja występowaliśmy w sprawie incydentu w „Centralu", kiedy to kończył się miesiąc i ludzie nie mogli wykupić na kartki należnych im artykułów spożywczych. Sprawa nie dotyczy tylko tego incydentu, chodzi już o pewne zjawisko. Był to koniec miesiąca. Ludzie dostają pieniądze przed pierwszym, nie starcza im z poprzedniego miesiąca na wykupienie wszystkiego, co mają na kartki. Chcą kupić teraz, a tu wolna sobota, wolny dla handlu poniedziałek i kupić nie ma gdzie. Postulujemy więc, aby kartki były ważne jeszcze kilka dni po pierwszym. Nie otrzymaliśmy odpowiedzi.

Podjęliśmy również sprawę komunikacji w mieście. Musieliśmy jednak zrezygnować wobec obiektywnych trudności: nie ma akumulatorów, nie ma opon, wiele wozów w remoncie i tak dalej. Nadal uważam, że wiele można w komunikacji zmienić, mimo tych obiektywnych trudności. Ale jedno trzeba podkreślić, że poprawiła się kultura obsługi w MPK. Mniej jest chamstwa, złośliwości, obojętności. To też się liczy.

Wiemy, że tam, gdzie pojawia się rynek, kiedy towary są reglamentowane, kiedy producent nie ma konkurentów i czuje się nie zagrożonym przez nikogo monopolistą, tam pojawiają się nieprawidłowości, nadużycia, niesprawiedliwości, które dotykają klienta. Jednak, żeby te zjawiska ujawnić, trzeba przeprowadzać kontrole, badania, sondaże. My świadomie nie chcemy samodzielnie kontrolować. Jest to sprawa złożona, skomplikowana, trudna. Przykłady i sygnały, które do nas docierają przekazujemy do kontroli społecznej. Chętnie będziemy współdziałali, pomagali. Dlatego szereg spraw i zjawisk niejako umyka naszej uwadze, co nie znaczy, że nie pomagamy w poszczególnych, indywidualnych wypadkach.

— Czy ta trudna i skomplikowana sytuacja, brak wyników w waszej działalności, jej mała skuteczność, nie budzi zniechęcenia?

— Coś takiego obserwujemy Na przykład niektórzy członkowie Zarządu nagle zaczęli mieć mało czasu. Powiadają oni: — mam teraz dużo zajęć zawodowych, mam z tego powodu mało czasu, mogę wam pomagać, proszę bardzo, nie uchylam się, ale zajmować się ruchem konsumenckim, jak do tej pory, już nie mogę. Zostają nadal członkami, ale już mało aktywnymi.

Ja myślę, że to nie tylko dlatego, że mamy mało wyników dobrych, że nie mamy czym się pochwalić. Na początku zbyt wiele sobie obiecywano po ruchu obrony konsumentów. Musiało przyjść rozczarowanie, musiał nastąpić spadek zainteresowania dla takiej działalności. To jest naturalne. Mówiąc szczerze, to się cieszę, że to już nastąpiło. Teraz będziemy mogli bardziej realistycznie patrzeć w przyszłość naszego ruchu konsumenckiego.

— Cóż dalej ze Związkiem Obrony Konsumentów?

— Od września, po urlopach, bierzemy się do dalszej pracy i myślę, że będziemy mieli czym się pochwalić.

— Życzę pomyślności!

Rozmawiała: BOGDA MADEJ

Benzynowy cyrk czyli nie bądź pan frajer...

DARIUSZ DOROŻYŃSKI

Zawsze twierdziłem, że reglamentacja alkoholu sprzyja piciu. I nawet nie dlatego, że doskonale wówczas prosperują wszelkie bimbrownie, meliny, nocne delikatesy na ulicach typu łódzka Włókiennicza. Jest to psychologia, socjologia, logika, jeszcze kilka innych nauk i patrzeć tylko, jak z dobrym skutkiem parę osób będzie się doktoryzowało i habilitowało, proponując na przykład temat: „Metodologiczne uwarunkowania produkcji kapsla a skrzywienia organiczne po wypiciu denaturatu". Nie w tym jednak rzecz. Po prostu otrzymując raz w miesiącu ów drogocenny kupon, z nadrukiem w jednym rogu „alkohol" — zawsze go realizujemy. W czasach normalnych, a wierzę, że do takich wrócimy, choć w daty wolę się nie wdawać — wiele osób wódeczki w domu nie magazynuje. Nawet w razie niespodziewanej wizyty — wystarczy zejść do sklepu. Obecnie kartkę realizuje każdy. Bo straci butelczynę, a nie lubimy, by to co nam przynależne — przepadało...

Podobnie rzecz się ma z reglamentacją paliw — po prostu tankują wszyscy. Czy potrzebują czy nie. Remont samochodu przerwą, a do stacji benzynowej w wyznaczonym dniu pojadą. W szpitalu leżę, to nic, szwagier mi moją porcję kupi, bo przepadnie, a to mi się przecież należy!

Nie tylko jednak ze względu na kanikułę benzynowe tematy często wkraczają na łamy gazet. Bo też uwikłaliśmy się w taki stek przepisów, zarządzeń, zezwoleń, nonsensów, że długo jeszcze nie potrafimy paliwowej matni ogarnąć. I czy naprawdę armia ludzi z GIGE (Główny Instytut Gospodarki Energetycznej) oraz CPN (jako wykonawca) uważa, że wprowadzając kolejne „rewelacje" w systemie sprzedaży ułatwia komuś życie i osiągnie cel najważniejszy — racjonalną gospodarkę paliwami? Wątpię. Im więcej przepisów, zakazów, kartek, rejestracji i tym podobnych rozwiązań, tym więcej w głowie każdego bodaj z użytkowników pomysłów, recept, sposobów na osiągnięcie swojego celu, jakim jest zawsze pełen bak samochodu. Kombinować umie przecież każde dziecko w tym kraju, pierwsze życiowe patenty wysysa z mlekiem matki, a później szara codzienność uczy, że tylko sprytem, pomysłowością z lekką domieszką cwaniactwa coś się w tym kraju osiągnie. Nieprawda? To może parę przykładów z „życia" dla niedowiarków? Tych płaczących nad niewielkimi w sumie przydziałami paliwa i tych, którzy uważają, że w przypadku reglamentacji benzyny osiągnęliśmy szczyty doskonałości...

Każdy posiadacz wehikułu dysponuje obecnie specjalnym załącznikiem opłaty składki PZU, czyli tzw. harmonijką, na podstawie której kupuje paliwo. Ale nie jest to tzw. druk ścisłego zarachowania, toteż wiele osób posiada dwa, trzy takie załączniki. W wielu miastach, na bazarach można nabyć takie druczki in blanco za marną kwotę 1000—1500 złotych. Samo życie...

Właściciele motorowerów nareszcie zyskali poważanie i szacunek posiadaczy bardziej „poważnych" pojazdów. Przyczyna? Każdy motorower może być tankowany bez papierowych ceregieli „do pełnego baku", czyli w granicach 10 litrów. Wystarczy objechać parę stacji i można doskonale dorobić do chudej pensji, zyskując jeszcze dozgonną wdzięczność wielu samochodziarzy...

Przebywający w naszym kraju obcokrajowcy, posiadający charakterystyczne numery rejestracyjne o zielonym tle też tankują „do oporu". Dzięki temu wielu ich znajomych niezbyt przejmuje się niewielkimi, oficjalnymi przydziałami...

Wiekopomną decyzją było umożliwienie zakupu paliwa w większych ilościach na wspomniane „harmonijki" w sezonie urlopowym. Dla mnie bomba — mogę kupić paliwo wszędzie, tylko nie na terenie województwa, w którym mieszkam. Dlaczego? Może ono gorsze od innych?

Osobny rozdział, obraz radosnej twórczości speców od rozdziału paliw to wszelkiego rodzaju zezwolenia na zakup dodatkowych ich ilości. Przygotowywano się do tej operacji od wielu miesięcy, specjalne druki (już z numerami), różne kolory, indywidualne rozpatrywanie sprawy każdego zmotoryzowanego miało w efekcie przynieść sprawiedliwy, wręcz doskonały, eliminujący wszelkie „machlojki" przydział. Ustalono nawet, że treść zezwolenia musi być wypisana czarnym mazakiem. Na maszynie nie wolno! Zasadą było (lub miało być) trzykrotne tankowanie w miesiącu, toteż ajenci otrzymali specjalne załączniki z wyszczególnieniem... pojemności zbiorników chyba wszystkich pojazdów marek, modeli i odmian. Ale bodaj wszystkim posiadaczom zeporuszających się po naszych drogach. Coś ponad setka różnych zwoleń „obcięto" te przydziałowe wg załącznika ilości wypisując porcje mniejsze. Czarnym flamastrem oczywiście. Więc po cóż tyle papieru stracono na załączniki?

Generalnie nowych zezwoleń jest znacznie mniej, gdzieś średnio o połowę, zmniejszyły się też przyznane ilości paliwa. Ale ile tu ciekawostek! Ileż się namordują właściciele maluchów by wlać te łaskawie przyznane „2 x po 20 litrów" (w zbiornik mieści się raptem 21 litrów...). Zapewne po to, by zbyt często nie stać w kolejce właścicielowi „Mercedesa" (zbiornik bodaj 80 litrów pojemności) wręczono zezwolenie opiewające na „7 x po 20 litrów". I tak dalej, i tak dalej.

Zezwolenia stare generalnie są od 1 lipca nieważne, ale te wydane przez naczelnego dyrektora centrali CPN — jak najbardziej. „Kwiatków" jest więcej. Facet mieszka w Łodzi, ale pracuje w Piotrkowie na przykład. Tam też dostaje zezwolenie i tylko w piotrkowskiem może zatankować. Czyż nie śliczne?

Wszyscy oszczędzają, by móc zbierając paliwo z kilku odcinków wyjechać na wakacje i wrócić. Nawet jeśli później, we wrześniu trzeba będzie samochodzik postawić na „kołki". A turyści — szczęściarze, którzy wyjeżdżają na wycieczkę z Polskim Związkiem Motorowym dostają (to trzeba mieć fart!) dodatkową porcję 100 litrów. By dojechać do granicy. A czemu nie na podobnych zasadach jak wszyscy?

Przykłady benzynowego obłędu można by mnożyć. Na szczęście rozsądek i humor zachowują w przeważającej większości ajenci stacji benzynowych. Opowiadał mi ostatnio magister B. jakże charakterystyczną dla naszego życia i podsumowującą te przydługie już wywody przygodę. Wracając ze Śląska do Łodzi nie chciał marnować swych skromnych przydziałów paliwa i w określonych zamiarach rozpoczął rozmowę z sympatycznym ajentem CPN. Przypadł mu widać magister B. do gustu, bo z firmowym uśmiechem na twarzy oświadczył wylewnie: — Kochany, po cóż tyle gadania, wystawiam panu natychmiast jednorazowe zezwolenie! Po 50 złotych za litr możesz pan nalać cały zbiorniczek...

Spór o rynek

WITOLD KASPERKIEWICZ

Od przeszło półwiecza problem roli i miejsca rynku w gospodarce socjalistycznej stanowi wciąż przedmiot kontrowersji akademickich i politycznych. Ciekawym faktem jest, że wieloletnia namiętna dyskusja na ten temat nie przyniosła owoców w postaci klarownego określenia istoty, form i zakresu działania rynku w socjaliźmie. Teoretycy ekonomii wykazali w tej materii daleko idącą różnorodność poglądów.

W Polsce po przełomie sierpniowym 1980 r. problem roli rynku w gospodarce socjalistycznej odżył i stał się w dyskusji o reformie gospodarczej newralgiczną kwestią. W projektach reformy doceniono przydatność mechanizmu rynkowego i uwzględniono mniej lub bardziej szeroki zakres oddziaływania rynku i jego kategorii na przebieg zdarzeń ekonomicznych.

Różnorodność i krańcowość ścierających się poglądów występująca w omawianej kwestii utrudnia przeprowadzenie wyczerpującej systematyzacji podstawowych chociażby stanowisk teoretycznych. Z pewną dozą obiektywizmu i uproszczenia można wyróżnić trzy zasadnicze najbardziej reprezentatywne nurty, którymi płynęła i nadal płynie dyskusja o roli rynku w gospodarce socjalistycznej. Nurtom tym, które symbolizują jednocześnie określone koncepcje ładu ekonomicznego w socjaliźmie i kierunki myślenia ekonomicznego nadajemy następujące nazwy: dogmatyczny, radykalno-rynkowy i pragmatyczny.

Kierunek dogmatyczny

Kierunek dogmatyczny, najogólniej rzecz ujmując, wylansował tezę, że mechanizm rynkowy jest sprzeczny w samym założeniu z gospodarką planową, że rynek jest wręcz „obcym ciałem" w socjalizmie i zbędnym reliktem gospodarki kapitalistycznej. Stanowisko to rozwinęło się w okresie międzywojennym oraz w dobie panowania centralistycznego systemu funkcjonowania gospodarki krajów demokracji ludowej. Osią centralną tego kierunku, wokół której oscylują poglądy jego adherentów jest koncepcja K. Marksa i F. Engelsa wykluczająca istnienie stosunków towarowo-pieniężnych w społeczeństwie socjalistycznym.

W Związku Radzieckim, w latach międzywojennych na płaszczyźnie rozważań o istocie socjalizmu toczył się spór na temat: plan a rynek. Wielu teoretyków uważało, że synonimem socjalizmu jest centralistyczno-administracyjne planowanie i rachunek w jednostkach naturalnych, a synonimem kapitalizmu — rynek, zysk i pieniądz. E. Preobrażeński pisał: *„produkcję towarową przeciwstawiamy gospodarce planowej, rynek — buchalterii socjalistycznego społeczeństwa, wartość i ceny — nakładom pracy, towar — produktowi!"*

Na pojmowanie stosunku planu do rynku oraz roli form towarowo-pieniężnych w gospodarce socjalistycznej poważny wpływ wywarły prace W. Lenina. Wydaje się, że zasadnicze stanowisko W. Lenina początkowo nie odbiegało od powszechnie wówczas przyjętego poglądu o eliminacji wszelkich form stosunków towarowo-pieniężnych w socjalizmie. Świadczą o tym nie tylko wypowiedzi Lenina, lecz również programowe dokumenty partyjne, opracowane pod jego bezpośrednim kierownictwem. Istnieją jednak dowody, że postawa Lenina w kwestii rynku w gospodarce socjalistycznej była ambiwalentna. Pod wpływem doświadczeń płynących z budowy ustroju socjalistycznego Lenin dokonał modyfikacji w swoich pierwotnych poglądach. Podzielając ogólną istotę stanowiska Marksa i Engelsa dostrzegł on jednak konieczność nie tylko zachowania, ale i intensyfikację stosunków towarowo-pieniężnych w pierwszym okresie po zdobyciu władzy przez proletariat. Lenin stworzył rozwiniętą teorię wykorzystania form towarowo-pieniężnych przez państwo socjalistyczne. Teoria ta znalazła swoje zastosowanie w ramach polityki NEP. W związku z tym Lenin dał wyraz przekonaniu, że rynkowe formy spójni miasta ze wsią, zwłaszcza przy słabości przemysłu socjalistycznego i ogromnym ciężarze gatunkowym drobnej produkcji grożą niebezpieczeństwem pojawienia się w gospodarce żywiołu. Skuteczne środki walki przeciw temu niebezpieczeństwu upatrywał teraz już nie w paraliżowaniu stosunków towarowo-pieniężnych, lecz w ich opanowywaniu, przekształceniu w narzędzie przydatne dla socjalizmu. Ważnym elementem jego koncepcji była teza, że rozwój tych stosunków w ramach NEP nie może ograniczyć się li tylko do sfery stosunków pomiędzy miastem a wsią, lecz musi objąć swym zasięgiem również sektor socjalistyczny.

Tezę o kapitalnej doniosłości teoretycznej stanowi konstatacja Lenina, zgodnie z którą zastosowanie form rynkowych w mechanizmie funkcjonowania przedsiębiorstw państwowych bynajmniej nie jest tożsame z odrzucaniem idei planowania centralnego. Stanowisko to wyrażone zostało w krótkiej formule:

„Nowa polityka ekonomiczna nie zmienia jednolitego państwowego planu gospodarczego i nie wychodzi poza jego ramy, lecz zmienia metody jego realizacji".

Nie ulega wątpliwości, że stanowisko teoretyczne Lenina przyczyniło się do powstania wyłomu w poglądach i grubym murze przesądów na temat stosunków towarowo-pieniężnych, planu i rynku w socjaliźmie. W rezultacie nastąpiła rewizja przekonania, że socjalizmu nie można pogodzić z występowaniem stosunków towarowo-pieniężnych. Jest jednak faktem znamiennym, że kierunek dogmatyczny mimo tej rewizji nie ustąpił pola i nadal posiada swoich zwolenników.

Nowy etap dyskusji teoretycznej na temat stosunków towarowo-pieniężnych w socjaliźmie zapoczątkowała praca J. Stalina pt. „Ekonomiczne problemy socjalizmu w ZSRR". W mniemaniu J. Stalina sfera produkcji towarowej w socjalizmie obejmować powinna jedynie przedmioty konsumpcji nabywane przez ludność. Natomiast środki produkcji w socjaliźmie nie są towarami, gdyż nie sprzedaje się ich każdemu nabywcy, są one rozdzielane przez państwo między przedsiębiorstwa. Środki produkcji zachowują jedynie „powłokę" towarową, gdyż formalnie mają cenę, co jest niezbędne do kalkulacji i rozrachunków do oceny i kontrolowania działalności przedsiębiorstw. Poglądy Stalina stanowiły uogólnienie specyficznych doświadczeń budownictwa socjalizmu w ZSRR. Wynosił on do rangi ogólnej prawidłowość socjalizmu, pewne cechy skrajne scentralizowanego systemu kierowania i zarządzania gospodarką narodową.

W polskiej myśli ekonomicznej przedstawicielem omawianego kierunku jest B. Minc. W rozumieniu B. Minca we współczesnej gospodarce socjalistycznej rynek nie określa ani cen, ani wielkości produkcji. Rynek staje się więc w tym systemie kategorią szczątkową, której funkcje są czymś nieokreślonym. Zupełnie ekstremalne stanowisko w tej kwestii reprezentuje natomiast S. Łysko, który broniąc litery i ducha marksizmu w polemikach ze zwolennikami rynku konstatuje następująco:

„należy bezwzględnie uznać prawdziwość twierdzenia klasyków marksizmu-leninizmu, że stosunki towarowe (rynkowe) wewnątrz państwowego sektora socjalistycznego kraju nie istnieją".

Przedstawione skrótowo poglądy reprezentatywnych zwolenników dogmatycznego podejścia do problemu roli rynku w gospodarce socjalistycznej wzbudzają wiele wątpliwości natury merytorycznej. Przede wszystkim tezy rzeczników tego kierunku (z wyjątkiem stanowiska autorów inspirowanych bezpośrednio praktyką komunizmu wojennego) abstrahują od doświadczenia budownictwa socjalistycznego, które dostarcza wyczerpującego dowodu na to, że w warunkach socjalizmu istnienie stosunków towarowych i mechanizmu rynkowego jest obiektywną koniecznością, obiektywnym faktem. Dla uzasadnienia tej tezy wystarczy przytoczyć tylko jeden argument, a mianowicie, że w gospodarce socjalistycznej kanonem jest zasada podziału dochodu narodowego według ilości i jakości pracy oraz pieniężna forma wynagradzania za pracę, umożliwiająca gospodarstwom domowym względnie swobodne realizowanie powstających w ten sposób dochodów na rynku poprzez nabywanie towarów.

Poddając krytyce poglądy nurtu dogmatycznego należy stwierdzić, że jego przedstawiciele posługują się argumentami, które tkwią w tekstach klasyków marksizmu, a nie w praktyce gospodarczej krajów socjalistycznych. W związku z tym cały ich arsenał dowodowy sprowadza się częstokroć do egzegezy sformułowań klasyków. Pominięcie bogatej rzeczywistości ekonomicznej socjalizmu, która nie stanowi potwierdzenia hipotez K. Marksa i F. Engelsa dotyczących stosunków towarowo-pieniężnych w socjaliźmie, pozbawia podstawowych znamion prawdy wywody rzeczników kierunku dogmatycznego. Poza tym nad poglądami zwolenników kierunku dogmatycznego ciąży nieporozumienie semantyczne polegające na tym, że centralne planowanie utożsamiają oni z centralistycznym, administracyjnym systemem funkcjonowania gospodarki. Dlatego też zabiegi i próby zmierzające do decentralizacji zarządzania gospodarką traktowane są częstokroć przez dogmatyków jako atak na zasadę centralnego planowania.

Radykalizm rynkowy

Istotą kierunku radykalno-rynkowego jest eksponowanie roli rynku jako swoistego panaceum na nieprawidłowości gospodarki socjalistycznej i pomniejszanie roli planowania centralnego w sterowaniu gospodarką. Kierunek ów wykrystalizował się w Polsce, w ogniu dyskusji modelowej po 1956 r. ale ma także swoich zwolenników w innych krajach socjalistycznych.

Kierunek ten jako naczelną dyrektywę metodologiczną przyjmuje koncepcję, aby zamiast szczegółowego planu oraz nakazowego systemu przekazywania zadań wprowadzić w gospodarce socjalistycznej mechanizm rynkowy pobudzający przedsiębiorstwa do produkcji zgodnej z wymogami rynku. W oparciu o to formułowano tezę o nadrzędności mechanizmu rynkowego w stosunku do planu centralnego, ograniczonego jedynie do funkcji koordynatora.

Poglądy zawarte w ramach kierunku rynkowego charakteryzują się różnymi odcieniami. Skrajnym wariantem tego kierunku są poglądy ekonomistów szermujących hasłami „socjalizmu rynkowego". Najbardziej reprezentatywni przedstawiciele tego nurtu: E. Löbl i O. Sik (czechosłowaccy ekonomiści) posługują się frazeologią „demokracji rynkowej", w ramach której przeciwstawiają się oni wszelkiemu planowaniu w ekonomice, dla której jedyną władzą powinien być swobodnie działający rynek i nieograniczone działanie prawa wartości. Rola ekonomiczna państwa i wszelkich form instytucjonalnych polegać powinna — zdaniem Löbla i Sika — na stworzeniu rynku (jeśli go brak), a następnie na zagwarantowaniu jego absolutnie swobodnego działania.

Koncepcje „socjalizmu rynkowego" krzewione były również w jugosłowiańskiej myśli ekonomicznej, zwłaszcza w latach 60 tego stulecia. U podstaw jugosłowiańskiej reformy gospodarczej z r. 1965 legło przekonanie iż centralne kierowanie procesami rozwojowymi (biurokratyczny etatyzm gospodarczy) musi być zastąpione przez wykorzystanie mechanizmu rynkowego, zarówno dla kształtowania długofalowego rozwoju gospodarczego, jak i dla całego systemu podziału dochodów. W tej sytuacji plan spełnia jedynie rolę informacyjną i jest sui generis prognozą czy pobożnym życzeniem władzy planującej.

System tez prezentowanych przez kierunek rynkowy, zwłaszcza zaś przez rzeczników, „socjalizmu rynkowego", zawiera pewne słabości, zarówno w płaszczyźnie teoretycznej, jak i praktycznej.

Po pierwsze, posiada on charakter formalno-abstrakcyjny, pomija bowiem pewne granice i ramy, w których problem roli rynku w gospodarce socjalistycznej ma walor realności. Ignorowanie specyficznego charakteru rynku pracy w socjaliźmie oraz propagowanie (przez niektórych autorów) wolnokonkurencyjnego mechanizmu kształtowania się cen najlepiej odzwierciedla utopijność postulatów rzeczników kierunku radykalno-rynkowego. Mechanizm rynkowy nawet we współczesnej gospodarce kapitalistycznej nie stanowi samoistnego czynnika określającego decyzje ekonomiczne, zwłaszcza zaś decyzje długofalowe. Koncepcje nieskrępowanego, swobodnego funkcjonowania rynku zgodnie z doktryną „laissez faire" należą już do zbioru anachronizmów ekonomicznych.

Po wtóre, należy zdawać sobie sprawę z faktu, że zastosowana na gruncie gospodarki jugosłowiańskiej koncepcja socjalizmu rynkowego (połączona z zasadą samorządności) oprócz niewątpliwych zalet ujawniła także liczne mankamenty. Udziałem tego systemu stały się takie negatywne zjawiska jak: bezrobocie, wysokie tempo inflacji, silne prokonsumpcyjne skłonności przedsiębiorstw, niedostateczna chłonność innowacyjna przedsiębiorstw itp. Przykład Jugosławii, jedynego zresztą kraju, który wprowadził w życie rynkową wersję socjalizmu, nie może być wystarczającą podstawą do snucia uogólnień. Poniekąd jednak przykład ów potwierdza słuszność tezy, iż koncepcja socjalizmu rynkowego nie stanowi panaceum na wyleczenie gospodarki z wszelkich dolegliwości. W związku z tym pojawiają się w Jugosławii propozycje wzmocnienia regulacyjnej funkcji planowania centralnego; z tym, że ich intencją nie jest nadanie temu planowaniu charakteru obligatoryjnego.

Kierunek pragmatyczny

Zwolennicy nurtu pragmatycznego reprezentują pogląd, że stosunki rynkowe są istotnym i niezbędnym elementem gospodarki socjalistycznej. Jest to, w ich mniemaniu, obiektywne następstwo realizowanych przez centrum planistyczne celów i podejmowania decyzji z uwzględnieniem kryteriów rynkowych, jak również ekonomicznego wyodrębnienia mikropodmiotów (gospodarstw domowych i uspołecznionych przedsiębiorstw). Z koncepcji niektórych reprezentantów tego kierunku wynika, że rynek — jako ogół powiązań poziomych między przedsiębiorstwami i konsumentami — może stanowić szczególne narzędzie kierowania gospodarką stosowane przez organa centrum planistycznego.

Charakterystycznym rysem omawianego nurtu jest przeświadczenie jego orędowników o ograniczonym zakresie funkcjonowania mechanizmu rynkowego w gospodarce socjalistycznej i jego podporządkowaniu mechanizmowi planowania. Wynika to z następujących przesłanek:

1. Część decyzji gospodarczych podejmowanych przez centrum abstrahuje od kryteriów rynkowych, gdyż wymagają tego niektóre potrzeby ogólnogospodarcze. Dotyczy to przede wszystkim sfery postępu naukowo-technicznego i inwestycji o charakterze infrastrukturalnym.

2. Kategorie rynkowe odzwierciedlają w sposób niepełny społeczne potrzeby. Popyt rynkowy nie może być uznany za synonim wyważonych społecznych potrzeb konsumpcyjnych obywateli. W gospodarce socjalistycznej bowiem nie wszystkie bieżące potrzeby wyrażają się w kategoriach pieniężnych na płaszczyźnie rynku (np. potrzeby w zakresie konsumpcji zbiorowej).

3. Informacje i parametry rynkowe są zbyt ubogie, aby stać się podstawą wyboru rozwiązań ekonomicznych optymalizujących efekty społeczne. Najlepszym przykładem może tu służyć dziedzina jakości życia społeczeństwa a w tym szczególnie ochrona naturalnego środowiska człowieka. Mechanizm rynkowy rejestrujący jedynie zjawiska par exellence ekonomiczne nie może stanowić płaszczyzny uzewnętrzniania się aspiracji społecznych w tej materii. Zagrożenia ekologiczne wynikające z burzliwego rozwoju techniki wymagają wartościowania w oparciu o kryteria społeczne. Optyka rynkowa jest w tym przypadku zawodna.

Przedstawione wyżej ograniczenia dla działania mechanizmu rynkowego nie powinny sugerować, że pełni on reliktową zaledwie funkcję w gospodarce socjalistycznej. Zdaniem „pragmatyków" rynek jest nieodzowną w socjalizmie sferą, w której ujawniają się preferencje konsumentów, a także następuje weryfikacja i korekta decyzji planistycznych. Mechanizm rynkowy pozwala na zwiększenie elastyczności działań gospodarczych i dzięki temu sprzyja podniesieniu efektywności gospodarowania. Przejawem funkcjonowania tego mechanizmu mogą być stosunki konkurencyjne przedsiębiorstw posiadających znaczną samodzielność ekonomiczną. Stosunki te mają w zasadzie techniczne podobieństwa do odpowiednich zjawisk w kapitalizmie, niemniej jednak mogą przyczynić się do ożywienia działalności przedsiębiorstw socjalistycznych. Zakres występowania gry konkurencyjnej zdeterminowany jest przez rozwiązania systemowe gospodarki socjalistycznej i jakość rynku panującego w tej gospodarce.

Rekapitulując ten fragment rozważań należy skonstatować, że poglądy na temat działania rynku w socjaliźmie mieszczące się w nurcie pragmatycznym pozbawione są elementów analizy abstrakcyjno-formalnej i egzegezy tekstów (tak jak ma to miejsce w przypadku kierunku dogmatycznego). Opierają się one o analizę potrzeb praktyki ekonomicznej systemu socjalistycznego i realiów tego sytemu. Historyczne doświadczenia krajów socjalistycznych potwierdzają słuszność tego stanowiska. Doświadczenie owo dowodzi, że zarządzanie gospodarką nie może być wyłącznie nakazowe ze względu na techniczną niewykonalność społeczną wadliwość i ekonomiczną niesprawność takiego systemu. Tym samym pojawia się możliwość i konieczność wykorzystania mechanizmu rynkowego w celu uelastycznienia systemu gospodarki socjalistycznej i podniesienia jej efektywności.

Foto: Mirosław Zajdler

Chłop płaci, a stonka żyje

RYSZARD RINKOWSKI

W połowie lipca najpierw ostro przypiekło, a potem solidnie podlało. W województwie miejskim łódzkim zapinano ostatni guzik przed akcją żniwną. Sprzętu rolniczego było więcej, zmalało natomiast zainteresowanie rolników usługami SKR, zwłaszcza w kombajnach i snopowiązałkach, chociaż wyliczono, iż sznurka starczy dla wszystkich. Nie wszystkich jednak zadowalały wysokie ceny usług.

Jak zapewnił wiceprezydent Lech Krowiranda, stacje CPN miały dostarczać bez przerwy paliwo. Każdy posiadacz sprzętu mógł nabyć od 0,5 do 1 kg smarów, a rolnicy kontraktujący mają prawo do wielokrotnego nabycia paliw. Wyłączenia prądu dla wsi mogły nastąpić tylko w wyniku awarii.

Dyrektorzy gminnych szkół zbiorczych zorganizowali 17 dziecińców dla 500 dzieci. Dzienny koszt utrzymania wynosi 100 zł, ale 64 płaci państwo. Handel wiejski miał pracować według potrzeb rolników. Już pierwsze kontrole wykazały, że szereg sklepów było zamkniętych, a wiele z nich pracowało zbyt krótko. Znajdowały się w nich: mięso, wędliny, napoje chłodzące, brakowało natomiast sporo artykułów podstawowych, m. in. chleba. Postanowiono więc, aby sklepy pracowały także w wolne soboty oraz bez przerw obiadowych. Przydziałowe 2 kg wędlin rozdzielono na lipiec i sierpień, przy czym część skierowano do miasta, bo tam chłop także ma prawo kupić. Byle tylko więcej było konserw. Natomiast proszków i mydła ma być więcej. Ponadto, aby ulżyć żniwiarzom gastronomia przyjmuje zamówienie na posiłki regeneracyjne. Ceny przystępne i równe, bez względu na kategorię lokalu.

W akcji żniwnej ważną rolę muszą odegrać sołtysi. Na co dzień widzi się ich jako poborców, przez ręce których przejdzie w bieżącym roku w województwie miejskim łódzkim 130 mln złotych. I oni ściągają rzetelnie należności w 98 proc., za prowizję w wysokości 2,3 proc., czyli 750 zł miesięcznie. Teraz sołtys ma już 3,7 proc. prowizji i zarobi średnio miesięcznie 1400 zł. Rośnie ranga sołtysa i jego obowiązki. Jest reforma, każdy chce jak najlepiej dla siebie, wobec tego ktoś musi bronić chłopów. Oczywiście sołtys, bo jest w samorządzie. A w żniwa sołtysi muszą zadbać szczególnie o bezpieczeństwo przeciwpożarowe. Wspólnie z członkami OSP uświadamiają chłopów, jak i gdzie układać sterty, jak konserwować maszyny i przechowywać paliwo. Ponadto sprawdzają stan urządzeń elektrycznych i przewodów kominowych, organizują warty przeciwpożarowe.

Sołtys jest ważnym, podstawowym ogniwem władzy państwowej. Nie staje się nim, gdy wdepnie na szczęście w krowi talerz na łące, lecz w wyniku demokratycznego wyboru. I dlatego 15 lipca w Urzędzie Miasta zebrali się sołtysi z całego województwa, by powiedzieć prezydentowi Niewiadomskiemu, co słychać na wsi. Wydawało się, że będą mówić tylko o żniwach, ale żywioł wziął górę i otworzyła się spontanicznie księga skarg, pytań i zażaleń. Dlaczego, na przykład, rolnicy poniżej 35 roku życia, mający na utrzymaniu pięcioro dzieci i matkę chorą umysłowo muszą płacić składki emerytalne? Dlaczego do dziś można jeszcze postawić stodołę i oborę, a domu nie? Jak się chłopu wali sufit, cegły nie dostanie, bo muszą skończyć ci, co zaczęli budowę. Cementu nie było, a niektórzy cementowali sobie podwórka. Teraz cementu jest wiecej ale czy chłop w żniwa będzie robił pustaki albo budował, gdy nie ma ludzi do roboty w polu?

Sołtys ma samochód, wciąż musi jeździć, załatwiać coś dla wsi, ale przydział paliwa ma taki sam, jak inni użytkownicy. Prezydent od ręki wydaje dyspozycje, aby sołtysom posiadającym auto dać dodatkowa ilość benzyny.

Sołtys z Popowa w gminie Głowno ucieszył się z prowizji za podatek, ale co z tymi kartkami? 160 ludzi, z tego złotówka od łebka. Trzeba jeździć do gminy, sporządzać listę, wydawać ludziom kartki — kula u nogi. Za świadectwo pochodzenia zwierząt sołtys miał 50 proc., teraz dają 25 proc. I to gnębi sołtysa, czy będzie miał następcę, bo młodzi nie chcą tego urzędu. A co ten sołtys z Popowa ma zrobić z rolnikiem, który w Łodzi prowadzi knajpę, sieje na polu w końcu maja i mówi — że ta mała sołtysowa władza to mu może skoczyć, bo on ma uprawnienia rolnicze w kieszeni.

Albo sprawa mleka i pierścienia mlecznego. W gminie Ozorków rolnik dostał 5 tys. złotych mniej miesięcznie za tę samą ilość odstawionego mleka. Czemu tak od razu z klasy A do C i łubudu chłopa po kieszeni? A on jeszcze bez dojarki, pięcioma palcami doi.

Ceny mleka obniżono sezonowo. Ktoś ma pretensję, że krowa daje 4 tys. litrów mleka, a Spółdzielnia Mleczarska chce kontraktować tylko 2 tys. litrów. A na łódzkiej, rolniczej ulicy od trzech lat nie ma wody. Straszne trudności, bo w stanie wojennym komisarz jeździł i też nie mógł załatwić. A jak krowa nie dostanie 60 litrów wody, to da 3 litry mleka mniej i rolnik traci dziennie 50 zł. W innej gminie rolnicy dostali kolegium za mleko — 2,5 tys. zł za nadkwasotę i po 5 tys. zł za mleko brudne.

No cóż, Wojewódzka Spółdzielnia Mleczarska premiuje dobry surowiec. I słusznie. Spółdzielnia ma jednak za mały kontakt z producentami, żeby ich uświadomić, jak przechowywać mleko. I dlatego często zalicza mleko do klasy C, ale nie bierze wtedy potrąceń. Mleko idzie do klasy C głównie z powodu zapalenia wymion u krów. Spółdzielnia chce kupić jak najwięcej mleka. A grzywnami karze chłopów Sanepid, za zanieczyszczenie mleka środkami chemicznymi.

Prezydent Niewiadomski oświadczył, że jak mleko będzie złej jakości, to obniży się ceny skupu w całym kraju, po czym natychmiast zarządził, aby na wieś skierowano pieluszki z tetry, nawet kosztem niemowlaków. Choćby po 1 pieluszce na producenta mleka, żeby miał je czym przecedzać. Nie ma się z czego śmiać, bo ci producenci niewiele mają środków do czyszczenia naczyń i aparatury dojarskiej, a już na pewno nie mają chłodziarek przez co w upały surowiec psuje się już w zagrodzie.

Potem najprzystojniejsza blondsołtyska w województwie stwierdziła, że nie wie, czy ona jest sołtysem w nowym sołectwie łódzkim na Złotnie, czy nie jest, bo Wydział Rolnictwa żąda od niej opinii o uprawach w poszczególnych gospodarstwach, a ona nie ma pieczątki.

Natomiast młody sołtys z młodego sołectwa w Chocianowicach zapytał, czy jeśli w reformie każdy ustala sobie ceny, to nie mogliby tego robić także chłopi. Bo chłop z trudem wytrzymuje dwa razy w tygodniu obniżkę cen np. na warzywa. Poza tym chłopi zawarli kontrakty na sprzedaż wieprzy, nie zdążyli pobrać przysługujących pasz i teraz wszystko przepadło.

Ano tak, ostatnio zmieniły się gruntownie przepisy. Rolnik może otrzymać za 100 kg zboża 60 kg paszy lub 100 kg węgla. Ale władza chce być wiarygodna, toteż prezydent obiecał, że na ile się da, wyrówna się te zaległości paszowe.

Wieś od piątej rano słyszy w radiu, że wszystko się robi dla rolnictwa, a za oknem szara rzeczywistość. W Żytowicach, gm. Pabianice, remontują linię i prąd wyłączają. Przychodzi z pola sterana gospodyni i doi ręcznie krowy. A o piątej rano znów nie ma jakieś fazy. W tejże gminie, na Klimkowiźnie, od lat nie ruszono z melioracją i rolnicy topią się w błocie. I w ogóle to można by poprawić chociaż te polne drogi na czas żniw. Natomiast Swędów w gm. Stryków jest dwukrotnie przecięty torami kolejowymi. Był czynny przejazd całą dobę, potem skrócili, wreszcie zdjęli dróżników. Podnosiło się drabinę i jechało, więc zdjęto podkłady. Wiązanka się nie przejedzie, trzeba łapać za kosy. Z kolei w innej miejscowości budowniczowie gazociągu zniszczyli melioracje i nie ma kto naprawić, choć są na to pieniądze. Ponadto nie ma kto budować przepustów wodnych i przejazdów. Chłop zbuduje mostek za 50 tys. zł, spółka wodna żąda za to samo 200 tys. Ale spółka wodna to jest chłopska firma, z prezesem chłopem na czele. Z tym, że chłopi płacą po staremu niskie składki, a koszty robocizny poważnie wzrosły.

Sołtysi mówią z troską o tej szarej rzeczywistości. I z żalem. No bo rolnikom ze Rzgowa handel w mieście nie chce sprzedawać na kartki przydziałowych żniwnych wędlin. Chłopi nie mają czasu stać w czasie żniw w kolejce po buty i wiadra. Nie mają też czasu, żeby robić samemu gwoździe z drutu oraz łańcuchy do krów. Ale są tacy, co robią. Jednemu ukradziono konwię od dojarki, drugiemu pięć zębów ze zgrabiarki. Gdzie oni teraz to kupią?

Tak, jakby wszyscy zapomnieli, że żyjemy w kryzysie, z którego nie sposób wyciągnąć się w kilka miesięcy. A zresztą to gwoździe, na przykład, są, i trzeba je wyekspedjować z hurtowni w teren. Będzie też lepiej z cementem, gorzej natomiast z materiałami ściennymi. Butów jest na województwo 5.200 par i trzeba będzie je dzielić.

Prezydent Niewiadomski zarządził od ręki, żeby dać na wieś kosztem miasta buty, wiadra, środki piorące oraz inne niezbędne artykuły. Jak miasto chce jeść chleb, musi zrezygnować z czegoś innego.

Dyskusja nie ominęła Spółdzielni Kółek Rolniczych. Kto, kiedy i gdzie ustalał ceny na eskaerowskie usługi? Władza twierdzi, że samorządni chłopi, a ci na to, że nic o tym nie wiedzą. Kto wydał zarządzenie, by rolnikom opieszałym, nie płacącym za robotę eskaerom, nie wykonywać usług? Zboże przecież trzeba skosić. A stonka? Przyjeżdżają z SKR, gniotą kartofle ciężkimi ciągnikami, opryskują, a stonka nadal grasuje. Uodporniła się czy jak? Chłop płaci, a ona żyje...

Pani Anna Stefaniakowa, prezes WZKR oświadczyła, że cały czas mówi się o niegospodarności SKR, gdy tymczasem u niewypłacalnych rolników leżą miliony eskaerowskich pieniędzy za wykonane usługi. Co się zaś tyczy stonki, to SKR mają mało odpowiednich ciągników do wykonywania oprysków w ziemniakach, natomiast używane środki chemiczne są złej jakości i stonka żyje, za co winę ponosi producent.

Prezydent Niewiadomski stwierdził, że przy tej litanii gorzkich żalów na sali ręce same składały się do oklasków. Tak jakby wciąż istniał podział: my — obywatele i oni — władza. A prezydent także chciałby się poczuć jednym z tych „my". Co nie znaczy, jak usłyszałem z galerii, że prezydent chciałby zostać sołtysem, i żeby sołtysi rzekli zaraz „pomożemy". Nie ma w tym nic śmiesznego. Bo po pierwsze była to narada wielce pożyteczna. Tylko czy większość ze spraw nie powinna być załatwiona w gminie? Czy u nas naprawdę problem mostka i wiaderka trzeba roztrząsać przed prezydentem?

Po drugie, nie uważam, aby w trakcie narady istniał podział na „my" i „oni". Ostatecznie rozmawiali ze sobą przedstawiciele władzy — tej najniższej, sołtysowskiej, z władzą wojewódzką.

Po trzecie wreszcie, nie pomogą same gorzkie żale. W województwie miejskim trzeba zebrać zboże i skupić go 21,5 tys. ton, gdyż na tyle nas stać. I żaden rolnik nie może być odesłany ze zbożem do domu. Kupi się wszystko, z wilgotnością 15—18 proc. i zanieczyszczeniem do 5 proc.

Natomiast w kraju trzeba skupić 5 mln ton zboża. Jeżeli tego nie zrobimy, to sołtysi mogą do oporu zarzucać skargami prezydenta Niewiadomskiego, a w przyszłym roku nadal nie będzie na wsi nawozów, butów, wiader itp. A stonka też sobie pożyje, gdy zabraknie dewiz na zakup środków chemicznych. ■

Jak odtworzyć trzecią zmianę?

TERESA JERZYKOWSKA

Niewiele lat temu, zbierając materiał do reportażu, spędziłam kilka nocy w dużym zakładzie przemysłu bawełnianego. Rozmawiałam z jego pracownicami o różnych zakładowych i życiowych sprawach, a wśród nich i o tym, jak się czują, żyjąc przez trzecią część miesiąca w odwrotnym od normalnego rytmie, to znaczy pracując w nocy a śpiąc w ciągu dnia. Moje rozmówczynie nie były specjalnie dobierane, nie towarzyszył nam nikt z przedstawicieli dyrekcji, kto mógłby wtrącaniem się czy też samą obecnością wpłynąć na treść wypowiedzi. A jednak rezultaty rozmów były zaskakujące — kobiety w większości deklarowały się jako zwolenniczki trzeciej zmiany.

Potem okazało się, a wypowiadali się w tej sprawie zarówno eksperci z różnych dziedzin, jak i same zainteresowane, że trzecia zmiana jest zmorą kobiet zatrudnionych w przemyśle lekkim, zwłaszcza włókienniczym, w którym zjawisko to występowało w największym nasileniu. Zapadła decyzja o likwidacji nocnej pracy. Obowiązek taki nałożyła na administrację gospodarczą Uchwała IX Zjazdu partii, znalazło to również swój wyraz w porozumieniu podpisanym z branżowymi związkami zawodowymi. Przy czym ustalony został termin tej likwidacji do końca 1983 roku.

Nie pora obecnie na roztrząsanie po raz kolejny argumentów, przemawiających za koniecznością uwolnienia kobiet od trudów nocnej pracy. Nie ma zresztą powodów, aby wracać do tego kiedykolwiek w przyszłości, bowiem ich słuszność jest niepodważalna. Ale istnieje również druga strona medalu — potrzeby. Wydaje się, że taką właśnie społecznie i ekonomicznie uzasadnioną potrzebą jest utrzymanie jeszcze przez czas jakiś trzeciej zmiany w zakładach włókienniczych, a zwłaszcza na niektórych wydziałach. Odnosi się to przede wszystkim do przędzalni, które stanowią swego rodzaju wąskie gardło w przemyśle lekkim. Tymczasem sytuacja jest taka, że wiele zakładów znacznie wcześniej, niż do końca przyszłego roku trzecią zmianę zlikwiduje. W niektórych zadanie to praktycznie już zostało wykonane. Nie jest to bynajmniej wynikiem celowego działania dyrekcji tychże, lecz dotkliwych braków kadrowych. Często nie tylko nie ma co marzyć o uruchomieniu trzeciej zmiany, ale i ze skompletowaniem odpowiedniej obsady drugiej są poważne trudności.

Symptomy kadrowych kłopotów w przemyśle włókienniczym pojawiły się już dość dawno, w ostatnim czasie niedobory pogłębiły się znacznie. Spowodowały to m. in. nowe przepisy umożliwiające ludziom wcześniejsze przechodzenie na emeryturę. To, co było korzystne w odniesieniu do pracowników zjednoczeń czy innych, likwidowanych w ramach reformy instytucji, przyniosło także negatywne skutki dla przemysłu, nie tylko zresztą włókienniczego, powodując znaczny odpływ robotników, najczęściej o wysokich kwalifikacjach. Jeszcze parę miesięcy temu dość powszechnie mówiło się o zagrażającym bezrobociu i jako antidotum na nie wymyślono wspomniane już wcześniejsze emerytury oraz fundusz aktywizacji zawodowej. Tymczasem bezrobocie, o ile w ogóle istnieje, odnosi się jedynie do części ubiegło- i tegorocznych absolwentów niektórych typów szkół ponadpodstawowych i wyższych oraz pracowników umysłowych zwalnianych z różnych instytucji. W przemyśle natomiast występuje dotkliwy brak robotników bezpośrednio produkcyjnych. Czy jednak niedobory są rzeczywiście aż tak drastyczne, czy też siły roboczej jest dość, nie ma natomiast odpowiednich mechanizmów i bodźców umożliwiających odpowiednie jej przemieszczenie, właściwe wykorzystanie i skłaniających automatycznie do wzrostu wydajności? Brak dostatecznych danych, aby w sposób jednoznaczny odpowiedzieć na to pytanie. Niewątpliwie jednak powodem trudności nie są wyłącznie braki ilościowe. Trzeba więc co prędzej szukać sposobu, aby mechanizmy takie wypracować, bodźce uruchomić. W zależności od branży sposoby osiągnięcia wyższej wydajności i warunki, jakie muszą zostać spełnione, aby produkcja wzrosła, będą różne. Wspólnym jednak elementem jest zwiększenie możliwości zarobkowych. Ludzie będą pracować tam, gdzie otrzymają za swój wysiłek należyte wynagrodzenie.

W tym miejscu można podjąć próbę sformułowania odpowiedzi na pytanie, dlaczego brakuje ludzi w przemyśle włókienniczym, dlaczego fachowcy tak chętnie opuszczają duże, państwowe zakłady tej branży, przenosząc się do rzemiosła, firm polonijnych a nawet małych zakładów spółdzielczych. Podstawowym, wpływającym na to czynnikiem są właśnie niskie przeciętne zarobki, ustawiające włókniarzy na przedostatnim miejscu (przed przemysłem drobnym) wśród innych branż. W ograniczonym zakresie przeciwwagę dla niskich wynagrodzeń mogłyby stanowić wyjątkowo dobre warunki pracy. Tak jednak nie jest. Nawet ludzie nie związani zawodowo z tą branżą wiedzą, że przemysł lekki wcale do lekkich nie należy. Powszechnie występujące nawet w dość nowocześnie wyposażonych zakładach duże natężenie hałasu, zapylenie, często ciasnota i skromne zaplecze socjalne i... trzecia zmiana, której podporządkowują się jeszcze z przyzwyczajenia starzy pracownicy. Młodzi natomiast, trafiający do wydziału zatrudnienia, bądź bezpośrednio do zakładu nawet słyszeć nie chcą o konieczności nocnej pracy.

Przedstawicielom niektórych zakładów przemysłu bawełnianego, wełnianego czy dziewiarskiego wszelkie rozważania na temat możliwości reaktywowania trzeciej zmiany, bądź przesunięcia w bardziej odległą przyszłość terminu jej całkowitej likwidacji mogą wydać się niecelowe, a nawet pozbawione sensu. Po cóż bowiem tracić czas na opracowywanie koncepcji zmierzających do tego celu działań, skoro w ich fabryce także na pierwszej i drugiej zmianie zdarzają się przestoje spowodowane brakiem surowca? Są i takie przypadki, generalnie jednak zaopatrzenie w tej branży nie jest najgorsze. Są surowce i maszyny, są także zamówienia i możliwości sprzedaży na rynek krajowy i na eksport przekraczające znacznie możliwości produkcyjne. Dla przykładu, w łódzkich Zakładach Przemysłu Wełnianego im. Barlickiego przyjęty plan ilościowy jest o 16,4 proc. niższy, niż mógłby być. Powodem przyjęcia zaniżonych zadań są właśnie niedobory kadrowe. Z ich wykonaniem mogą być nadal trudności, bowiem w przedsiębiorstwie ciągle brakuje ponad 100 osób. Wykończalnia i tkalnia pracują niemal całkowicie w systemie 2-zmianowym (w tkalni uruchamia się w nocy zaledwie 18 ze 102 krosien). Resztki 3-zmianowego systemu utrzymują się jeszcze w przędzalni, gdzie współczynnik zmianowości wynosi 2,57. Całkowita likwidacja trzeciej zmiany na tym wydziale spowodowałaby dalsze zmniejszenie produkcji, co najmniej o 1/6. W zakładzie lękają się, aby do takiej konieczności nie doszło. Obowiązujący dotychczas 35-procentowy dodatek za pracę w nocy nie jest żadnym bodźcem. Po raz kolejny potwierdziło się to zimą, kiedy z powodu trudności energetycznych próbowano namówić załogę do pracy na zmianie rannej i nocnej. Możliwość zwiększenia tą drogą zarobków dla nikogo nie była kusząca. W pewnym stopniu do poprawy sytuacji mogłaby przyczynić się praca w wolne soboty — choćby co drugą, ale i na takie rozwiązanie nie ma chętnych. Nikt nie chce pracować w godzinach nadliczbowych, o które swego czasu ubiegali się robotnicy. Dotyczy to zwłaszcza grup bezpośrednio produkcyjnych.

Pewną nadzieję stwarzają opublikowane niedawno nowe przepisy zwiększające znacznie wysokość zarobków, jakie bez utraty prawa do świadczeń uzyskiwać mogą emeryci. Przepisy odnoszą się do całej gospodarki, może więc spodziewać się po nich pewnych efektów także i przemysł włókienniczy. Nie wydaje się jednak, aby były one akurat w tej branży szczególnie duże. O wiele łatwiej, jak sądzę, zdecyduje się na kontynuowanie pracy zawodowej np. lekarz czy inny wysokokwalifikowany specjalista, niż bardzo zmęczona kilkunastoletnim bieganiem wokół krosna kobieta. Konieczne są więc działania adresowane do ludzi w pełni wieku produkcyjnego, a także do rozpoczynających pracę absolwentów odpowiednich typów szkół. Próbą takiego działania jest projekt decyzji Komitetu Gospodarczego Rady Ministrów „W sprawie stworzenia warunków pełniejszego wykorzystania zdolności produkcyjnych w przemyśle chemicznym i lekkim". Projekt ten przewiduje m. in. dodatek za pracę w nocy wynoszący 70 proc. wynagrodzenia w systemie akordowym, lub 50 proc. w systemie dniówkowo-premiowym, 100 proc. dodatku za godziny nadliczbowe w dni ustawowo wolne od pracy oraz dodatek 1000 zł miesięcznie przez pierwszy rok zatrudnienia dla absolwentów szkół zawodowych podejmujących pracę w systemie 3-zmianowym. Proponuje się także zwiększenie o 100 proc. świadczeń dla uczniów szkół zawodowych *o kierunkach uznanych za deficytowe*. Sięgnięto więc po bodźce materialne, po których oczekiwać można największej skuteczności. Czy jednak dadzą one w proponowanej wysokości wystarczającą poprawę? Trudno tu o optymizm. Według wyliczeń z maja br. przeciętna płaca w przemyśle włókienniczym wraz z rekompensatą na pracownika wynosiła 9,1 tys. złotych. Bez rekompensaty statystyczna włókniarka zarabiała więc poniżej 8.000 zł. Przyjmując, że trzecią część z tego uzyskiwała pracując na trzeciej zmianie, jej nocne zarobki wynosiły około 2.500 zł. Przy proponowanym dodatku wzrosłyby one około 1.500 zł. Przy obowiązujących cenach nie jest to suma zbyt wielka, a ponadto jej oddziaływanie zmniejsza jeszcze utopienie w dużej ilości różnego rodzaju rekompensat, wyrównań i dodatków. W końcu przeciętny pracownik nie orientuje się, ile dostaje za efektywną pracę, a ile tylko za to, że żyje. W takich warunkach trudno mówić o bodźcowym działaniu kolejnego dodatku.

Podobne uwagi można zastosować do proponowanej wysokości podwyżki dla absolwentów. Pomijając już fakt, że może to wywołać niezadowolenie innych członków załogi, 1000 zł jest wielkością mało odczuwalną. Z kolei trudno postulować takie wynagradzanie młodego, rozpoczynającego dopiero pracę robotnika, aby zarabiał on więcej od kolegów z dłuższym stażem. Korzystniejszym rozwiązaniem byłoby zastąpienie tego dodatku premią wypłacaną po 6 lub 12 miesiącach pracy. W przypadku podstawowej grupy robotników rozsądniejsze wydawałoby się zastąpienie dodatku nocnego odpowiedniej wysokości ceną za jednostkę wyprodukowanego wyrobu dobrej jakości oraz stosowanie za pracę na nocnej zmianie wielokrotności tej ceny (np. mnożnika 2, 3 lub 4 w zależności od sytuacji konkretnego zakładu). W ten sposób każda tkaczka czy prządka mogłaby bez większych trudności obliczyć, ile zarobiła w ciągu nocy i czy jej się to opłaca.

Projekt zawiera także inne propozycje, np. zwolnienie zakładu od progresywnego podatku na rzecz funduszu aktywizacji zawodowej, jeżeli na skutek wprowadzenia przewidzianych w nim zasad wzrośnie średnia płaca. Także i ten punkt wymaga, jak sądzę, ponownego przemyślenia. Zwolnienie tylko od tego podatku może wydać się dyrekcjom czy przywracanym do życia samorządom zbyt mało opłacalne. Zresztą opodatkowanie średniej płacy jest w ogóle sprawą co najmniej kontrowersyjną, przynoszącą efekty odwrotne do zakładanych. Nie zamierzam bardziej szczegółowo omawiać pozostałych punktów projektu. Jego główne, podstawowe założenia powinny jednak zostać skorygowane. Szerzej na ten temat wypowiedzą się na pewno najbardziej zainteresowani — przedstawiciele kierownictw i załóg. Jedno jest niewątpliwe — projekt, po ewentualnych zmianach, powinien jak najszybciej przekształcić się w decyzję i zostać wprowadzony w życie. I tak jest on spóźniony co najmniej o rok. Działania takie powinny być podjęte zapobiegawczo, zanim tak wiele ludzi odeszło z zakładów. Obecnie więc tym bardziej konieczny jest pośpiech. ■

Skoro nie stać nas na bułki

Rozmowa z JANEM MISIOWCEM, dyrektorem księgarni „Pegaz" w Łodzi.

Pyta pan jak trafiłem do księgarstwa? Więc odpowiadam: przypadkowo. Byłem wówczas młodym człowiekiem, każda z dróg była dobra i zapowiadała niezwykłe i bogate życie. Zanim jednak zacznę o księgarstwie, powiem parę słów o tym, czym zajmowałem się tuż po wojnie, w drugiej połowie lat czterdziestych. Służyłem wówczas w Drugim Samodzielnym Baonie Samochodowym w Warszawie. Był to czas gorący i niespokojny. Gdzieś pod koniec mojej służby, w marcu 1947 roku, zginął pod Baligrodem generał Karol Świerczewski. Znalazłem się więc w Rzeszowskiem, w oddziałach likwidujących bandy UPA. Stacjonowaliśmy obok Gorlic, w ciągłym pogotowiu bojowym. Pamiętam, jak któregoś dnia, jak to młodzi chłopcy, siłowaliśmy się na jednej z leśnych polan i nagle jeden z kolegów zapadł się pod ziemię. Co się okazało? Odkryliśmy w ten sposób zamaskowany bunkier wypełniony amunicją, lekami i opatrunkami. Czy da pan wiarę, że z tego bunkra wywieźliśmy trzy pełne samochody samej amunicji? A ile takich melin pozostało? UPA rządziła tamtymi terenami, miała swoje bunkry, kwatery, ludzi im sprzyjających. Tak, tak, były to czasy, kiedy spało się na minach wcale o tym nie wiedząc. A bandyci, mimo że urządzaliśmy na nich obławy i zasadzki, czuli się tam swobodnie, zachowywali się prowokacyjnie. Pamiętam, jak wpadł w nasze ręce oficer UPA, paradujący po ulicach Sanoka w mundurze przedwojennego polskiego oficera. Był tak pewny siebie, że w pierwszej chwili raczej się zdziwił niż przestraszył, że go schwyciliśmy. Oczywiście był zaraz sąd i publiczna egzekucja w Sanoku. Został rozstrzelany.

●●● W roku 1949 miałem 22 lata i wszystko do zdobycia, a nic do stracenia. Wydawało mi się, że jak wyjdę z wojska to schwycę samego Pana Boga za nogi. Rzeczywistość okazała się jednak mniej romantyczna. Pochodzę z kieleckiego, a w Warszawie słyszałem, że najłatwiej i najlepiej można urządzić się w Łodzi. Ponoć tutaj, jeśli człowiek nie jest frajerem, można zrobić zawrotną karierę. I tak to się zaczęło. Trafiłem początkowo do *Spółdzielni Dziennikarskiej „Prasa"*, mieszczącej się wówczas przy Piotrkowskiej 102, gdzie obecnie znajduje się księgarnia medyczna. Wie pan, dawniej, to się terminowało w zawodzie, nie to co teraz. Do moich obowiązków należało palenie w piecach, do książek nie byłem dopuszczany. Po likwidacji Spółdzielni Dziennikarskiej „Prasa" przeniosłem się do *Państwowego Instytutu Wydawniczego* na ulicy Sienkiewicza 18. Mieściły się tam magazyny wydawnictw prywatnych: *Pallotinum, Albertinum, Książnica „Atlas"*, a także *„Książka"*, *„Wiedza"* itp. Ale tam już nie byłem najniżej stojącym w hierarchii księgarskiej, miałem przecież za sobą praktykę, zostałem więc pomocnikiem magazyniera. Do moich obowiązków należało rozwożenie dorożkami tak zwanej kurendy. Polegało to na tym, że brałem do walizki kilka tytułów i jechałem do księgarń, gdzie właściciel wybierał to, co mu odpowiadało i składał zamówienie na konkretną ilość egzemplarzy. Tak się wówczas handlowało.

●●● Proszę pana, ja pamiętam księgarnie, których od dawna nie ma na mapie Łodzi. Na Piotrkowskiej 17 był *Lemański*, w miejscu dzisiejszego „Pegaza" miała swoją księgarnię *„Książka"*, kilka numerów dalej, pod 70 *„Wiedza"*, pod 105 *Gebethner i Wolff*, a pod 123 sprzedawał książki *Zieliński*... Dziś, po latach, myślę, że wówczas księgarń nie było wcale więcej, ale było w nich więcej książek, był większy wybór tytułów. Ludzie, proszę pana, tłoczyli się przy ladach, gdyż księgarnie były także miejscem spotkań, tu spotykali się na dłuższe pogawędki pisarze, naukowcy, aktorzy. Myślę, że wypływało to po części z faktu, że ludzie byli spragnieni ojczystego słowa drukowanego, polskich książek. W księgarniach ówczesne Towarzystwo Przyjaciół Łodzi, po godzinie osiemnastej, organizowało odczyty, na które przychodziły tłumy łodzian. Ludzie, nie mogąc się pomieścić w ciasnych pomieszczeniach, cierpliwie stali przy otwartych drzwiach.

●●● Wkrótce z magazynu, kiedy już zostały zlikwidowane księgarnie spółdzielcze i państwowe, a powstała *Centrala Obrotu Księgarskiego „Dom Książki"*, przeniosłem się *do Księgarni Wojskowej* na ulicę Piotrkowską 47, czyli do obecnego „Pegaza", który wówczas jeszcze nie miał tej nazwy. Było to w styczniu 1950 roku. Znów awansowałem, to znaczy stałem się pracownikiem księgarni, jakbyśmy dziś powiedzieli sprzedawcą. W dwa lata później zostałem zastępcą kierownika tejże księgarni. Czy pan uwierzy, jeśli powiem, że przez tę księgarnię, w okresie mojej pracy przewinęło się stu sprzedawców? Ot, taka moja prywatna statystyka. A przez te moje 33 lata pracy, miałem ośmiu szefów. Teraz, przed emeryturą, sam zostałem szefem, do tego placówki, która chyba najbardziej czynnie wpisała się na mapę kulturalną Łodzi.

●●● Pamiętam niektórych ludzi, jacy przewinęli się przez „Pegaza". Przychodził profesor matematyki z Seminarium Duchownego *Ignacy Rolński*, zawsze z laseczką i w białych rękawiczkach. Zanim cokolwiek kupił, wpierw żądał piepierosa. Zjawiał się także profesor prawa *Litwin*, który nigdy nie życzył sobie aby pakowano mu książki, utrzymując, że tylko się chleb pakuje, a książka jest po to, żeby można było do niej zajrzeć na ulicy czy w tramwaju. Pamiętam jako młodych ludzi: *Mariana Piechala, Jana Koprowskiego, Władysława Rymkiewicza*... W latach pięćdziesiątych odbywały się u nas tak zwane *„Spotkania kulturalne w księgarni „Pegaz"*. Był więc *Marian Piechal* z wykładem o twórczości poetów łódzkich, było spotkanie z *Janem Augustyniakiem*, dyrektorem Łódzkiej Biblioteki Publicznej im. Ludwika Waryńskiego, spotkanie poświęcone pamięci *Zygmunta Bartosiewicza*, eseisty i nowelisty, z wspomnianym już profesorem *Ignacym Rolińskim*, było spotkanie z *Józefem Pilarskim*, był wieczór poświęcony *Władysławowi Strzemińskiemu* przygotowany przez profesora *Stefana Wegnera* i inżyniera *Czesława Gardę*. Niezwykle miłą uroczystość przeżyłem w czerwcu 1964 roku, kiedy to nastąpiło odsłonięcie tablicy poświęconej pamięci *Włodzimierza Pfeiffera*, zasłużonego łódzkiego księgarza.

●●● W międzyczasie uzupełniłem swoje wykształcenie: ukończyłem Technikum Księgarskie w Poznaniu. Wie pan, książka człowieka wciąga, ma w sobie przedziwną magię i kto bodaj raz się z nią zetknął, ten już nigdy od niej nie odejdzie. Czy zauważył pan, że książki mają zapach? Jedyny i niepowtarzalny. Nic tak nie pachnie jak książki. To narkotyk, z którego nie można się wyleczyć. Obserwuję nieraz niektórych moich kolegów, którzy odchodzą z zawodu. I co? Ano gdzie indziej długo nie wytrzymują. Rzucają wszystko i wracają do książek. I mimo tego, że nasze zarobki są mierne, że godziny pracy niewygodne — ludzie trzymają się tego zawodu. Jest to tajemnica, której nie udaje się zgłębić.

●●● Co pamiętam z owych, odległych lat? Pamiętam, że były wydawane dzieła *Karola Marksa* w dwóch tomach za jedyne 15 złotych. Podobnie było z wyborem tekstów *Włodzimierza Lenina*. Było tego u nas sporo, jak zresztą innych klasyków marksizmu-leninizmu. Ale te książki nie zalegały półek. Zazwyczaj zjawiali się przedstawiciele zakładów pracy i wykupywali je na nagrody dla swoich pracowników. W tamtych czasach robotnik nie dostawał albumów za dobrą pracę, ale *Lenina, Stalina, Marksa* lub *Engelsa*. Większość zakładów pracy wydawała specjalne talony swoim robotnikom, na które można było nabyć książki wspomnianych autorów. Myśli pan, że to był przymus? Nic podobnego, ludzie naprawdę brali te książki. Pamiętam pewnego księdza, który bardzo zabiegał o całość dzieł Lenina, a przecież było tego, o ile dobrze pamiętam, 37 tomów, choć każdy kosztował zaledwie 4,50 złotych. Natomiast, co wydaje się dziwne, nie było „ciągu" na książki klasyków naszej literatury, a przecież wydane już były w owym czasie dzieła *Mickiewicza, Słowackiego, Sienkiewicza, Żeromskiego*. Kupowano poszczególne ich tytuły, nie kupowano całości. Pamięta pan książki po 2,40 złote? Książka była tania, dostępna, choć edytorsko nie najlepsza. Ale była. Tylko jeden autor rozchodził się jak przysłowiowa woda: *Kraszewski*. Jego dzieła wychodziły w latach 1946—1951, a ludzie, proszę pana, cierpliwie czekali na kolejne tomy. Bywało i tak, że nagle przychodziło polecenie natychmiastowego wycofania jakiegoś tytułu ze sprzedaży. Wie pan, wielka polityka, stosunki międzynarodowe... W latach sześćdziesiątych otrzymaliśmy egzemplarze *„Tajnej korespondencji pomiędzy Churchilem a Stalinem"*. Jeszcze nie zdążyliśmy rozpakować paczek, jak książkę od nas zabrano.

●●● W owych latach nasza placówka, myślę o „Pegazie", przygotowywała przyszłych adeptów księgarstwa. Zjawiali się tu różni ludzie. Jedni wytrzymywali próbę, inni odchodzili. Czasem takie odejście było uzasadnione, bowiem ci ludzie osiągali powodzenie i sławę w innych zawodach. Proszę sobie wyobrazić, że u mnie „terminowali" między innymi: *Ryszard Dembiński*, dziś znakomity aktor, *Piotr Goszczyński* — dziennikarz z „Głosu Robotniczego", *Adam Nonas* — redaktor z „Expressu Ilustrowanego"... Ale stało się i tak, że wielu z tych, których niegdyś uczyłem, dziś sami prowadzą księgarnie: *Wacława Kuzdak, Halina Białkowska, Ireneusz Dziana, Tadeusz Zdziobek, Halina Staroń*...

●●● Teraz chciałbym parę słów poświęcić ludziom, pod kierownictwem których uczyłem się fachu księgarskiego. W ciągu swojego 33-letniego romansu z książką miałem ośmiu zwierzchników. Większość z nich znałem krótko, przeszli przez moje życie bez śladu. Ale jeden z nich swoją osobowością wywarł na mnie wielki, zdecydowany wpływ. Myślę o dyrektorze *Janie Gierańczyku*, moim nauczycielu, który nauczył mnie uczciwego księgarstwa, miłości do książki, traktowania wszystkich klientów z jednakowym szacunkiem. Był wielkim pedantem: nie znosił nieporządku, brudu, kłamstwa. Sam tego przestrzegał i wymagał tego od innych. Może czasami wydawał się nawet ostry w obejściu, ale ktokolwiek przychodził do pracy do „Pegaza" chciał tu pozostać. *Jan Gierańczyk* rozpoczynał pracę w księgarstwie mając zaledwie 14 lat i pracował do emerytury. Miał ogromne doświadczenie, które starał się nam wpoić. Wie pan, że odchodząc na emeryturę, martwił się o jedno: czy „Pegaz" utrzyma swoje dobre tradycje, zachowa pozycję przodującej księgarni? Pracowałem z *Janem Gierańczykiem* 31 lat i dziś mogę powiedzieć, że było to najdłuższe moje „małżeństwo" w księgarstwie. Na dobrą sprawę, to on mnie ukształtował, robił wszystko by mnie tu zatrzymać jako swojego zastępcę, mimo tego, iż miałem propozycje objęcia samodzielnie placówki księgarskiej. Teraz dopiero zrozumiałem dlaczego to robił. Bo widział mnie jako kontynuatora rozpoczętej przez niego pracy, jako tego, który zachowa dobre imię księgarni „Pegaz".

●●● Z mojego doświadczenia wynika, że znaleźliśmy się w sytuacji głodowej, myślę o głodzie książki. Dziś właściwie niczego nie ma. Na lekturach uczyły się i kształtowały pokolenia polskich dzieci, lektury były niejako opoką, na której wznosiło się budowlę zwaną świadomością narodową Polaków. Proszę mi wierzyć, przez lekturę gazet nikogo się nie wychowa. A przecież mamy za sobą tysiącletnią historię naszej kultury. Jak ją przekazać młodzieży? Wie pan, stoję za kontuarem i ciągle odpowiadam, że *Sienkiewicza* — nie ma, *Prusa* — nie ma, *Konopnickiej* — nie ma. I tak na okrągło. Moje „nie ma" jest najczęstszą odpowiedzią na rozpaczliwe nieraz żądania kupujących. „Nie ma" oraz „nie wiem kiedy będzie" to podstawowy nasz słownik w księgarni. A przecież nie trzeba wydań na czerpanym papierze, może by tak wrócić do praktyk pierwszych lat powojennych, kiedy wydawano książki na papierze gazetowym? Skoro nie stać nas na bułki, niechże przynajmniej będzie pod dostatkiem zwykłego chleba. Kryminały ukazują się w stutysięcznych nakładach, a na przykład *„Faraon"* wyszedł w 50 tysiącach, *„Chłopi"* także. Czy ma to jakiś sens? I gdzie tu logika? Dziś sprzedaż wygląda następująco: wynoszę jakiekolwiek książki z magazynu, a ludzie już ustawiają się w kolejkę i biorą każdy tytuł, nie zastanawiając się co to są za książki i jaką zawierają wartość poznawczą. Mówią: proszę po jednej z każdej kupki. Nawet nie odstraszają ich nowe ceny...

●●● Wręcz tragicznie przedstawia się rzecz z mapami. Po prostu ich nie ma. Nie ma atlasów, nie ma map historycznych. Ludzie szturmują księgarnię, a my nie mamy już siły odpowiadać na ich pytania, kiedy cokolwiek będzie, gdyż sami nic nie wiemy. Ostatnią mapą była *„Polska administracyjna"*, której otrzymałem zaledwie 500 egzemplarzy. Ale było to dwa lata temu...

●●● Nie ma także książek dla młodzieży i książek dziecięcych. Rodzice nie mogą zrozumieć, że lady są puste, że pod ladami także nie ma nic, że w magazynach na półkach osiada od lat kurz. Może lepiej będzie, jeśli posłużę się przykładami które zilustrują zapotrzebowanie na książkę dziecięcą i młodzieżową. Oto ukazała się *„Muzyka na krzywej wiezy" Wiery Bodalskiej* w nakładzie 375 tysięcy. Księgarnia „Pegaz" otrzymała z tego 500 egzemplarzy. Sprzedaliśmy tę książeczkę w ciągu trzech godzin. Albo *„Noc kota Filemona" Sławomira Grochowskiego* i *Marka Nejmana* również w nakładzie 375 tysięcy, a my otrzymaliśmy z tego 300 egzemplarzy. Czy to nie absurd? W jaki sposób przyzwyczajać dziecko do książki, jeśli książki nie ma? Jestem przekonany, że gdy dziecko dorośnie będzie za późno na jego książkową edukację. Pamiętam jaki był tłok i ścisk, gdy otrzymaliśmy *„Pinokia" Collodi'ego*. Wyszła ta książka w nakładzie 100 tysięcy, my otrzymaliśmy znów 500 egzemplarzy. Co tu się działo! Ludzie o mało nie poprzewracali kontuarów, dochodziło do scysji, kłótni, do wyrywania sobie egzemplarzy z rąk.

●●● Wiele książek było przetrzymywanych w Warszawie w Składnicy Wysyłkowej, chowano je przez lata i dopiero teraz trafiły do księgarni. Oto przykłady: *„Pięć przygód detektywa Konopki" — Janusza Domagalika* ukazała się w 1980 roku, *„Kawalerowie Virtuti" — Kazimierza Radowicza* wydrukowano w 1979 roku. *„Bohaterowie zielonych granic" — Alfonsa Filara* także wyszła w roku 1979, *„Pieśń Salomonowa" — Toni Morrisona* w roku 1980, *„Opowiadania" — Stanisława Młodożeńca* aż w roku 1976, dwutomowe *„Królestwo bez ziemi" — Tadeusza Hołuja* w roku 1980, podobnie było z *„Mapą samochodową Polski"*, która także dwa lata przeleżała w magazynach nim trafiła do księgarń. Wszystkie te książki, a wymieniłem zaledwie część, otrzymaliśmy 23 lipca tego roku. Powiedz pan, o co tu chodzi? Bo ja nic z tego nie rozumiem. Przecież był to zamrożony kapitał, który nie procentował. Ale zdarza się i tak, że ukazuje się jakaś pozycja książkowa, ale do nas, do Łodzi, nie dociera. Tak było z książką *„Władysław Sikorski"* wydaną przez Krajową Agencję Wydawniczą. Książka ukazała się... i została sprzedana wyłącznie w Krakowie. I znów czegoś nie rozumiem: dyskryminacja? przeoczenie? A może zupełnie co innego?

●●● Brakuje także książek-poradników. Kiedyś wychodziły w masowych nakładach książki o psach, papużkach, o akwariach, książki dla wędkarzy, dla ogrodników, dla majsterkowiczów. Dziś tego nie ma. A przecież hobbystów przybywa, przybywa także ogródków działkowych, rozwija się turystyka samochodowa. Ostatnie poradniki dla samochodziarzy były kilka lat temu, była cała seria *„Naprawa samochodu"*.

●●● Kiedy rozpoczynałem pracę w księgarstwie obok sprzedawania miałem za zadanie doradzać czytelnikowi. Dziś z tego szlachetnego założenia nie pozostało nic. Ja nie mam czasu doradzać, bo nie zdążam, gdyż czytelnik bierze absolutnie wszystko, co leży na ladzie. Jak wspomniałem, przepracowałem w tym zawodzie 33 lata i oto doszedłem do dyrektorskiego stanowiska. Przyznam się, że jakoś nie czuję się przez to ani wyższy, ani bardziej ważny. Po prostu robię to, co robiłem przez te wszystkie lata, no, może przychodzę do pracy wcześniej od innych i ostatni wychodzę. Gdyby jeszcze było co sprzedawać...

Zadawał pytania i uważnie słuchał:
EUGENIUSZ IWANICKI

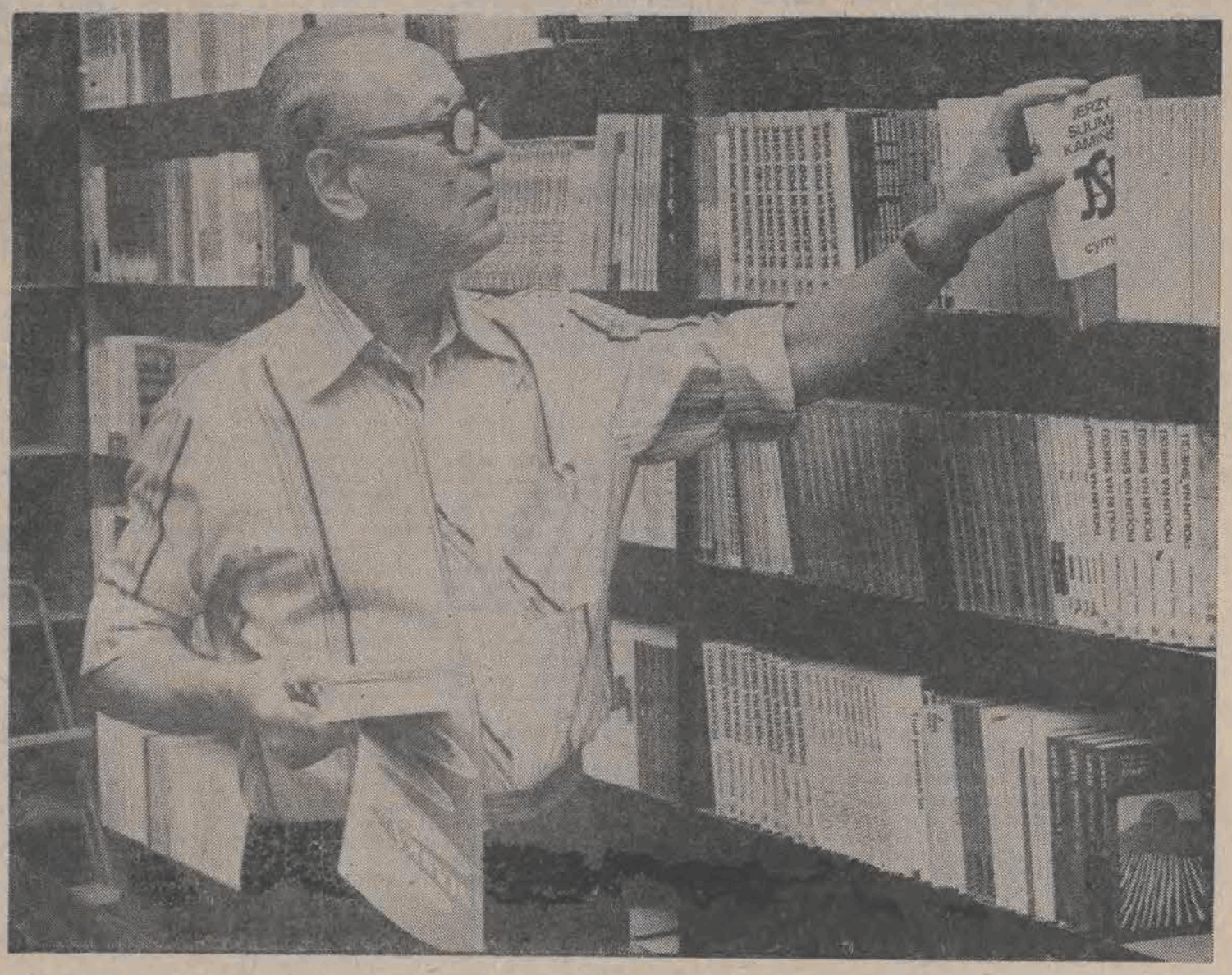

Foto: M. Zajdler

Kronika kulturalna

W dniach 6 do 8 sierpnia odbyły się w Gdańsku X Nadbałtyckie Spotkania Jazzowe — „Jazz Jantar 82" zorganizowane przez klub studentów Wybrzeża „Żak" oraz Polskie Stowarzyszenie Jazzowe. Tegoroczna impreza znalazła się w programie tradycyjnych „Dni Gdańska".

Koncerty zaprezentowały czołówkę polskiego jazzu — odbyły się w Wielkim Młynie, zaś koncerty klubowe gdańskich zespołów — w kawiarni Studenckiego Klubu „Żak".

Trwa jeszcze w Salonie Fotografiki ŁTF Międzynarodowa Wystawa Fotografiki: Akt i portret. Nie tak głośna jak krakowska „Venus" prezentuje jednak sporo prac na wysokim poziomie.

W styczniu przyszłego roku odbędzie się w Łodzi I Ogólnopolski Festiwal Studenckich Sztuk Dyplomowych. Impreza składać się będzie z 10 przedstawień dyplomowych przygotowanych przez wykładowców i studentów wyższych szkół teatralnych.

Inicjatorem i gospodarzem Festiwalu jest PWSFTviT im. L. Schillera w Łodzi. Pomoc finansową przyrzekło Ministerstwo Kultury i Sztuki i władze miejskie.

Za dwa lata, tj. w roku 1984 Festiwal ma uzyskać rangę międzynarodową.

W Urzędzie m. st. Warszawy zarejestrowane zostało Stowarzyszenie Autorów im. Bolesława Prusa, jako organizacja skupiająca autorów książek naukowych i popularyzatorskich różnych dziedzin wiedzy.

Rada Główna Stowarzyszenia wybrała na swym pierwszym posiedzeniu władze w składzie: prezes — **Władysław Białek**, wiceprezes — **Henryk Mąka**, sekretarz generalny — **Franciszek Bernaś** i skarbnik — **Lucjan Meisner**.

W Wycześniaku koło Skierniewic zakończył się trzytygodniowy wojewódzki plener malarski poświęcony setnej rocznicy powstania ruchu robotniczego w Polsce, a także krajobrazowi skierniewickiemu. W imprezie wzięło udział kilkudziesięciu twórców profesjonalnych z woj. skierniewickiego, łódzkiego i warszawskiego, a także plastycy z okręgu Gera w NRD. Plonem pleneru jest kilkadziesiąt prac w większości olejnych, które wystawione będą w BWA w Skierniewicach w przyszłym roku. Prężna placówka BWA przygotowuje się do organizacji wojewódzkich targów sztuki współczesnej w Skierniewicach.

Zakończyły się obrady światowej konferencji UNESCO, poświęconej najważniejszym problemom polityki kulturalnej. Przyjęto ok. 200 rezolucji, dotyczących ochrony zabytków kultury, popierania twórczości artystycznej i intelektualnej, rozwoju szkolnictwa artystycznego itd.

Kraje arabskie zgłosiły projekt rezolucji, dotyczący ochrony kultury palestyńskiej zagrożonej przez agresję izraelską. Projekt, który spotkał się ze sprzeciwem niektórych delegacji (m.in. północnoamerykańskiej) został przyjęty większością głosów.

„Życie Literackie" podaje listę zmian na fotelach dyrektorskich w różnych teatrach polskich. Krakowski Teatr im. Słowackiego obejmuje, po wygraniu konkursu, **Mikołaj Grabowski**. Teatr w Opolu obejmie w nowym sezonie **Wojciech Zeidler**. Teatrem częstochowskim zawiadywać będzie duet dyrektorski **Jerzy Jurczyński i Wojciech Kopciński**, a kaliskim — **Maciej Grzybowski i Roman Kordziński**.

W Koszalinie odbywał się V Festiwal Chórów Polonijnych. Wystąpiły m.in. chóry polskie z Essen, Dusseldorfu, Kolonii, Oberhausen i dwa chóry polonijne z Czechosłowacji.

---

25 lat istnienia obchodzi Olsztyńska Pantomima Głuchych. Ta unikalna placówka kulturalna wystawiła na jubileusz „Bankiet" wg. Witolda Gombrowicza z muzyką Czesława Niemena w reżyserii długoletniego kierownika zespołu, **Bogdana Głuszczaka** i **Jacka Wierzbickiego**. Scenografia **Andrzeja Markowicza**.

Jest nadzieja, że jubileuszowy spektakl będzie powtórzony w większych ośrodkach w całym kraju.

Instytut Wydawniczy „Nasza Księgarnia" ogłosił konkurs zamknięty i otwarty na prozatorski utwór o tematyce historycznej dla dzieci. Może to być esej, opowiadanie, powieść. Organizatorzy liczą na oryginalne i nigdzie dotąd nie publikowane prace (10 arkuszy autorskich) i proszą o nadsyłanie utworów. Adres: Instytut Wydawniczy „Nasza Księgarnia" ul. Spassowskiego 4, 00—389 Warszawa.

Termin konkursu otwartego — 31 marca 1983 — a zamkniętego — 30 czerwca 1983 r.

■

Ostatnie dni Michała Bułhakowa

„Litieraturnaja Rossija" w swoim 27 tegorocznym numerze zamieściła wspomnienia o ostatnich latach i dniach Michała Bułhakowa pióra Siergieja Jermolińskiego. Jest to wstrząsający dokument dotyczący jednego z największych pisarzy radzieckich, który za życia nie doczekał się uznania, na jakie zasłużył. Poniżej zamieszczamy fragmenty wspomnianej publikacji. Skróty i układ pochodzą od tłumacza.

Skończył czterdzieści lat. W tym wieku nie tak łatwo rozpoczynać życie od nowa. Przecież nie miał pewnego miejsca w literaturze, natomiast ona miała ustabilizowaną sytuację rodzinną i dwoje dzieci. Niemniej oboje byli uparci w swoim postanowieniu by być razem. Nie od razu udało się, dopiero gdy on otrzymał małe lokum w przybudówce Domu Pisarzy w Naszczokinskim zaułku (obecnie ulica Furmanowa). Michał Afanasiewicz z Heleną Siergiejewną tam się przenieśli. Wraz z nimi jej młodszy syn Sierioża, starszy — Żenia — pozostał przy ojcu, lecz często przychodził później do nich i bardzo przywiązał się do Bułhakowa.

Kiedy wspominam tamte lata, ostatnią dekadę życia Bułhakowa, nie przestaję podziwiać jego niewyczerpanej energii twórczej. Przy tym nie ulegał żadnej drobnej próżniaczej krzątaninie, żadnej „modzie". Swobodnie i z rozmachem pracował nad *„Mistrzem i Małgorzatą"* i mądra dojrzałość myśli coraz bardziej łączyła się ze swawolą autentycznego natchnienia. Ale praca nad powieścią, którą uważał za swoją „najważniejszą książkę" co raz to była przerywana. Zagadkowy utwór o diable w Moskwie w owe czasy nie mógł liczyć na publikację. A trzeba było żyć, to znaczy zarabiać. Czyż mógł dopuścić, by dom Heleny był ubogim? Nie, nie był żebrakiem! Przyjaciół, przychodzących w odwiedziny, zawsze spotykano z jednakową gościnnością i nikt nie mógł się domyślić w jakim stanie są sprawy pisarza Bułhakowa. Pisarz Bułhakow pracował. Pisał sztuki teatralne. Pisał je nie tylko dla pieniędzy, a dlatego, że był dramaturgiem i pragnął je pisać. Ale ze sztukami było kiepsko. Dlatego musiał tak często chwytać się za pisanie librett dla oper i baletów, za inscenizacje i scenariusz dla filmów. Oczywiście, było to uciążliwe, lecz starał się nie tracić humoru. Siadłszy przy fortepianie, tworzył fantazyjną muzykę i śpiewał, ułożone przez siebie, recitatywy, naśladując śpiewaków operowych... Ale najgorsze było to, że go ciągle oszukiwano. Działacze teatralni (z Moskwy, Leningradu, Charkowa) zjawiali się jak tylko kończył kolejną sztukę, wyrażali swój zachwyt, obiecywali natychmiast podpisać umowę, telefonowali, ponaglali, a potem nagle telefon milkł, ludzie znikali jakby nigdy się nie pojawiali. Byli ostrożni? Wyczekiwali? Prawdopodobnie. Ale to trzymało w napięciu, rozstrajało nerwy. Bułhakow nazywał to „teatralną gumą". Wycieńcza więcej niźli nagły cios, niepowodzenie, katastrofa.

Jesienią 1939 r. razem z Leną pojechał do Leningradu... W Leningradzie dała znać o sobie choroba. Gwałtownie pogorszył mu się wzrok. Lekarze stwierdzili ostrą, wysoką hipertonię. Wiedział, że to miażdżyca naczyń nerkowych i wiedział czym to się skończy. Poradzono więc, by wrócił do Moskwy.

W Moskwie położył się i więcej nie wstał.

Przyszedłem do niego nazajutrz po ich przyjeździe. Był rzeczowy i spokojny. Skrupulatnie opowiedział mi co z nim będzie się działo w ciągu półrocza, jak będzie rozwijać się choroba. Wyszczególniał tygodnie i miesiące, a nawet dni, określając wszystkie etapy choroby. Nie wierzyłem, lecz w przyszłości wszystko odbyło się jakby według przygotowanego zawczasu przez niego grafiku.

Wykorzystawszy nieobecność Leny, powlókł się do biurka i zaczął wysuwać szuflady, mówiąc:

— Patrz, oto teczki. To są moje rękopisy. Winieneś wiedzieć, Sierioża, gdzie co leży. Będziesz musiał pomagać Lenie.

Jego twarz była surowa, więc nie miałem odwagi zaprzeczyć.

— I pamiętaj: ani słowa Lenie o moich prognozach medycznych. Póki co — to największy sekret. — I wpełzł pod kołdrę, przykrył się aż po brodę, umilkł.

W przedpokoju rozległy się głosy. Wróciła Lena i zastała nas rozmawiających o różnych sprawach nie mających związku z jego chorobą. Na jej pytanie, jak się czuje, odparł:

— Trochę słabo, lecz ogólnie w porządku.

Obok posłania, na stoliku pojawiało się coraz więcej lekarstw. Coraz częściej zjawiali się lekarze. Było ich kilku. Lekarz z MCHAT-u Iwierow zupełnie zamilkł w kręgu luminarzy medycznych. Wychodzili od chorego zmieszani. On sam postawił sobie diagnozę i niczego nie można było ukryć. Mimo to lekarze długo jeszcze szeptali w korytarzu, żegnali się z Leną, dodawali jej otuchy, odchodzili.

Rysy twarzy zaostrzyły się. Odmłodniał. Oczy stały się zupełnie jasnoniebieskie, czyste. I włosy, trochę rozwichrzone, upodabniały go do młodzieńca. Spoglądał na świat ze zdziwieniem i jasno.

Kiedyś, uniósłszy na mnie oczy, zaczął mówić zniżając głos, jakimiś obcymi dlań słowami, w zawstydzeniu:

— Co to chciałem powiedzieć... Rozumiesz.... Jak każdemu śmiertelnikowi, wydaje mi się, że śmierci nie ma. Jej po prostu nie można sobie wyobrazić. A ona jest.

Zamyślił się i potem dodał jeszcze, że duchowy kontakt z bliskim człowiekiem po śmierci wcale nie ustaje, przeciwnie, może nasilić się, a to bardzo ważne, by się tak stało...

— A niech to! — przerwał sam sobie. — Chyba rzeczywiście źle ze mną, skoro mówię o takich rzeczach. Nie uważasz?

— Nie uważam — burknąłem i niespokojnie pomyślałem: jaką on ma dobrą twarz. Jak u dziecka.

Prawie do ostatniego dnia niepokoił się o swoją powieść, żądał, by mu przeczytać tę lub inną stronę.

Siedząc przed maszyną do pisania, Lena cicho czytała: *„Z najbliższego słupa rozległa się ochrypła, bezmyślna piosenka. Wiszący na nim Gestas przy końcu trzeciej godziny kaźni stracił rozum od much i słońca i teraz cicho śpiewał coś o winnicy..."*.

Przerwawszy czytanie, Lena spojrzała na niego.

Leżał nieruchomo, myślał. Potem odwróciwszy głowę w jej stronę, poprosił:

— Cofnij się o cztery — pięć stron. Jak tam jest? Słońce kłoni się...

— Znalazłam: *„Słońce kłoni się ku zachodowi, a śmierć nie nadchodzi"*.

— A dalej? Następna linijka?

— *„Boże! Czemu się gniewasz na niego? Ześlij mu śmierć"*.

— Tak, tak — powiedział. — Teraz zasnę, Leno. Która godzina?

Były to dni milczącego, niczym nie zmniejszanego cierpienia. Powoli umierały w nim słowa.

Zwykłe dawki środków nasennych przestały działać. Pojawiły się długie recepty pokryte kabalistyczną łaciną. Według tych recept, przekraczających wszystkie dozwolone normy, przestano wydawać leki naszym posłańcom. Wypadło chodzić osobiście do apteki, tłumaczyć w czym rzecz.

Kilkakrotnie telefonował A. A. Fadiejew, pytał z niepokojem czy nie trzeba pożyczki ze Związku, czy nie potrzeba bodaj czegokolwiek?

— Myślę, że już nic nie potrzeba.

— Niemożliwe?! — zapytał szeptem i pomilczawszy chwilę, sapiąc, odkładał słuchawkę.

Rzeczywiście, już nic nie mogło mu pomóc.

Jego organizm był otruty, każdy mięsień przy najmniejszym ruchu bolał nie do wytrzymania. Krzyczał, nie mogąc powstrzymać krzyku. Ten krzyk słyszę do dziś. Przewracaliśmy go delikatnie. I jakby go nie bolał nasz dotyk, trzymał się, nawet nie stęknął, mówił chichutko, samymi wargami:

— Dobrze to robisz... Dobrze...

I już nikogo, oprócz Leny i mnie, nie dopuszczał do siebie. Oślepł.

Kiedy nachylałem się nad nim, obmacywał moją twarz palcami i w ten sposób poznawał. Lenę poznawał po krokach, zaledwie pojawiała się w pokoju.

Zmarł 10 marca 1940 roku o czwartej po południu.

Lena była opanowana i spokojna. Takiego opanowania, zdaje się, nigdy nie widziałem. Kazała mi notować w zeszycie tych, którzy przychodzili się z nim pożegnać. A przychodzili nie tylko bliscy znajomi. W pokoju zrobiło się ciasno. Drzwi na oścież, ludzie na schodach... Jestem w kłopocie mówiąc o tych, którzy byli. Przecież nazwisko pisarza Bułhakowa zostało porządnie zapomniane. Dawno ucichł, wywołany wokół niego szum z lat dwudziestych. Tylko w MCHACIE nadal grali *„Dni Turbinych"*. Jego proza, nieznana czytelnikowi, leżała w szufladach biurka. I dlatego nie ma co się dziwić, że kiedy trumnę przewieziono do Związku Pisarzy, okazało się, że ludzi jest zaledwie garstka. Wielu odchodziło i wracało. Pod wieczór był już tłumek. Było cicho. Nie było muzyki. Prosił, by chowano go bez niej.

21 marca Zarząd Związku Pisarzy ZSRR zatwierdził naszą pierwszą komisję do zajęcia się rękopisami. Ale czyż był to właściwy czas na „wskrzeszanie" Bułhakowa? Groźne wydarzenia zbliżały się nieuchronnie. W czerwcu 1941 wybuchła wojna. Temat wojny, temat żołnierskiego męstwa i ogólnonarodowego czynu stały się głównymi, jedynymi tematami całej naszej literatury.

W 1949 r. w związku ze zbliżającym się dziesięcioleciem śmierci Bułhakowa, Lena przypomniała Związkowi Pisarzy, że jeszcze 21 marca 1940 roku Zarząd Związku Pisarzy ZSRR zdecydował się wydać zbiór jego sztuk teatralnych.

Poradzono by z tym zwróciła się do Wydawnictwa „Isskustwo".

Poszła.

O ile dobrze pamiętam, dyrektorem był tam wówczas J. J. Sawierin. Zapoznał się z maszynopisami, jakiś czas rozmyślał, w końcu wybrał dwie sztuki — *„Dni Turbinych"* i *„Ostatnie dni"* — i powiedział: „Wydamy książkę z tymi dwiema sztukami i postaramy się zrobić to jak najszybciej, powiedzmy, na rocznicę dziesięciolecia...

Wyszła pierwsza, cieniutka książeczka.

W latach sześćdziesiątych zostały opublikowane wszystkie, znaczące, ważne utwory Bułhakowa. Wydawnictwo „Isskustwo" zapoznało czytelników z jego dramaturgią (wyszły dwa zbiory sztuk teatralnych). Potem pojawił się Bułhakow — prozaik. Wydano *„Białą gwardię"* (po raz pierwszy w całości), *„Życie pana Moliera"*, *„Notatki lekarza"*, *„Romans teatralny"* oraz w czasopiśmie ukazała się powieść *„Mistrz i Małgorzata"*, który to utwór wywołał istną sensację. „Zawsze twierdziłem — wykrzyknąłby Bułhakow — że moja powieść stanie się wydarzeniem". Tak objawił się, niby cud, pisarz dotąd nieznany czytelnikowi i odkrywający światu jeszcze jedną niezwykłą, olśniewającą stronicę naszej, radzieckiej literatury.

OD TŁUMACZA: Przez wiele lat powieść *„Mistrz i Małgorzata"* była wydawana ze skrótami. Dopiero w 1973 r., trzydzieści trzy lata po śmierci jej autora, czytelnicy otrzymali tekst w całości. Wydawnictwo „Chudożestwiennaja Litieratura" pięknie wydało zbiór trzech powieści Bułhakowa *(Białą gwardię, Romans teatralny i Mistrza i Małgorzatę)* pod wspólnym tytułem *„Powieści"*.

Sława przyszła po śmierci. Sława, jakiej pisarz nie oczekiwał. Dziś nie sposób wyobrazić sobie światową literaturę bez Bułhakowa.

EUG. IW.

■

Grzegorz Kościński

Marcinowi — operatorowi filmowemu na pięknej, acz niespodziewanej biesiadzie w nocy z czwartego na piątego marca 1982.

Posłuchaj Marcin
Tobie się zdaje
Że do pokoju wejdzie
Księżna
Księżyc załamie światła sw.
W jej szatach
Dłoniach niedosiężnych

Posłuchaj Stary
Światło świec się załamuje
I cień świta Świta Panika
Pani Twej Ogromny Cień
Na który czeka Troglodyta
Wielki Krokodyl i King-Kong
Na biedną czeka Twoją Ewę...
Drzewo zamienia w węża się
Jabłko drewnieje pod Aniołów śpiewem

★
☆ ☆

Taki znudzony stary film
Kiedyś widziałem w tamtych latach
Już nie powrócę do tych chwil
Bo dalej Leśmian i zatrata

A teraz myślę zdrową kpiną
Zakończyć niepotrzebny wiersz
Marzenie — nie bądź nam Dziewczyną
A zresztą bądź — kim chcesz gdzie
chcesz

★
☆ ☆

Iwonka. Samo imię już pachnie jak łąka
W głębi lata lipcami rozgrzana
Kiedy w trawach brodzę po kolana
I muzyką zanoszą się świerszcze

Południe już mija a jeszcze...

Jeszcze przyjdą nie późnym wieczorem
Paść się sarny na łące pod borem
Przemknie rudas fałszywym się tropem
Jeszcze chwila ta chwila a potem...

Dzień się zacznie tak zwykły jak inny
Z kłopotami z marzeniami jak nigdy

Bezczelność

Nic mi o Panie zakłócić nie zdoła
Wielkiej Radości Naszego Istnienia
Niech na me konto Rozpacz zapisują
Smutek się zawsze w nasze słońce
zmienia

■

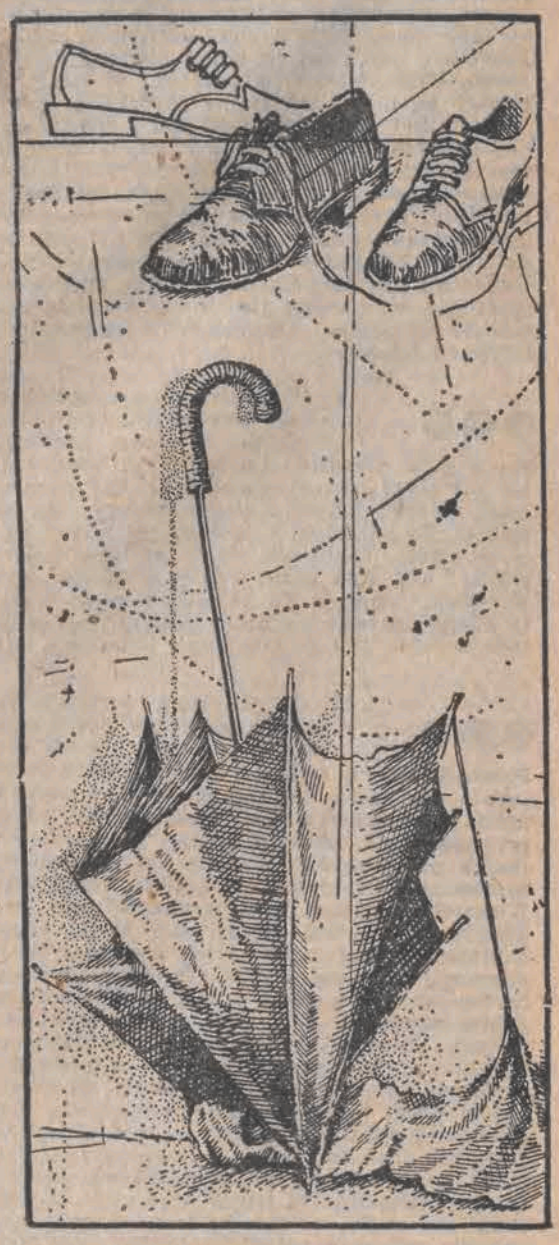

Rys. Janusz Szymański-Glanc

O obowiązku strzeżenia tożsamości

O pracy nad swoją najnowszą powieścią* wspominał Wiesław Jażdżyński Jerzemu Kwiecińskiemu już w 1978 r. („Głos Robotniczy" nr 294). „Gdy pęka nić" to powieść współczesna tętniąca pełnią życia końca lat siedemdziesiątych. Wywodzący się z Prochownicy Żurawieccy pogubili się jakoś, rozeszli. Kiedy jeden z rodu, znakomity naukowiec, akademik, prof. Alfred Żurawiecki otrzymuje wysokie odznaczenie państwowe i rozsyła zaproszenia na jubileusz — spotyka go zawód. Nikt się nie odezwał. Po miesiącu daremnego wyczekiwania na odpowiedzi profesor gotów był zrezygnować z uroczystości. Sprawy jednak były już rozkręcone. „W wielki dzień jego jubileuszu (...) stał przy nim tylko minister, sekretarz, tylko prezydent i rektor, spora garść nieprzyjaciół. Tylko oni, ale nie własne dzieci, brat czy siostra, nie przyjaciel z dawnych lat. Nie umiał zatrzymać ich przy sobie".

Również stryjeczny brat profesora, Franciszek Żurawiecki, zdolny konstruktor wagonów kolejowych zbudował „mur dzielący go od przeszłości". Dziwni są ci Żurawieccy — „każdy familiant z osobna jest przyzwoity, absolutnie do zaakceptowania ale całości to oni nie stanowią, pogryźli się nie bardzo wiadomo o co". Wprowadzona do rodziny przez syna profesora, Jurka — Zofia, była zadziwiona takim stanem obojętności. „Nie rozumiała tego. Byli sami, porzuceni, prawie bezdomni, bez nikogo bliskiego. Ojciec zajęty, zakochany po uszy w młodej kobiecie, matka w grobie, rodzina w rozsypce". Ani Jurek, ani

ZDZISŁAW KŁAPCIŃSKI

Hanna nie lubili swej macochy może dlatego, że tak niewielka była między nimi różnica wieku, a może dlatego, że mogłaby ona być córką ich ojca. Nienawidzili jej. Siedem lat była gospodynią w domu ich ojca. Tragiczny wypadek samochodowy pozbawia profesora jedynej bliskiej mu osoby. Ze względu na anonimy musi oddalić, jakże mu teraz potrzebną, zaradną gosposię Albertę. Zostaje sam. Przeżywa to bardzo. Nie ugina się jednak. Gdy nagabuje go o synekturę ambitny, ale pozbawiony praktyki uniwersyteckiej Lamentowski, szwagier jego siostry — nie ugina się przed szantażystą nawet za cenę przypomnienia się jej. Dlaczego tak jest? Dlaczego nie tworzą klanu? Franciszek, gdy się spotkali, wprost Alfredowi przyłożył: „Oszukujesz się swoją własną przeszłością, zmyśliłeś ją sobie. Również ja wiem, że nie mieliście żadnego pałacu tylko zwykłą chałupę, nie lepszą i nie gorszą niż inni". Różnie się powodziło Żurawieckim, na wozie jechali i po wozem. Zostali w końcu oficjalistami, urzędnikami, czasami brali jakiś folwarczek w dzierżawę. Wszyscy o tym wiedzieli w Prochownicy...

Córka Hanna miała żal, że „ojciec nie pokazał jej i bratu właśnie swojego zwykłego domu, miejsca urodzin, pracy dziadków, przeciął nić wiążącą pokolenia". Dlaczego? — zastanawiała się. Teraz boli ją samotność ojca. Rusza, więc poprzez obcą jej Prochownicę do Zagajów, do brata. Chce „coś" ratować, ściągnąć go do ojca. Zrazu nie bardzo się to udaje. Na szczęście wspomaga ją w tych wysiłkach mąż, docent Seweryn Buracz. Jemu też nie podobają się formalne stosunki panujące w ich rodzinie. Jeździ na ryby do szwagra, rozmawiają. Wyjaśnia się dlaczego Jerzy podświadomie obawia się kontaktów z ojcem, po prostu kochał się w macosze. Teraz prześladuje go poczucie winy, z powodu jej śmierci. Czy więc nie mają szans na normalne życie w rodzinie, w swojej rodzinie? Odpowiedź pada szybko. Interesująca się profesorem jako mężczyzną Rosieńska postanawia jednym bojem zwyciężyć go i zdobyć. Mówi mu o stosunkach łączących nieboszczkę z jego własnym synem. Osaczony jej anonimami Żurawiecki tego ciosu nie wytrzymał, dostał ataku sercowego. Jest z nim bardzo źle. Gdyby nie towarzysze sekretarz i kierownik (bardzo pozytywne, prawdziwie oddane sylwetki działaczy partyjnych) najpewniej nigdy by nie odzyskał wiary w siebie. Zmyślona naprędce informacja o funduszach przyznanych na rozbudowę zakładu elektryzuje profesora i wraca żywym. Po miesiącu podciągnął się zdrowotnie już tak, że może wrócić do domu. Z przeżyć wyciąga wnioski. Inni członkowie rodu też jakby zaczynają szukać korzeni. Kiedy siostra Emilia postanawia ponownie wyjść za mąż, ślub organizuje sobie w Prochownicy. Ze współbiesiadnikami łączą ją nie tylko wspólnie spędzone dzieciństwo, ale i trudne lata partyzantki. Stąd teraz na ślubie były dowódca organizuje koncert muzyki sprzed lat. Młodzi dążąc do gniazda rodzinnego, na ślub ciotki, widzą idących dokądś ojców. Oni zaś nieświadomi nadciągającej burzy idą oglądać plac pod budowę wspólnego domu, snują wspólne plany. A więc odnaleźli się wreszcie, ci szaleni Żurawieccy? Czy wszyscy dobrze rozumieją okolicznościowo wypowiedziane myśli prof. Alfreda Żurawieckiego o jednym z najważniejszych obowiązków człowieczych, o obowiązku strzeżenia własnej tożsamości. Dowodzi on metaforycznie: „Nie na darmo wpisujemy w nasze dowody osobiste imiona rodziców i miejsce urodzenia (...) Ta właśnie informacja (...) nam przypomina, skąd jesteśmy, a jesteśmy przecież zawsze znad jakiejś rzeki, z ulicy naszego ojca, ziemi matki, ich imiona przypominają nam, że trzeba snuć dalej wątki, prząść cierpliwie nić, by nie pękła, i dobiegła lat, których my już nie dożyjemy, kiedy nasze imiona i imiona naszych wnuków będą wpisywane do tego wiecznego dowodu tożsamości".

Rozrachunek z przeszłością, jego wnikliwą analizę przedstawia Jażdżyński w procesie. Zachęca to do stawiania uogólnień — od czego zresztą nie stroni. Dogłębnie analizuje postawy moralne i zachowania swoich bohaterów. Postępowanie ich jest zawsze dobrze umotywowane; nakreślone sylwetki są krwiste. Przedstawiona panorama spraw i problemów naszego kraju — szeroka, ostra, barwna i niekonwencjonalna. Powieść ma ciekawą, dobrze obmyśloną kompozycję, szczególnie interesująco zrealizowaną w 23 segmencie. Pozornie nieskomplikowana fabuła rozbita jest w trakcie percepcji przez niewiedzę, rekonstrukcje, wspomnienia. Refleksyjność nie dominuje wszakże. Powieść jest napisana dobrą, soczystą polszczyzną. Jej żywość, bezpośredniość i jasność szczególnie uwidacznia się w bezpretensjonalnych świeżych dialogach; ich zalety to — nagła riposta, cięty dowcip. Narracja prowadzona jest krótkimi jędrnymi zdaniami co sprawia, że styl jest sprawny, lekki. Krótkie oszczędne opisy i duża ilość dialogów oddalają niebezpieczeństwo sentymentalizmu i dynamizują powieść. „Gdy pęka nić" jest jedną z najlepszych powieści Wiesława Jażdżyńskiego.

Chronologicznie i treściowo należy ona do kolejnego okresu twórczego Jażdżyńskiego. Z wcześniejszymi powieściami łączy ją tradycyjne u autora „Okolicy starszego kolegi" podejmowanie pytania Żeromskiego, pytania o miejsce i rolę inteligencji. Ostatnio Jażdżyński zdecydowanie odszedł od publicystyki. Począwszy od powieści „Daleko od prawdy" jego ambicje pisarskie preferują problematykę moralną. Jażdżyński pisze o naszej teraźniejszości. Odszedł od tematyki wojenno-okupacyjnej. Nie interesuje go bowiem pisanie powieści historycznych. Jeżeli podejmuje jakieś wydarzenie z przeszłości to ma ono znaczenie dla powieściowej teraźniejszości. Świat bohaterów ostatnich powieści Jażdżyńskiego nie jest obciążony tradycjonalizmem. Wręcz odwrotnie, nierozumne odejście czy zerwanie z przeszłością — jak to udowadnia w „Gdy pęka nić" — stwarza nasze współczesne problemy.

ZDZISŁAW KŁAPCIŃSKI ■

* Wiesław Jażdżyński: „Gdy pęka nić". Łódź 1982. Wydawnictwo Łódzkie, str. 282, cena 60 zł.

Seks alla Polacca

JERZY WILMAŃSKI

Słynny Andrzej Banach swoją książkę zatytułował „Erotyzm po polsku". Przypomina mi to pewien sklepik z krawatami, reklamujący się szumnym szyldem „Krawat Polski". A więc i erotyzm po polsku. A może po prostu — po ludzku?

Książka Andrzeja Banacha jest już dziś tylko mitem — wydano ją dawno, a i przed laty kupić ją było trudno. Ponieważ jednak wiemy, że zainteresowanie tymi sprawami wciąż jest w narodzie przeogromne, skorzystajmy z dzieła krakowskiego eseisty, aby przypomnieć co nieco naszej erotycznej klasyki poetyckiej.

Zacznijmy od **Adama Naruszewicza (1733—1796)**, skądinąd jezuity, który teologię studiował w Lyonie, a wykładał w Wilnie. Pod koniec życia był nawet biskupem. I oto czterowiersz tego wesołego księdza:

„Bądź pewny, gdy twój palec będzie w tym sygnecie
najwierniejszą twą żoną będę na tym świecie,
to mówiąc rękę jego do siebie
prowadzi
i w klejnot palec średni głęboko osadzi".

Naruszewicz, poeta prawdziwy, nie uznawał wulgarnej dosłowności. Pisał więc tak:

„Na tak piękną rzecz patrzy
i co żyw się bierze
do spódnicy, pytając czy
porosło w pierze
bujne na ptaku? czy ma spory ogon, czyli
sda się do rozmnożenia, czy
do krotochwili".

Stanisław Trembecki (1739—1812), a więc współczesny Naruszewiczowi, poeta i szambelan Stanisława Augusta, jako człowiek świecki mógł już w swej poezji bardziej pofolgować:

„Z róży kolanka, z alabastru
cuda.
Przy ślicznych ustach swe
usta położył
sześć razy skonał i sześć razy
ożył.
Klimenta grotem miłości
wskroś tknięta
podnosi w górę zemdlone
oczęta.
Krzyk z pomieszaniem miłuchnej twarzyczki
świadczy, że szczupłe do miłości drzwiczki".

Młodszy od wymienionych wyżej, **Franciszek Dionizy Kniaźnin (1750—1807)**, zresztą również wychowanek jezuitów, poeta i pisarz dramatyczny — miał do erotyzmu dystans bardziej ironiczny:

„Raz jezuita po macku idący
Namacał bobra u dziewicy
śpiącej.
Ta odeckniona zawoła nań,
hola
takiej misji nie kazał
Loyola".

Jak wiadomo, Loyola był założycielem zakonu jezuitów. Także jezuitą był **Franciszek Bohomolec (1720—1784)**, ba, studiował nawet teologię w Rzymie. Dla konwiktów jezuickich pisywał utwory teatralne, ale popełnił także głośną swego czasu pieśń pt. „Wab powszechny". Oto fragment:

„W adwent, w sucheni, tak
jak i w zapusty
Śpiewają wszyscy sercem i
usty.
Hej wiwat, wiwat ten luby
kątek
Z którego życia mamy
początek".

Gwoli prawdzie naukowej dodajmy, że wśród historyków istnieje spór na temat autorstwa „Wabu powszechnego". Roman Kaleta w swej książce „Sensacje z dawnych lat" twierdzi, że pieśń tę napisał szambelan Stanisława Augusta, Franciszek Woyna. Pisze R. Kaleta: „Ksiądz Bohomolec nie stronił wprawdzie od kielicha i od zabaw (...) trudno wszakże posądzać go o to, aby porywał się na temat nie licujący z powagą wybitnego moralisty i osoby bądź co bądź duchownej".

Niby racja, ale cytowane wyżej teksty też wyszły spod piór osób duchownych, którym stan ten nie przeszkadzał wcale w pisaniu frywolnych wierszyków.

Zostawmy więc spory i przypomnijmy **Juliana Ursyna Niemcewicza (1757—1841)**. Ten przynajmniej nie wychował się u jezuitów, lecz w Korpusie Kadetów. Napisał kiedyś tak:

„Niżej piersi wysmukłych
brzuszek wypłaszczony,
uda młodzieńcze, boczek
gładki z obojej strony.
Przycisnąłem ją nagą aż do
mego ciała.
Resztę wiesz. Spoczęliśmy
zemdleni oboje.
Bodajbym często takie miał
w południe znoje".

Jeśli ktoś sądzi, że wieszcz Adam wolny był od tych spraw, to się głęboko myli. Oto fragment wiersza Mickiewicza, cytowany w przywołanej tu już książce R. Kalety:

„Gdy się pozwoli do łona
przytulić
I lica swoje całusami
skrapiać,
W gwałtownej żądzy trzeba
się rozczulić,
Bo żar wypełnia me członki,
mą duszę,
Goreję cały i wyznać to
muszę
Że rad bym tylko obłapiać,
obłapiać".

Wiele uroku mają te wiersze, zwłaszcza te XVIII-wieczne, znajdujące się w rękopisach Zakładu Naukowego im. Ossolińskich we Wrocławiu. W wieku XIX było już inaczej. Pisze Andrzej Banach: „W tym stuleciu słynnym naszym erotologiem był Aleksander Fredro. Wtajemniczeni wiedzą, że Fredro pisywał wiersze nieprzyzwoite, a nawet sztuki (...) Jednak wobec osiemnastowiecznej erotyki dworskiej ta erotyka szlachecka rozczarowuje, nie ma czaru, jest obozowo-żołnierska, dosadna, bezpośrednia, ciężka. Rękopis „Ossolineum" zawiera trzy sztuki Fredry, z których pierwszej nawet tytułu podać nie można..."

Jeszcze inaczej było w początkach wieku XX. W książce Banacha znajdujemy, na przykład, sztambuchowy wierszyk Boya-Żeleńskiego, wpisany do pamiętnika znajomej aktorki:

„Nie byłem nigdy cynikiem
nie sięgam zbyt wysoko.
Lecz chciałbym być twoim
nocnikiem
I na dnie mieć jedno oko".

Otóż to! Zabawa zaczyna się robić „gruba", traci na lekkości. Ale tradycja jest. W swoim czasie przeczytałem w czasopiśmie „Nowy Wyraz" taką poetycką deklarację poetki, Marianny Bocian. Napisała ona: „Dziś szczęśliwi tylko ci mężczyźni orzący ugory macic".

Nie posądzam p. Bocian o plagiat, ale nie mogę się oprzeć zacytowaniu jeszcze jednego XVIII-wiecznego fragmentu. Autorem jego — wspomniany już Franciszek Dionizy Kniaźnin:

SKARGA WDOWIA

„Języki ludzkie do siebie to
mają
że źle czy dobrze o ludziach
gadają.
Mówią, że czyjś pług bywa
w mej roli
gdy mój grunt orzą, niech
sąsiada nie boli".

Powtarzam więc — tradycja erotyzmu w polskiej poezji jest bogata. Nie tylko w poezji zresztą, a w ogóle w sztuce. I chociaż w „Słowniku terminów literackich", między hasłami: „erotyk" (utwór liryczny) i „errata" — brak hasła „erotyzm", to przecież on istnieje, bez względu na eksplozję seksu i inne doraźne fascynacje.

A czymże jest erotyzm? Któż to wie na pewno? Jest z pewnością swobodą wyboru, jest — jak mówią Francuzi — małą śmiercią, silniejszą od snu i słabszą od śmierci, jest ostatnią szansą własnej przygody i prywatnej mitologii, jest czystym dziełem niewinnej w końcu wyobraźni. Któż wie, czym jeszcze? Może wszystkim razem, a może — jak pisze Andrzej Banach — dla każdego istnieje inny erotyzm. A więc pozostańmy przy tym — erotyzm to życie.

■

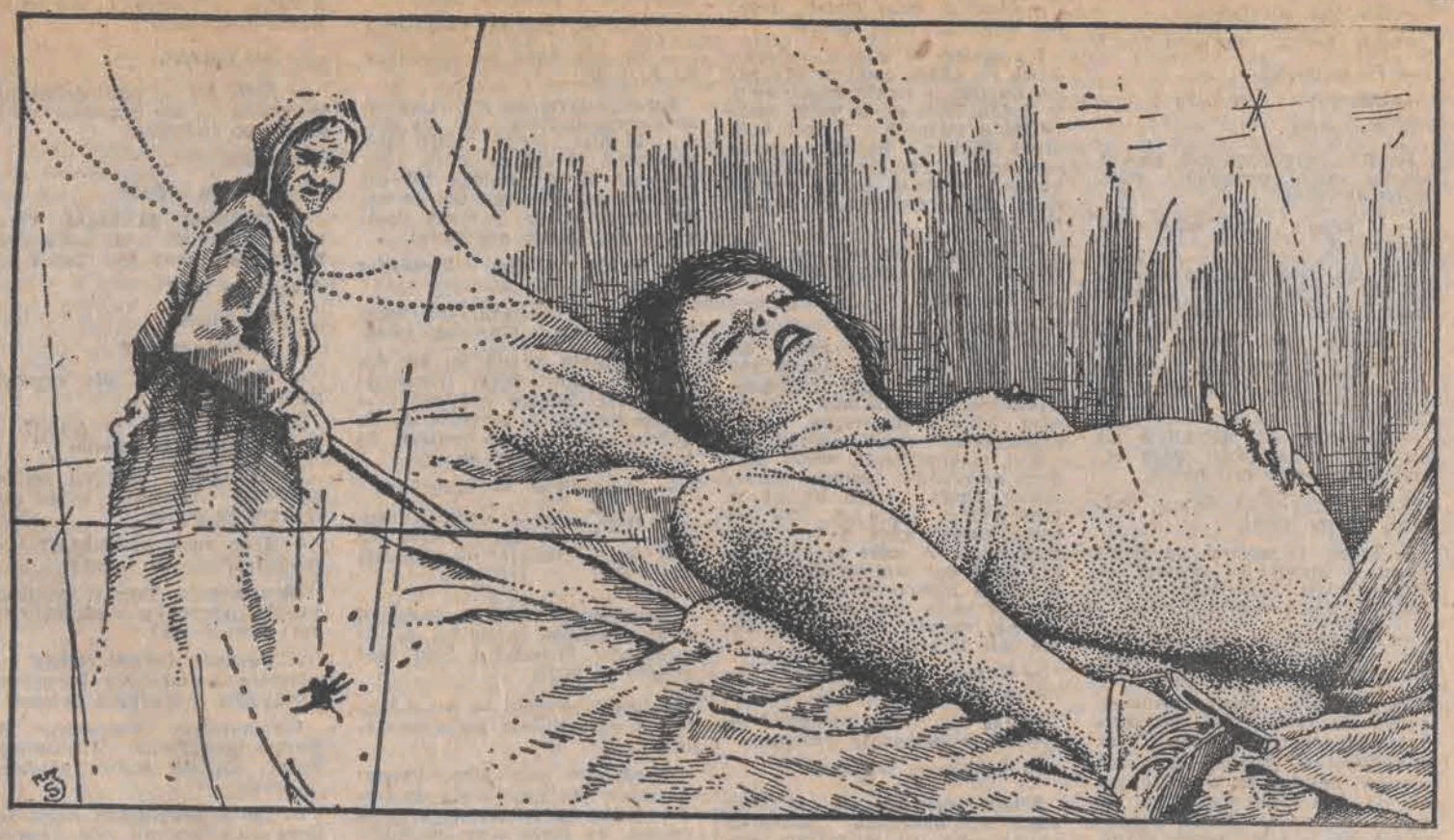

Rys. Janusz Szymański-Glanc

XIV Ogólnopolski Turniej o „Złotą Lampkę Górniczą"

REGULAMIN TURNIEJU POETYCKIEGO

Turniej Poetycki o „Złotą Lampkę Górniczą" ma charakter otwarty i mogą w nim wziąć udział zarówno pisarze profesjonalni jak i amatorzy.

Warunkiem uczestnictwa w konkursie jest nadesłanie maszynopisów nigdzie dotąd nie publikowanych, podpisanych godłem utworów literackich w sześciu egzemplarzach każdy. Do tekstów należy dołączyć zalakowaną kopertę zawierającą następujące dane: imię i nazwisko, wiek, wykształcenie oraz informację o ewentualnym dorobku twórczym.

Organizatorzy zastrzegają sobie prawo druku nagrodzonych i wyróżnionych prac w „Trybunie Wałbrzyskiej" oraz prawo ich publikacji w wydawnictwach Wałbrzyskiego Towarzystwa Kultury.

REGULAMIN TURNIEJU MALARSKIEGO DLA PROFESJONALISTÓW

W Turnieju mogą wziąć udział wyłącznie plastycy profesjonaliści. Organizatorzy pozostawiają twórcom pełną swobodę wypowiedzi artystycznej oraz wyboru techniki i tematu.

Warunkiem udziału w konkursie jest nadesłanie dowolnej ilości nigdzie dotąd nie eksponowanych prac, z których każda powinna być podpisana innym godłem. Do każdej pracy należy dołączyć zalakowaną kopertę podpisaną tym samym godłem, zawierającą kartkę, na której należy podać: imię i nazwisko autora, numer legitymacji ZPAP (absolwenci wyższych uczelni plastycznych zamieszczają nazwę ukończonej uczelni, rok ukończenia studiów i numer dyplomu) okręg, zgodę na ewentualny zakup prac.

REGULAMIN TURNIEJU MALARSKIEGO DLA AMATORÓW

W konkursie mogą wziąć udział wyłącznie amatorzy z terenu Dolnego Śląska, a więc mieszkańcy województw: jeleniogórskiego, legnickiego, wałbrzyskiego i wrocławskiego.

Warunkiem udziału w Turnieju jest nadesłanie dwóch nigdzie dotąd nie eksponowanych prac malarskich, z których każda powinna być podpisana godłem. Do każdej pracy należy dołączyć zalakowaną kopertę podpisaną tym samym godłem, zawierającą kartkę, na której należy podać imię, nazwisko i adres autora oraz tytuł pracy.

Prace nagrodzone pozostają własnością autorów. Organizatorzy przewidują możliwość zakupienia pewnej ilości prac.

Prace nadesłane na Turniej, a nie zakwalifikowane na wystawę, mogą być odebrane w 14 dni od daty rozstrzygnięcia konkursu. Prace nie odebrane w tym terminie zostaną przesłane przez organizatorów na wskazany adres zwrotny.

* * *

Wszystkich informacji pisemnych i telefonicznych udziela sekretariat GDK Kopalni „Wałbrzych" (tel. 241-01), w godzinach od 13 do 20.

Prace należy nadsyłać w terminie do dnia 25 października 1982 r. (na konkurs poetycki do 30 września br.) na adres: Górniczy Dom Kultury Kopalni „Wałbrzych", Aleja Wyzwolenia 21/23 58-300 Wałbrzych. Termin nadsyłania prac jest terminem ostatecznym.

■

W kręgu fantastyki

Dziś publikujemy dwa opowiadania poświęcone „zielonym ludzikom" (w jednym z tekstów — pomarańczowym), istotkom z latających talerzy, chętnie rysowanym i opisywanym, niekiedy zresztą całkiem serio.

1

Bardzo bliskie spotkanie

Nie miałem ochoty iść na spacer, ale Joanna uparła się. I miała rację. Gdyśmy już wracali drogą pod lasem, nagle znad lasu wyłoniła się duża pomarańczowa kula. Bezszelestnie zatrzymała się nad nami, po czym opadła na pole przy drodze. Kula okazała się latającym talerzem niewielkiego rozmiaru. Joanna drżała z przerażenia.

W kosmicznym pojeździe otworzyła się klapa i wychylił się z niej Kosmita. Popatrzył chwilę na nas. Pomachał nam przyjaźnie ręką i zaczął gramolić się na zewnątrz.

— Uciekajmy. Boję się! — zawołała Joanna.

Staliśmy jednak bardziej porażeni ciekawością niż strachem. Kosmita zszedł na ziemię i zaczął iść w naszym kierunku. Był wzrostu bardziej niż niskiego, niecały metr, oceniając tak na oko. Skórę miał pomarańczową, oczy paliły się czerwonym blaskiem. Ręce i nogi miał jakby krótsze. Był bardziej przysadzisty i miał dość dużą głowę na krótkiej szyi. Ubrany był w zielony kombinezon, szczelnie przylegający do ciała. Kiedy podszedł do nas, na odległość kilkunastu kroków, wyprostował się i pomachał ręką.

— Nieeee baaać sieee! — wyskandował. Chwilę jakby się nad czymś zastanawiał i dodał: — Przyyyjacieeeż.

— Przyjaciel? — wyrwało się Joannie.

Kosmita pokiwał głową. Znów się nad czymś zastanawiał i po chwili wyskandował:

— Jaa, wyyy luuubyyc!

— On nas lubi — powiedziała Joanna.

— A to cholera! — wyrwało mi się. Masz babo placek. Zachciało ci się spacerów!

— Niee hooreeraa. Przyyyyjaaacieeer. I am messenger — dodał nagle po angielsku.

— Co on mówi? — zapytała Joanna.

— Że jest przyjacielem.

— Ale potem, co powiedział?

— Po angielsku.

— Ale co?

— Nie wiem.

Kosmita przysłuchiwał się uważnie naszej wymianie słów. Podszedł bliżej.

— U mienia jest zadacza — powiedział.

— Patrz, jaki poliglota — odetchnęła z ulgą Joanna, a zaraz potem przedstawiła się:

— Mienia zwut Joanna.

— Tarak — Kosmita pokazał palcem na siebie, a potem na mnie: — Ty?

— Grzegorz — ukłoniłem się nie bez pewnej ironii, gdyż zaczął mnie ten wersal bawić.

Kosmita kiwnął głową, podszedł jeszcze bliżej.

— Tarak — pokazał na siebie — tu — pokazał na latający talerz — misja. Naawiaaazaacz koontaakt. Spotkaanee bliizkeee.

— Rozumiem — kiwnąłem głową. — Chcesz z nami nawiązać kontakt. Z ludźmi na Ziemi.

Tarak kiwnął głową. Uśmiechnąłem się mimo woli, bo wyobraziłem sobie, że gdyby Tarak wylądował w Bułgarii, to by mu nic nie przyszło z kiwania głową. U nich kiwa się głową zupełnie odwrotnie. Nasze potakiwanie jest u nich zaprzeczeniem. U Taraka widać kiwa się głową tak samo jak u nas. Tarak jednak zupełnie odmiennie zrozumiał mój uśmiech.

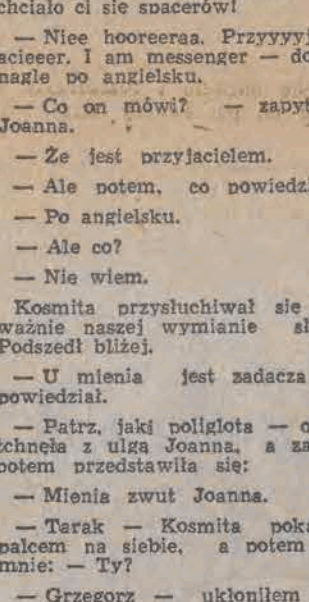

— Tarak messenger — powiedział. — Ty — pokazał na nas — messenger.

— Co to jest ten messenger? — zapytała Joanna.

— Cholera wie. Jak wrócimy do domu, to zajrzę do słownika. — Nieee hooreeraa. Messenger. — Ja, ja — powiedziała Joanna po niemiecku. Messenger.

— Ihaha! — ucieszył się Tarak. I zrobił ruch ręką w stronę swego pojazdu, jakby nas zapraszał do wnętrza. Zrobiło mi się nagle zimno. W pamięci stanęły mi wszystkie porwania ludzi przez latające talerze i ich powroty zupełnie bez świadomości tego, co się stało w pojeździe. Co gorsza niektórzy w ogóle nie wracali.

— Tarak — powiedziałem — ty jesteś jeden? — i pokazałem jeden palec.

— Ee, co ty.

— A jak wejdziemy do środka?

— Kwiatkowski wczoraj naprawiał antenę na dachu i nie zamknął włazu. Wejdziemy swobodnie.

— To ładujmy.

Znów dotknąłem metalowym ołówkiem płytkę i narysowałem czerwoną kreskę. Wznieśliśmy się i wylądowaliśmy na dachu. Tarak z zainteresowaniem oglądał nasze mieszkanie. Nie było duże. Pokój z kuchnią zaledwie. Czekaliśmy dopiero na większe. Ale Tarakowi musiało się wydać salonem wielkości hangaru na jego latające talerze. Wszystko go interesowało. Joanna z dumą pełniła rolę gospodyni. A ja zastanawiałem się, co robić dalej?

— Czym go poczęstujemy? — zapytała Joanna z kuchni.

— Mamy przecież placek z wiśniami. Daj nam po kawałku i zrób kawę. W barku jest chyba jakaś resztka koniaku.

— Nie ma — powiedziała Joanna. — Wypiłyśmy z Krysią, ale w lodówce jest trochę żytniej.

— Niech będzie. Bez wódki nie dojdziemy do ładu.

Tarak patrzył z zainteresowaniem na zastawiony przez Joannę stół.

— To jest placek — powiedziałem, pokazując mu placek z wiśniami.

— Plaaseek — Tarak wyraźnie się dziwił.

Zdziwił się jeszcze bardziej, gdy wziąłem kawałek placka i zacząłem jeść. Wyjął z niewielkiej torby, jakby skórzanej, która wziął ze sobą z pojazdu, jakiś dziwaczny przedmiot, dotknął nim placka, popatrzył chwilę na przedmiot i zaraz na mnie.

— Coo too, baabaa? — zapytał.

— To jest baba — pokazałem na Joannę.

Tarak patrzył na mnie swoimi gorejącymi oczyma i nic nie mówił. Później wyjął jakiś inny przedmiot i coś do niego zacharczał. W przedmiocie też coś zacharczało. Charczeli tak do siebie długą chwilę, a kiedy skończyło się, Tarak powiedział:

— Mooja milsiaa. Teeeraaaz koontaak.

Spojrzałem bezradnie na Joannę. Jadła placek i popijała kawę.

— A może byśmy się tak coś napili — powiedziała wskazując napoczętą butelkę żytniówki. — Przepraszamy — zwróciła się do Taraka — że nie ma koniaku, do kawy powinien być koniak...

— Albo likier — wtrąciłem.

— Albo likier — podjęła Joanna. — Ale nie ma, żytnia też jest dobra. Rozlej! — rozkazała mi.

Rozlałem. Tarak wyciągnął swój przedmiot i zbliżył go do żytniówki. Spojrzał i jego oczy zrobiły się białe.

— Zdrowie gości — powiedziałem i wychyliliśmy z Joanną kieliszki.

Tarak był cały żółty. Patrzył na nas i już sięgał ręką do torby, jakby z zamiarem wyjęcia czegoś, co może nam przynieść pomoc. Ale nam się przecież nic nie mogło stać. Popiliśmy kawą i spokojnie jedliśmy placek. Tarak spróbował kawałek placka. Później napił się łyk kawy, a na końcu delikatnie zbliżył kieliszek do swoich malutkich ust.

— Trzeba było mu dać mniejszy kieliszek — powiedziała Joanna.

Tarak upił trochę żytniówki. Znów zrobił się żółty. Czekał cały w napięciu. Ale nic się nie stało. Upił znów trochę żytniówki. Nic. Znów łyk. Nic. Jeszcze jeden. Nic. Wypił kieliszek do końca.

— Nalej — powiedziała Joanna.

Nalałem. Tarak jakby się ożywił. Wykrzywił się okropnie i zawołał.

— Ihaha! Daaj mii kontaakt!

— Ty — zauważyła Joanna nie bez racji — on po wódce lepiej mówi.

— Ale do kogo?

— Zadzwoń do profesora Michalskiego, on się takimi sprawami interesuje. I nalej nam po kieliszku.

Nalałem.

Zdrowie gości — powiedziałem i wychyliłem wódkę.

— Wiesz — powiedziała Joanna — skoczę do Kwiatkowskich, może mają coś do picia, bo żytnia się kończy.

— Skocz, tylko nie mów im nic o Taraku.

— Dobrze.

— Przepraszam — powiedziała do Taraka — zaraz wrócę.

Tarak spojrzał na mnie.

— Kontakt — powiedział.

— Tak, tak, już się robi. Wykręciłem numer profesora Michalskiego.

— Dobry wieczór, panie profesorze. Mówi Grzegorz Zawada.

— Dobry wieczór panu. Czym mogę służyć?

— Panie profesorze, to dość zawiła sprawa. Niech mnie pan uważnie wysłucha. Mamy gościa. To Kosmita, z nieznanej cywilizacji. Chce z naszą nawiązać kontakt, czy pan mógłby mi pomóc?

— Dlaczego ja?

— No, jest pan naukowcem, interesuje się pan takimi sprawami. To powinno pana zainteresować.

— Gdzie jest ten Kosmita?

— U nas w domu.

— W domu, powiada pan. I co robi?

— Jak to, co? Siedzi przy stole. Częstuję go.

— Czym?

— Nie mieliśmy nic szczególnego. Placek z wiśniami, kawa i żytnia. Jakoś nie było w domu koniaku ani likieru. Joanna, moja żona, pan przecież zna Joannę, skoczyła właśnie do sąsiadów. Może coś pożyczy.

— Znam — przerwał profesor — I on też pije wódkę?

— Pije, panie profesorze.

— I smakuje mu?

— Chyba tak.

Spojrzałem na Taraka. Patrzył na mnie swoimi gorejącymi oczyma. Uśmiechnąłem się, bo uświadomiłem sobie, że gdyby nie poduszki, które podłożyliśmy na krześle, to w ogóle nie byłoby go widać zza stołu.

— I pan to mówi poważnie? — rozległ się głos profesora w słuchawce.

— Jak najbardziej.

— Panie Grzegorz, nie wstyd panu. Głupie kawały może pan robić swoim kolegom...

— Ależ, panie profesorze! Powoli odłożyłem słuchawkę.

— Kontakt? — ucieszył się Tarak.

— Zaraz, zaraz.

Wróciła Joanna. Przyniosła dwie butelki jarzębiaku.

— Nie mieli nic innego. Rozlej!

Rozlałem i szybko wypiłem. Znów nalałem i wypiłem.

— Co profesor? — zapytała Joanna.

— Obraził się.

— Dzwoń dalej.

— Ale do kogo?

— Dzwoń na milicję. To ich sprawa.

Zastępca komendanta był moim znajomym. Spotykaliśmy się na różnych naradach, posiedzeniach. Lubiliśmy się. Wykręciłem jego numer.

— Jest major?

— Zaraz poproszę.

— Słucham.

— Witam, majorze. Mówi Grzegorz Zawada.

— Cześć. Co się stało?

— Nic szczególnego, panie majorze. Czy wierzy pan w zielone ludziki?

— W co?

— No, w życie na innych planetach.

— Czy ja wiem? A dlaczego pan pyta?

— Bo, widzi pan, miałem takie spotkanie.

— Z kim?

— No, właśnie. Z zielonymi ludzikami. To znaczy niezupełnie. Z pomarańczowym. On zresztą jest tu.

— Gdzie?

— No, tu, U mnie. W domu.

— W waszym?

— W moim.

— I co?

— Chce nawiązać kontakt z władzami.

— To dlaczego do mnie dzwonicie?

— Pan przecież jest władza.

— Tak się mówi. My jesteśmy od porządku. A wy, Zawada, dobrze się czujecie?

— Jak najbardziej. Pan mi nie wierzy?

— Wierzę, wierzę, ale ja nie jestem od nawiązywania takich kontaktów. To już raczej naczelnik. Ale wy się, Zawada, lepiej wyśpijcie, może wam te ludziki wywietrzeją. Dobrze wam radzę. Zadzwońcie jutro. Może lekarz wam potrzebny. Najlepiej wyśpijcie się. Rano wszystko wydaje się inne. Dobrej nocy.

Joanna z Tarakiem coś sobie rysowali. Porozumiewali się znakomicie. Joanna śmiała się, Tarak wykrzykiwał swoje „Ihaha". Nawet nie zwrócili uwagi na mnie, gdy podszedłem do stołu i nalałem resztkę jarzębiaku z pierwszej butelki.

Naczelnik — pomyślałem. Dlaczego by nie? W końcu to najważniejsza w mieście władza. Trzeba to załatwić oficjalnie. Ale u naczelnika telefon był zajęty. Gdy się wreszcie dodzwoniłem i spytałem, czy mógłbym rozmawiać z naczelnikiem, kobiecy głos zapytał:

— Kto prosi?

— Grzegorz Zawada.

W słuchawce zrobiła się cisza.

— Nie ma w domu — odezwała się kobieta po dłuższej chwili. — Czy coś przekazać?

— Nie, zadzwonię jutro. Przepraszam, do widzenia. Major uprzedził — pomyślałem i podszedłem do stołu.

— O — ucieszyła się Joanna — napij się z nami.

Nalałem.

— Zdrowie gości!

Tarak jakby pił już większymi łykami.

— Ale zgrywa — zaśmiała się Joanna. — Wiesz, co on opowiada... — i nachyliła się znów nad płytką, na której Tarak coś rysował.

Pozostała mi jeszcze jedna możliwość. Zadzwonić do Wojtka Ludwiczaka i mu wszystko opowiedzieć. Niech coś poradzi. Zadzwoniłem.

— Halo!

— Cześć, tu Grzegorz.

— A, cześć. Co robisz! Bo my tu mamy trochę gości. Obaliliśmy już to i owo. Jest Józek, który opowiada fajne rzeczy. Widział dziś latający talerz.

— Ja też widziałem.

— To fajnie. Wpadnijcie z Joanną do nas, to opowiesz.

— Nie mogę.

— Dlaczego?

— Mamy gościa.

— No to przychodźcie razem

— Też nie mogę.

— Ktoś z rodziny?

— Nie. Ten gość jest z latającego talerza.

— Z czego?

— No, z tego, który widział Józek.

— Z tego samego, skąd wiesz?

— Nie wiem, czy z tego, ale z talerza.

KAMIL MIECZYSŁAW KRAJEWSKI

Tryptyk w kolorze pomarańczowym

opowiadanie SF niezbyt serio

Ale on tego nie zrozumiał.

— My — pokazałem na Joannę i siebie — dwa — i pokazałem dwa palce. — Ty — pokazałem na niego i pokazałem później jeden palec. — Jeden.

— Coś u nich musi być źle z matematyką — domyśliła się Joanna.

— Ee, tam. Budują latające talerze i nie mieliby pojęcia o matematyce?

— Maateemaatyykaa — taak powiedział Tarak. — Jeedeen, dwaa, trzyy. — I ogarniając nas ruchem półkolistym dodał: — Myyy trzyyy.

— No, widzisz — powiedziałem do Joanny. — Pojął.

A Tarak nas znów zapraszał do pojazdu:

— Niee baać sieee! — powiedział. — Tarak kcee waasz doom.

— Masz ci babo placek. Joanno, będziemy mieć gościa!

I ruszyłem w stronę pojazdu. Niech się dzieje, co chce. Raz kozie śmierć! — powtarzałem sobie w duchu, dodając, że świat należy do odważnych. Wokół było pusto. Nikt nie widział naszego spotkania z Tarakiem, nikt nie będzie wiedział, co się z nami stało. Ale przynajmniej będziemy razem.

— Coo too plaaceek? — usłyszałem za sobą głos Taraka.

— Zobaczysz!

Wejście do pojazdu nie było trudne. W pojeździe nawet nie było dla nas ciasno. Usiedliśmy na ławeczce, jakby w drugim pomieszczeniu, za szklaną ścianą albo jakąś plastyczną, ale z przezroczystej masy, siedział Tarak i manipulował wśród różnych przycisków lampek, wskaźników. Czort jeden by się w tym wyznał. Ale on, choć nie czort, dawał sobie z tym radę znakomicie. A może to czort jaki, może oni tam w piekle też rozwinęli wysoką technikę, przeszło mi nagle przez głowę. I teraz nas porywa żywcem do piekła. Ale za co?

— Gdzeee waasz dooom? — rozległ się głos Taraka.

— Jak mu wytłumaczyć? — zapytałem bezradnie Joannę.

— Skąd mam wiedzieć?

Ściana rozsunęła się i Tarak podał mi niewielką metalową płytkę oraz coś w rodzaju metalowego ołówka. Przekręcił coś na tablicy i na płytce, jak w ekranie telewizyjnym, pokazał się ten sam widok, który Tarak miał przed sobą. Delikatnie dotknął swoją dłonią mojej ręki trzymającej metalowy ołówek. Dłoń miał ciepłą i jakby naładowaną elektrycznością. Diabeł — znów mi przyszło do głowy. Przesunął moją dłoń z ołówkiem po płytce i ołówek zrobił czerwony ślad. Podniósł rękę z ołówkiem do góry i ślad zniknął. Zacząłem tym metalowym ołówkiem wskazywać mu kierunek lotu.

Ściemniło się już, gdy znaleźliśmy się nad naszym osiedlem. Pojazd nie miał owej pomarańczowej poświaty, którą widzieliśmy nad lasem. Leciał bezgłośnie i nie tak prędko. Odjąłem rękę od płytki i pojazd zatrzymał się. Wisieliśmy tuż przed wejściem do naszej klatki schodowej.

— A może wylądujemy na dachu? — powiedziałem do Joanny.

— Z dołu nikt nie dostrzeże pojazdu. Będzie tam mógł spokojnie stać.

— Dach się nie zawali?

— No to zdrowie pań! — podniosłem kieliszek.

Tarak upił mały łyczek.

— Daj mu jednak mniejszy kieliszek — powiedziała Joanna. — Będzie mu wygodniej.

— Baba — powiedział Tarak, wskazując pomarańczowym palcem na Joannę.

— Baba — potwierdziłem.

— Ty?

— Chłop.

— Łop.

— A on jest on, czy ona? — zapytała Joanna.

— Nie wiem.

— W torbie Taraka coś znów zacharczało. Tarak odchylił wiązko i zacharczał do torby. A potem podniósł na mnie swoje ogniste spojrzenie i powiedział zupełnie wyraźnie:

— Daj kontakt.

— Zrób coś — powiedziała na to Joanna, — ale przedtem nalej jeszcze po kieliszku.

Nalałem.

— Co mam zrobić?

— Zadzwoń do kogoś. Przecież wszystkich tu znasz. Powiedz, że u nas jest Tarak z..

A skąd on jest?

— Nie wiem.

— To co ty wiesz?

— Trochę wiem, ale zupełnie na inny temat.

— Tarak, skąd ty jesteś? — zapytała Joanna Kosmitę.

Tarak wyjął matową płytkę, metalowy ołówek i zaczął coś rysować na płytce.

— I co mam powiedzieć? — zwróciłem się do Joanny.

Obserwowała Taraka rysującego. Nie odrywając od tabliczki oczu powiedziała:

— Powiedz, że jest okazja nawiązania kontaktu z kosmiczną cywilizacją i niech się pośpiesza.

Postanowiłem zadzwonić do Marka Rychcika z „Wieczornego Echa". On już będzie wiedział, co dalej.

— Ty — powiedziała nagle Joanna — a jak oni robią dzieci?

— Nie wiem. Zapytaj Taraka

— Zapytam — powiedziała Joanna i przesunęła się z kieliszkiem bliżej rysującego Kosmity.

Podszedłem do aparatu telefonicznego i wykręciłem numer Marka Rychcika.

— Marek?

— Tak.

— Tu Grzegorz.

— Cześć.

— Cześć. Mam dla ciebie sensację. Tylko nie spadnij z krzesła. Jest u mnie Kosmita. Chce nawiązać kontakt.

W słuchawce zapanowała cisza.

— Wygłupiasz się — odezwał się wreszcie Marek. — Spiłeś się. Wymyśl coś dowcipniejszego. Nie mam czasu na żarty. Cześć.

— I co? — zapytała Joanna.

— Nie uwierzył.

— Trudno mu się dziwić. Ja bym też nie uwierzyła, gdyby tu przede mną nie siedział Tarak. Dzwoń do kogo innego.

— Dobry wieczór, panie profesorze. Mówi Grzegorz Zawada.

— Dobry wieczór panu. Czym mogę służyć?

— Panie profesorze, to dość zawiła sprawa. Niech mnie pan uważnie wysłucha. Mamy gościa. To Kosmita, z nieznanej cywilizacji. Chce z naszą nawiązać kontakt, czy pan mógłby mi pomóc?

— Dlaczego ja?

— No, jest pan naukowcem, interesuje się pan takimi sprawami. To powinno pana zainteresować.

— Gdzie jest ten Kosmita?

— U nas w domu.

— W domu, powiada pan. I co robi?

— Jak to, co? Siedzi przy stole. Częstuję go.

— Czym?

— Nie mieliśmy nic szczególnego. Placek z wiśniami, kawa i żytnia. Jakoś nie było w domu koniaku ani likieru. Joanna, moja żona, pan przecież zna Joannę, skoczyła właśnie do sąsiadów. Może coś pożyczy.

— Znam — przerwał profesor — I on też pije wódkę?

— Pije, panie profesorze.

— I smakuje mu?

— Chyba tak.

Spojrzałem na Taraka. Patrzył na mnie swoimi gorejącymi oczyma. Uśmiechnąłem się, bo uświadomiłem sobie, że gdyby nie poduszki, które podłożyliśmy na krześle, to w ogóle nie byłoby go widać zza stołu.

— I pan to mówi poważnie? — rozległ się głos profesora w słuchawce.

— Jak najbardziej.

— Panie Grzegorz, nie wstyd panu. Głupie kawały może pan robić swoim kolegom...

— Ależ, panie profesorze! Powoli odłożyłem słuchawkę.

— Kontakt? — ucieszył się Tarak.

— Zaraz, zaraz.

Wróciła Joanna. Przyniosła dwie butelki jarzębiaku.

— Nie mieli nic innego. Rozlej!

Rozlałem i szybko wypiłem. Znów nalałem i wypiłem.

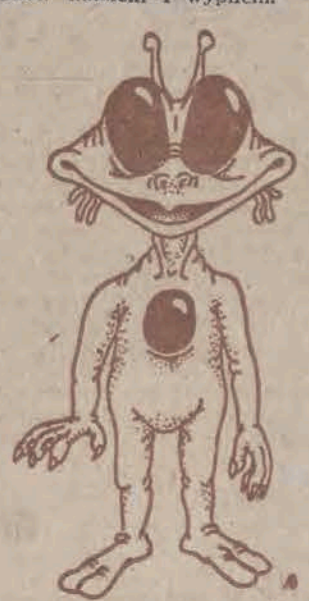

W kręgu fantastyki

Nowelka „Polowanie" podejmuje ten temat w sposób poniekąd dramatyczny, dla rozmaitości „Tryptyk w kolorze pomarańczowym" Kamila M. Krajewskiego (połowicznego debiutanta, gdyż choć autor ma za sobą liczne publikacje, jest to jego pierwszy drukowany tekst z dziedziny fantastyki) ma żartobliwy czy nawet satyryczny wydźwięk. To ostatnie opowiadanie — ze względu na jego objętość — dokończymy w numerze następnym.

Kosmiczna sensacja z pointą

czyli jak robić Czytelnika w konia

MOTTO:
„Skuliłem się cały w oczekiwaniu tego plugawego, psychicznego orgazmu, ku jakiemu popychały mnie te niezrozumiałe chcenia".

MIROSŁAW P. JABŁOŃSKI

Pamiętam długą serię „Opowieści niezwykłych" emitowanych kilkanaście lat temu w telewizji. Nakręcono ją bodaj na zamówienie z Kanady, do transakcji jednak nie doszło i to z prostej przyczyny. Każda nowelka kończyła się „mrugnięciem oka" do widza: to był tylko sen makabryczny, nic więcej. Widz, ani czytelnik nie lubi i nie chce, żeby robiono z niego balona.

Niedawno „Iskry", wydające bardzo zresztą nierówną serię „Fantastyka, Przygoda", „rzuciły na rynek" kolejną pozycję. Jest to debiut Mirosława P. Jabłońskiego pt. „Kryptonim Psima", wydany poza serią (ale któż zrozumie wydawców?).

Zdrowy rozsądek zdaje się wskazywać, iż jedną z decydujących spraw w powieści jest atrakcyjny (a przynajmniej obiecujący początek. Inaczej przecież czytelnik może się zniechęcić. Nic to. Autor (i wydawnictwo) wie lepiej.

Po przekopaniu się przez pierwsze 74 strony dowiadujemy się, że:

1) Bezludna sonda odkryła w kosmosie życie:

„bezzałogowa sonda kosmiczna z rodziny nie powracających (błąd) obiektów kosmicznych (...) doniosła (...) o odkryciu planety ze śladami życia. Prymitywny bioskop (?) nie był w stanie określić charakteru tego życia (...) najmniej [wiedziano] — o psychiczności tego życia" (str. 20, wszystkie uwagi i podkreślenia autora, M.S. Nowowiejski).

2. W pobliżu celu budzi się załoga statku wysłanego na tę planetę. Naukowcy zażywają halucynogeny albo ciężko pracują, a bohater, najbardziej opanowany z całej licznej załogi, zwiedza rakietę. Ale oddajmy głos autorowi:

„Łapałem samym mózgiem, niemal bez użycia wzroku, urwane gesty, jakie pozwalała mi uchwycić szybka jazda i łączyłem je z ujrzanymi już o piętro czy dwa wyżej; powstawały z tego jakieś przedziwne zbitki obrazów, raz śmieszne, innym razem nijakie, gdy zarejestrowane i połączone przeze mnie obrazy nic szczególnego nie wyrażały". (s. 66).

W ogóle trudno oprzeć się wrażeniu, iż cała załoga zachowuje się jak rozhisteryzowana banda przedszkolaków.

3) Technika komputerowa jest bardzo zaawansowana!

„Wielkie zwoje taśm perforowanych poutykane po kątach wyglądały jak śniegowe bałwany, które nie zdążyły się jeszcze roztopić po zimie, a perforowane karty maszyn liczących zaścielały podłogę na kształt mozaikowej posadzki". (s. 63).

4) Poza tym wiemy, że stwierdzono wokół Psimy silne „psychopole" (ale nie stwierdzono „biopola"), i że bohater miał dziwny sen — został przez „nich" wybrany i to on właśnie poleci pierwszy na planetę.

Wyżej wymienione informacje z powodzeniem zmieściłby dbający o czytelnika autor na 5 zamiast 74 stronach!

Dalej następuje stosunkowo gładka i nawet dość ciekawa część powieści. Bohater ląduje w mieście zbudowanym — a nawet zasiedlonym przez mieszkańców — specjalnie dla niego. Jest to miasto przeniesione jakby z XX wieku, to samo, które widział przedtem we śnie. Jest to coś w rodzaju testu, a każde zdarzenie przybliża go do poznania prawdy. Równolegle rozgrywa się akcja na pokładzie rakiety, obfitująca w prymitywnie, schematycznie zarysowany konflikt wokół zagadnienia „lądować czy nie". Załoga nie wie i nie rozumie, co naprawdę dzieje się w mieście, bo istnieje ono kilkanaście minut „naprzód".

Spodziewane rozwiązanie jest, owszem, w miarę zaskakujące, ale za to piekielnie rozczarowuje, niszczy spójność i wręcz stawia pod znakiem zapytania sens powieści. Oto na Ziemi w czasie, kiedy ludziom „znudziły się wojny" (!), wystąpiła ostra psychoza kosmicznej samotności, a troskliwy rząd, aby temu zaradzić, ogłasza, że odkryto w kosmosie życie i pozoruje wysłanie ekspedycji kontaktowej (nieświadomą prawdy załogę podłączono do „symulatora", tzn. fantomatu). Żeby było śmieszniej, „misja" zostaje przerwana, bo właśnie odkryto autentyczną kosmiczną cywilizację. Ostatnie akapity, zwłaszcza ostatnie zdanie, są po prostu rozbrajająco naiwne.

W sumie otrzymaliśmy kolejną niedobrą książkę. „Psima" jest nieudolnie napisana, razi kiepską polszczyzną, papierowymi postaciami, uproszczonymi konfliktami i wreszcie irytuje prymitywną, sztuczną pointą.

Dobry fantomatyczny pomysł autor z kretesem zaprzepaścił, topiąc w stosach stereotypów i zapożyczeń (ze skądinąd znakomitych „Jeźdźców znikąd", „Robota", „Koziorożca—1" itd.). Temat eksploracyjny, przewijający się przez powieść, przywodzi na myśl stare wzory, jak choćby „Antyświat" Borunia, ale gdzie Jabłońskiemu do niego!

Każdy miłośnik SF oczywiście kolekcjonuje książki i powieści pana Jabłońskiego pod okropnym tytułem raczej w jego zbiorach nie zabraknie. Paradoksalne to zjawisko bierze się m.in. stąd, że w Polsce wydaje się bardzo mało SF i prawie każdego zbieracza stać na kupno 100 proc. tytułów. Na nieszczęście, zdecydowaną większość tej produkcji stanowią pozycje bardzo słabe i wręcz grafomańskie. Może wydawcy uważają inaczej. A ludzie — i tak kupią, bo czytać muszą.

Czy doczekamy się powrotu dobrej SF? Może dopiero ogólny wzrost cen (w tym książek) sprawi, że przeciętnego fana nie będzie już stać na „luksus" kupowania każdego tytułu, a rynek SF przestanie być rynkiem sprzedającego? Chyba, że... „powstanie konieczność" szerszego dotowania tzw. „kultury"...

MAREK S. NOWOWIEJSKI

OD REDAKCJI: Publikując pełną temperamentu recenzję prezesa warszawskiego SFAN—CLUBU, którego przy okazji prosimy o dalszą współpracę, chcieliśmy przedtem — dla zasady po prostu — zapoznać się z ostro ocenioną książką. Niestety w łódzkich księgarniach „Kryptonim Psima" jest już od dawna nieosiągalny, potwierdza się więc teza, że nie ma tak złej i wydziwaczonej książki SF, która nie zniknęłaby niby przysłowiowe „ciepłe bułeczki".
Między innymi dlatego właśnie chcielibyśmy na naszych łamach publikować możliwie dużo debiutów młodych autorów w nadziei, że ilość przejdzie wreszcie w jakość, a ułatwiając możliwość startu pomożemy młodym talentom, które gdzieś przecież w kraju z pewnością już istnieją lub narodzą się wkrótce.

J. PANASEWICZ

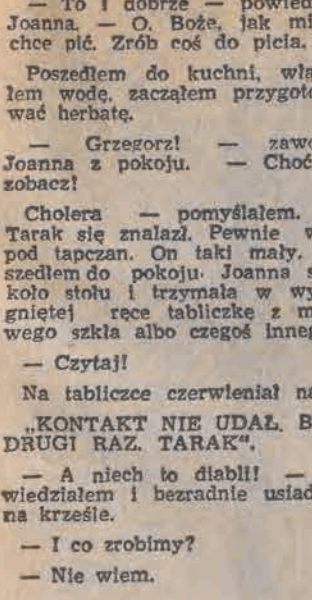

Galeria kosmostworków Andrzeja Biedrzyckiego

Polowanie

Zbrojny w kamerę z noktowizorem i policyjny rewolwer Shot Leawer Magnum 22, leżałem na wydmie i obserwowałem plażę. Był 6 czerwca 1979 roku, dochodziła pierwsza w nocy. Jeśli moje ustalenia były dobre, miałem jeszcze kwadrans czasu. Dokładnie 01.11, no, może minuta w tę albo w tę, obiekt powinien wynużyć się z jeziora. Tymczasem wokół panowała cisza, tylko gdzieś wysoko, w tyle za mną, w koronach drzew rosnących na skraju lasu, tłukło się jakieś ptaszysko. Słyszałem łopot skrzydeł i trzask gałęzi, potem coś zakrakało i znów wszystko ucichło. Przez chwilę wyobraziłem sobie, że to diabeł śledzi moje poczynania. Uśmiechnąłem się na myśl o pomarszczonym staruszku z rybią paszczęką i błoniastymi skrzydłami, który piekli się nie mogąc znaleźć wygodnej gałęzi i płoszy sowy.

Jeszcze pięć minut. Zgasiłem papierosa, odbezpieczyłem broń i zdjąłem pokrowiec z kamery. Noktowizor działał bez zarzutu. Jak w księżycowej poświacie widziałem brzeg jeziora, fale i czarną toń okoloną zaroślami trzcin. Jeszcze minuta. Wszystko musi się udać. Medium podało dokładny zapis z przyszłości, cytat z „UFO—Raport" z lipca 79 roku: „— dnia 6 czerwca 79, na południowym brzegu jeziora Yathyed sfilmowano niezidentyfikowany obiekt latający i zastrzelono humanoida. Łowca L.H. otrzymał milion dolarów nagrody ufundowanej przez Weinfield University. Ciało kosmity uzyskało na aukcji w Londynie cenę 20 tysięcy funtów, film sprzedano armii za 100 tysięcy dolarów..."

Jasnowidz, najsłynniejszy w całej Kalifornii, wziął za informację dziesięć kawałków i oznajmił, że to właśnie ja — Leonard Hood, będę bohaterem tej historii. Nie mam nic przeciwko temu. W końcu jestem coś wart, nie? Niech chłopaki, z którymi dotąd popijałem u Sama, wiedzą kim jest Lenny. Sprzedałem ciężarówkę, kupiłem kamerę i tę armatę, i niech mnie szlag trafi jeśli nie zrobię tego, co sobie uplanowałem. Nakręcę taki film, że tym

BOB YASHCHOCK

pedałom z Hollywoodu mózg stanie, a potem rąbnę tego, który wylezie z UFO. Wystarczy jedna kula, gdzieś między brzuchem a piersią. Byle za bardzo nie uszkodzić. Te cholerne karzełki zdychają podobnie jak ludzie. Nie są nieśmiertelne. No i fajnie. Zapolujemy na takiego ohydasa i zrobimy z niego umarlaka. A potem forsa, forsa i jeszcze raz forsa. I rzeka wódy, rzecz jasna.

Piętnaście sekund. Jestem gotowy. Hej tam, przeklęty diable, patrz tylko jak będę przyłatwiał tego zielonego aniołka... Cisza. Spóźnia się. Przesunąłem obiektyw nieco w prawo tak, żeby obejmował wyspę i brzeg po prawej stronie. Przycelowałem dobry kadr i dla próby pociągnąłem dłuższe ujęcie, taką panoramę po horyzoncie.

I w tej samej chwili zrobił się z nocy — dzień. Myślałem, że mój noktowizor odwalił jakiś numer, ale to nie było to. Obiekt, rozjarzony jak kosmiczna latarnia i pulsujący coraz to innym światłem, wcale nie wynurzył się z jeziora. Możliwe, że źle zrozumiałem tamtego czarownika, ale w tej chwili nie miało to już żadnego znaczenia. Leżałem skurczony niczym embrion, zasłaniając oczy przed oślepiającym blaskiem, który w całkowitej ciszy spływał na mnie z nieba. Minęła długa minuta zanim to coś przesunęło się w stronę jeziora, przygasło i obniżyło lot.

Kurczowo zacisnąłem oczy chcąc pozbyć się zniewalającej mnie jasności. Czułem, że łzy płyną mi po policzkach dwoma strumykami. Dopiero po chwili mogłem się rozejrzeć.

UFO nie było. Tylko blade światło przebijające przez wody jeziora, świadczyło, że obiekt zanurzył się. Wiedziałem, że w najgłębszym miejscu jest tam około stu metrów. A więc jednak! Jednak sfilmuję wynurzenie. Podbiegłem bliżej brzegu. Oczy wciąż łzawiły, ale nie miało to już większego znaczenia. W końcu to nie one, lecz kamera będzie rejestrowała obraz. Byle tylko dobrze namierzyć.

Usiadłem na piasku i czekałem. Rewolwer położyłem tuż pod ręką. Światło zaczęło rozjaśniać się coraz bardziej i kamera rozpoczęła swoją robotę. W wizjerze zobaczyłem świetlistą kulę wynurzającą się z wody. Obiekt zachowywał się tak, jakby przenikał fale. Jezioro nie otworzyło się i nie zamknęło. Było nieporuszone i nietknięte. UFO przemieszczał się jak niematerialne zjawisko, jak jakiś cud lub duch. Prowadziłem go pewną ręką coraz bliżej, zrobiłem kilka efektownych zbliżeń, potem dałem duży kadr w perspektywie i kula zatrzymała się kilka metrów ode mnie. Nie zatrzymując kamery, odczekałem jeszcze aż zmieni kształt na dyskoidalny i sfilmowałem całą feerię barw jakimi się mienił. Potem odłożyłem aparat i z rewolwerem w dłoni czekałem na moją ofiarę. Obiekt znów zmienił kształt, tym razem na sferoidalny wielościan i otworzył się. Oparłem dłoń z bronią na podpórce z przedramienia lewej ręki i wycelowałem lufę w sam środek UFO. Byłem tak podekscytowany, że zapomniałem o moich oczach. Trochę jeszcze bolały, szczególnie gdy zgrywałem muszkę ze szczerbinką, ale byłem pewien, że nie chybię. Z wnętrza obiektu nikt jednak nie wyszedł.

Krzyknąłem głośno, zniecierpliwiony przedłużającym się czekaniem, lecz UFO nie zareagował. Żadne monstrum nie pofatygowało się mi pod lufę.

Poczułem dziwną lekkość. Moje ciało powoli oderwało się od ziemi i uniosło w górę. Rewolwer wypadł z bezwładnej dłoni i legł na piasku w dole pode mną. Jakaś potworna siła wciągała mnie w głąb obiektu. Jego rozjarzone ściany ogromniały z każdą chwilą i w końcu zostałem wchłonięty przez gigantyczną świetlistą konstrukcję. Szybowałem labiryntem przestronnych tuneli, aż do samego środka, do centrum czegoś, co przypominało swym ogromem przedziwne miasto. Nie mogłem krzyczeć, nie mogłem się ruszyć. Wisiałem nieruchomo otoczony lustrzaną siecią biomagnetyczną i niech diabli porwą tych wszystkich facetów wymyślających swoje bzdury S-F, jeśli cokolwiek z tego rozumiałem. Nigdzie nie było niczego żywego, żadnego płetwiastego ani żabiookiego potworaka, żadnego kosmity ani Pana Boga. Byłem jedyną żywą drobiną połkniętą przez to przeklęte coś. Byłem człowiekiem, tego byłem pewien tak bardzo, że zacząłem w myślach marzyć o tym, co zrobię z tym pudłem, kiedy tylko stąd wyjdę. „To jest Magnum wy gnojki — myślałem. — To jest Magnum i każdy z ośmiu pocisków rozwali wam kawałek tego cholernego cyrku!" I to coś zaczęło reagować.

Najpierw poczułem, że jakaś niewidzialna moc zmiażdżyła moje ciało. W mgnieniu oka stałem się malutki. Moje wyrobione mięśnie i słuszny wzrost skurczyły się w pięciostopowego żygulca. Coś strzeliło tam w środku: kości, przez moment elastyczne jak plastelina, ułożyły się w nowy kształt. Czułem jak krew zastopowała i zaczęła krążyć w innym kierunku. Jakiś prąd przemknął przez moje nowe nerwy i eksplodował różową łuną w głębi mózgu. Oczy stały się okrągłe i rozszerzyły się wraz z oczodołami na pół twarzy. Uszy zniknęły zostawiając po sobie dwa płytkie otworki zarośnięte błoną, nos zapadł się do wewnątrz, a usta zwęziły. Kłapnąłem dwiema czarnymi płytkami, które pojawiły się w miejscu zębów, zamachałem chudymi kończynami obrzeżonymi przezroczystą płetewką i dotknąłem grubej, szarozielonej skóry. Przez myśl przemknęło mi ciężkie przekleństwo, ale zniknęło w sekundzie i ustąpiło miejsca jakiejś hipnozie. Moje nowe ja, ego ufoida, łagodnie, poważnie i życzliwie objęło w posiadanie swoje ciało.

Gdzieś na dnie świadomości, na wpół zatracone, kołatało się jeszcze zdziwienie: a więc to wszystko bzdura? Żadnych ufoidów nie było i nie ma? To tylko ludzie, przemodelowani i zatraceni ludzie?

Płynąłem znów korytarzami w stronę wyjścia. Na ułamek sekundy dostrzegłem jeszcze w jednym z mrocznych tuneli tłum takich jak ja nieszczęśników. Czułem moimi doskonałymi zmysłami, że to także ex-ludzie. Byłem tego pewien. Dlaczego jednak patrzyli na mnie wrogo, a przynajmniej z niechęcią — nie wiedziałem. Kiedy moje stopy dotknęły piasku odzyskałem ważkość. Zanim zdołałem się poruszyć, światło za moimi plecami zgasło. UFO zniknął bez śladu. Stałem jak małe, pokurczone nieszczęście na pustej plaży i pomimo uczucia świetlistości myśli, nie wiedziałem co robić. Od strony lasu posłyszałem trzask łamanych gałęzi i dostrzegłem człowieka, który szybko schodził z drzewa. A więc jednak ktoś tam był, ktoś kogo wziąłem za nocnego ptaka lub diabła.

Obcy zbliżał się i poczułem cień niepokoju. Kiedy był już o kilka kroków ode mnie zobaczyłem, że to Lee Harwey, mój wspólnik, którego nie wtajemniczałem w swoje plany i który powinien teraz pilnować interesów w Palm Beatch. Mimo wszystko odetchnąłem z ulgą: zawsze lepszy kumpel, choćby nieoczekiwany, aniżeli diabeł. Chciałem zapytać go skąd się tu wziął, ale z moich ust popłynął tylko psychodeliczny świergot. Lee zatrzymał się. Świergocząc jak zepsuty magnetofon i wymachując kaczymi łapkami patrzyłem bezradnie jak Lee podnosi rewolwer, jak otrząsa go z piasku, jak mierzy i pociąga za spust. Poczułem jeszcze jak ognista pięść uderza mnie gdzieś między brzuchem, a klatką piersiową, jak wnika w moje ciało i straszliwym tunelem przechodzi przeze mnie na wylot.

Upadłem. Mój umysł pracował jeszcze przez chwilę i myśli, niczym stado tęczowych kul, ułożyły się w przejrzysty rysunek, w czysty zapis aktualnej sytuacji. Wszystko się zgadzało: data, film, nawet ja jako bohater tej historii, tylko w odczytaniu inicjałów L. H. musiałem wziąć drobną poprawkę. Oznaczały one nie Leonard Hood, lecz Lee Harvey. Na pocieszenie mogłem sobie przyznać, że Lee był dobrym strzelcem. Stanowiłem cenny okaz i byłem tylko nieznacznie uszkodzony.

Tłumaczył:
BOGUSŁAW KORAB

— Nie wygłupiaj się. Jak nie chcesz, to nie przychodź, ale nie wymyślaj takich głupich powodów.

— Ależ Wojtek...

W pokoju rozległ się rumor. To Tarak spadł z krzesła. Joanna też już miała dość. Rozłożyłem tapczan. Położyłem ją spać. Wypiłem jeszcze dwa kieliszki, przykryłem kocem Taraka i też się położyłem.

Obudziłem się z bólem głowy. Cały świat mi wirował. Cholera — pomyślałem — znów wypiłem i mam kaca. Gdzie to było? Zaraz, zaraz. Spacer. Zielony.. Nie, pomarańczowy ludzik. Jak się nazywał? Tatarak. Nie, jakoś inaczej. On był u nas...

Usiadłem na tapczanie. Joanna spała obok. Na stole stała pusta butelka po żytniej i butelka po jarzębiaku. Wstałem i podszedłem do stołu. Na krześle leżały poduszki. Żeby temu, jak mu tam... Aha, przypomniałem sobie — Tarakowi — było wygodnie. Stały filiżanki po kawie i kawałek placka z wiśniami. Na podłodze koc. Przykryłem nim Taraka. Podniosłem koc. Nikogo nie było. Spojrzałem na stół. Leżała tam tabliczka. Więc jednak był. Pobiegłem szybko na schody. Podniosłem klapę na dach. Nic. Na dachu było pusto. Wróciłem do mieszkania.

Joanna otworzyła oczy.

— Pić!

— Zaraz — powiedziałem. — Nie ma Taraka.

— Kogo?

— No, tego pomarańczowego.

— O, Boże! — Joanna usiadła na tapczanie. — Gdzie on się podział?

— Nie ma też pojazdu.

— Pojazdu?

— No, talerza latającego, nie pamiętasz?

— Aha, tak, ale co było później, zabij mnie, nie pamiętam. Coś mi się nie zgadzało.

— Pamiętasz, że chodziłaś do Kwiatkowskich po wódkę.

— Tak.

— Ile przyniosłaś?

— Dwie butelki jarzębiaku, bo nie miel! nic innego, trzeba będzie im dziś odkupić. Żeby tylko, cholera, był ten jarzębiak.

— A pusta jest tylko jedna butelka. Co się stało z drugą? Pamiętam, że jak kładłem się spać, to było w niej jeszcze z trzy czwarte wódki. I nie ma, ani wódki, ani Taraka.

— To i dobrze — powiedziała Joanna. — O, Boże, jak mi się chce pić. Zrób coś do picia.

Poszedłem do kuchni, włączyłem wodę, zacząłem przygotowywać herbatę.

— Grzegorz! — zawołała Joanna z pokoju. — Choć tu, zobacz!

Cholera — pomyślałem. — Tarak się znalazł. Pewnie wlazł pod tapczan. On taki mały. Poszedłem do pokoju. Joanna stała koło stołu i trzymała w wyciągniętej ręce tabliczkę z matowego szkła albo czegoś innego.

— Czytaj!

Na tabliczce czerwieniał napis:

„KONTAKT NIE UDAŁ. BEDE DRUGI RAZ. TARAK".

— A niech to diabli! — powiedziałem i bezradnie usiadłem na krześle.

— I co zrobimy?

— Nie wiem.

Dokończenie w następnym numerze

Każdy śpi jak może

26 proc. Francuzów ma kłopoty ze snem: śpi zbyt dużo lub zbyt mało. Nadmiar snu straszliwie męczy, jego brak — oczywiście także. Kiedy rano dzwoni budzik, większość — jak wskazuje ankieta — wstaje szybko na równe nogi, z bystrym wzrokiem. Ale pozostali ociągają się, snują na nogach z waty.

W 1981 roku Francuzi zużyli 51 milionów opakowań środków nasennych. Francja liczy blisko 5 milionów cierpiących na bezsenność stale lub dorywczo. Zanim zasną, często muszą łyknąć swój proszek. Sen nie zawsze jest stanem bezpiecznym. Dla maleńkich dzieci może być nawet fatalny: syndrom nagłej śmierci noworodków co roku pochłania życie tysięcy dzieci i jak dotąd nikt jeszcze nie wie, dlaczego. Jeśli zaś chodzi o dorosłych, to często są oni chorzy, sami o tym nie wiedząc. Kłopoty ze snem są objawem częstszym, niż się na ogół przypuszcza. Według niektórych specjalistów amerykańskich, dolegają one co trzeciej osobie.

WIEDZA O ŚNIE

stawia dopiero pierwsze kroki. Na szczęście są to kroki siedmiomilowe. Neurofizjolodzy otwierają wrota snu — stanu, który nam, dorosłym, zajmuje przeciętnie trzecią część czasu. Podczas normalnie długiego życia istota ludzka spędza 5-6 lat na marzeniach sennych i 15-18 lat na spaniu. Dlaczego? To pozostaje jeszcze dobrze strzeżoną tajemnicą. Homer posunął sprawę naprzód — nazywając sen „bliźniaczym bratem śmierci". Wielu go później naśladowało. Następnie Bergson wymyślił piękną teorię: jeżeli śpimy, to dlatego, że świat przestaje nas interesować, po prostu — „wyłączamy się". Było to bardzo logiczne, ale okazało się to wcale nie tak.

A wszystko zaczęło się naprawdę w latach pięćdziesiątych w Chicago, kiedy dwaj neurofizjolodzy odkryli zjawisko szybkich ruchów gałek ocznych, następujących w regularnych odstępach podczas snu. Wkrótce potem William Dement, późniejszy profesor w Stanford, zaobserwował, że ruchom gałek ocznych towarzyszy znaczna aktywność mózgu. Badacz z Lyonu, Michel Jouvet, wykazał, że w tym samym momencie osoba śpiąca doznaje atonii mięśniowej. Wtedy też rodzi się marzenie senne. Nie pasożytuje ono na śnie, jak uważano wcześniej. Jest czymś zupełnie od niego odrębnym. Nazywają je snem „paradoksalnym" w odróżnieniu od snu „powolnego". Tu zaczynają się poszukiwania. Są one fascynujące. Bowiem mózg, jak to stwierdza profesor uniwersytetu Laval w Quebecku, Mircea Steriade, „jest co najmniej tak samo aktywny podczas snu paradoksalnego, jak podczas czuwania". Nie można zaobserwować żadnej różnicy między komórkami nerwowymi zwierzęcia, które się bawi i które śni...

PONIEDZIAŁKOWA CHANDRA

Odkrycia następują coraz szybciej. Neurofizjolodzy sądzą, że znaleźli molekuły, które w naszym organizmie wywołują sen i marzenia senne. Uczeni starają się także ujawnić mechanizm rytmów dobowych. To zegar biologiczny określa godzinę, w której nasza temperatura jest najniższa, czy też moment, kiedy trzeba się położyć spać. Dlatego nigdy nie mamy zbyt wiele czasu, aby zdążyć do pociągu zwanego snem — wystarczy kilka minut, a spóźnienie gotowe. Cykle naturalne są bliskie 24 godzinom, czyli dobie i wydają się być wrodzone. Ochotnicy, których izolowano na całe tygodnie bez zegarka i światła, zasypiali w rytmie 25 godzin. Nasze ciało najwyraźniej lubi jak najbardziej regularne rytmy. „A tymczasem cywilizacja ma tendencję do ich zakłócania — mówi Odile Benoit, kierująca badaniami w francuskim Krajowym Centrum Naukowo-Badawczym. — Ośmiogodzinna praca na trzy zmiany i loty transatlantyckie często rozregulowują mechanizm".

Podobnie jak weekendy... Pod koniec tygodnia wszyscy lub prawie wszyscy, kładą się spać później niż zwykle, a w niedzielę długo się wylegują, aby to „nadrobić". Stąd bierze się nazajutrz złośliwe niedomaganie: „poniedziałkowa chandra". Naukowcy amerykańscy nazywają to „syndromem zbyt długiego snu", a jego objawy to mieszanina zmęczenia, przygnębienia i bólu głowy. Bowiem nasz wewnętrzny zegarek nie jest elastyczny, a każda najmniejsza nawet desynchronizacja przyprawia go o szaleństwo. Niekiedy wystarczy wyregulować wskazówki, aby sen powrócił. Ale bynajmniej nie zawsze. Wiedza o śnie jest jeszcze zbyt młoda, aby znać wszystkie przyczyny „nocnych schorzeń".

Nawet we śnie nie jesteśmy jednakowi. Niektórzy śpią bardzo mało, inni dużo, niekiedy aż za dużo. Jedną z mniej zbadanych chorób jest hipersomnia. Śpi się jak suseł np. ponad 12 godzin na dobę, a całą resztę czasu jest się ciągle sennym. Tragedia cierpiących na to schorzenie polega na tym, że często wcale o tym nie wiedzą. Mówią sobie, że są po prostu leniwi. Niektórzy potrzebują nawet 20 godzin snu. Do tej samej kategorii należą narkoleptycy. We Francji jest ich prawdopodobnie kilkadziesiąt tysięcy. Sen spada na nich bez uprzedzenia, w środku białego dnia, a jego atak trwa wiele minut. Często jest to spowodowane przypływem emocji. Na polowaniu narkoleptyk zasypia właśnie w tej chwili, gdy zając zostaje wypłoszony z kryjówki. Zapada w sen podczas miłosnego stosunku. William Dement przytacza fantastyczną historię kobiety, która „zasnęła pod wodą w czasie nurkowania, na 6 m głębokości". Lub też przypadek strażaka, który „zadrzemał na swej drabinie przystawionej do płonącego budynku". Na jezdni narkoleptycy są jeszcze bardziej niebezpieczni niż alkoholicy. Według neurofizjologów, te mikro-drzemki są wynikiem nieodpartej potrzeby marzenia sennego. Choroba ta wydaje się mieć podłoże genetyczne. Pomocne są środki psychotoniczne i antydepresyjne, lecz na razie jeszcze choroba nie daje się wyleczyć.

Do tej samej kategorii należy również schorzenie, zwane „syndromem Pickwicka" ponieważ często dotyka ludzi otyłych, jak ów bohater powieści Dickensa. Cierpiący na nie ludzie z reguły okropnie chrapią, a w ciągu jednej nocy mogą nawet kilkaset razy doznawać wstrzymania oddechu. Dyszą gwałtownie, bowiem powietrze nie wchodzi im do płuc. Za każdym razem budzą się na kilka sekund, bo nie mogą równocześnie i spać, i złapać oddechu. Ale nie zdają sobie z tego sprawy. Mają też skłonność do nieustannych drzemek w czasie dnia. W przypadku tego schorzenia wszystko może załatwić kuracja odchudzająca. Znacznie cięższym przypadkiem natomiast są zaburzenia oddechowe, będące następstwem tego, że ośrodek centralny „zapomina" sterować oddechem przez 30 czy 40 sekund, a płuca nie podejmują pracy. Zdaniem prof. Michela Jouveta, „można przypuszczać, że to właśnie tego rodzaju niewydolność oddechowa jest przyczyną nagłej śmierci u noworodków".

SPRAWA BEZSENNOŚCI

to dolegliwość najbardziej rozpowszechniona, a jednocześnie łamigłówka dla neurofizjologów. Jej podłoże prawie zawsze ma charakter psychologiczny: nasze udręczenia płoszą sen. Biolog, Henri Laborit, stwierdza bez ogródek: „Człowiek cierpiący na bezsenność ma problemy egzystencjalne. Myśli tylko o tym, żeby zasnąć i uciec od nich. Byle tylko móc spać nie waha się brać barbituratów, po których tak trudno się rozbudzić". Tu włącza się prof. Mircea Steriade: „Ponieważ problem ma charakter psychologiczny, pierwszą rzeczą, którą należy zrobić, gdy traci się sen, jest wyjazd na urlop".

Najpowszechniejszym odruchem po bezsennej nocy jest kupienie pudełka środków nasennych. Tymczasem wszyscy specjaliści zgodnym chórem potępiają taktykę proszków. W Stanach Zjednoczonych zostali oni wysłuchani i w ciągu 10 lat konsumpcja środków nasennych spadła o połowę. Natomiast we Francji producentom udało się zagłuszyć nawoływania specjalistów i sprzedaż środków nasennych wciąż rośnie. Mania przyjmowania środków nasennych jest tym bardziej absurdalna, że często uiegają jej ludzie, którzy śpią zupełnie wystarczająco. Chcieliby jednak spać tyle samo co znajomi. Uważają, że potrzeba im 8 godzin snu, podczas gdy w niektórych przypadkach mogą wystarczyć 3 lub 4 godziny. W tych sprawach nie ma normy, a wiele doświadczeń wskazuje, że każdy może zredukować potrzebny mu czas snu. To jeszcze nie wszystko. Środki nasenne nie tylko powodują nawyk, który często graniczy z toksykomanią, lecz także w ostatecznym rachunku zakłócają sen. William Dement nie waha się stwierdzić wręcz, że powodują one bezsenność. Nie jest to bynajmniej błędne twierdzenie.

Nic nie stoi na przeszkodzie, aby od czasu do czasu uciec się do pomocy małego proszka, jeżeli jest się naprawdę w bardzo złym stanie psychicznym.

„Aby jednak uniknąć nawyku — mówi dr Garma — trzeba się wystrzegać przyjmowania środków nasennych każdego wieczora. Tabletka raz na 20 dni to już maksimum. Następnego dnia należy wziąć połowę, a jeszcze następnego — ćwiartkę, aby wreszcie odstawić środek nasenny".

W oczekiwaniu, że po ostatnich odkryciach rzucone zostanie światło na tajemną stronę naszego życia, specjaliści od snu trzymają się jednej i tej samej prostej koncepcji: śpimy tak, jak na to zasługujemy. William Dement udziela swym pacjentom elementarnej porady: niech kładą się spać wtedy, kiedy są zmęczeni. Odile Benoit jest zwolenniczką przestrzegania dokładnego rozkładu godzin — swego rodzaju rytuału. Zaś Lucile Garma doradza kandydatom do bezsenności wygospodarowanie wieczorem wolnego czasu, zwłaszcza jeśli dzień obfitował w stresy. Zaleca równocześnie unikanie zbyt obfitych kolacji, kawy i ćwiczeń sportowych bezpośrednio przed snem. I tym razem. Nietzsche zrozumiał wszystko, pisał bowiem: „Spanie to niemała sztuka; trzeba nad nim czuwać cały dzień".

(„LE NOUVELLE OBSERVATEUR")

W młodości sadźcie drzewa

JOLANTA WROŃSKA

Na przekór troskom, wszystkim gniewom, będzie z wami rosło wasze drzewo. Tak mówią słowa piosenki.

W kulturach dalekowschodnich istnieje bardzo piękny obyczaj, a raczej wskazanie na życie, zawierające się w formule — zbuduj dom, wychowaj syna i zasadź drzewo.

Nam współczesnym niełatwo jest przestrzegać wszystkich pięknych i dobrych rad, ale tę jedną możemy. Ze zbudowaniem własnego domu trochę gorzej, bo albo skazani jesteśmy na odczłowieczone szuflady w kamiennych pustyniach, albo — jeśli starcza nam sił i zdrowia, by zmóc urzędników, kryzys i inne przeszkody — kosztem olbrzymiego wysiłku, stawiamy ten wymarzony dom i... mamy już wszystkiego dość.

Ale nie o tym chcę napisać. To jest felieton dla szczęśliwców. Dla tych, którzy wreszcie mają ten swój metraż w bloku i nagle pojmują, że to nie wszystko. Nie myślę o kłopotach z wyposażeniem mieszkania, ani o usterkach tegoż, ani nawet nie o braku sklepów, przedszkoli itp. Myślę o drzewach.

Kiedy już się sprowadzimy do tego wyśnionego mieszkania, kiedy już jako tako się zagospodarujemy, wtedy wyglądamy przez okno. I właśnie wtedy dopada nas paskudne uczucie zamknięcia w klatce. Dziesięciu sąsiadów nad nami i obok nas ma identyczne pudełka, prawie identyczne meble i ten sam widok z okna.

Zaczynamy odczuwać potrzebę odróżnienia się od innych. W jakikolwiek bądź sposób. Daje to czasem przedziwne rezultaty, pojawiają się jakieś zupełnie nieprawdopodobne cudeńka w mieszkaniach, jakieś olśniewające, jadowicie zielone jarzeniówki na balkonach. W osiedlu przybywa kosztownych, superrasowych psów, możliwie dużych i reprezentacyjnych. Może być niemiecki dog, albo afgańczyk, nieważne, ważne, żeby sąsiadów trafił szlag z zazdrości. A że wielkie bydlę męczy się w małym, przeważnie pustym przez pół dnia mieszkaniu, to już naprawdę drobiazg. Żeby się odróżnić od szarego tłumu ludzie zrobią wszystko. Obowiązująca jest zasada — mieć więcej od sąsiada. Kwitnie więc konsumpcja pokazowa i nawet ciężki kryzys nie daje jej rady.

W gruncie rzeczy ludzkie to i całkiem zrozumiałe. Wielkie osiedla po prostu tylko mocniej i może trochę w krzywym zwierciadle, ujawniają zwyczajną ludzką potrzebę intymności, prywatności, zachowania własnej twarzy nie dzielonej z resztą takich samych mieszkańców Retkini, Widzewa, czy Chojen.

A można przecież trochę uczłowieczyć ten paskudny widok z osiedlowego okna. Można po prostu sadzić drzewa. Co potrafią zdziałać dla naszego samopoczucia zwykłe drzewa, można się przekonać choćby na Teofilowie. Kiedy budowano tę dzielnicę, obowiązywała akurat filozofia oszczędnościowa. Postawiono bloki wyjątkowo ohydne, przypominające koszary wojsk Franca Josefa. Wprowadzający się ludzie mieli przed oknami pryzmy gliny, błoto i totalny bałagan po naszych ukochanych budowlańcach.

A dziś? Dzisiaj Teofilów tonie w zieleni i kwiatach. I ta puchata zieloność tłumi nawet szpetotę architektury. Wiem, za sto lat i na Retkini czy Widzewie też będzie zielono i przytulnie. Drzewo rośnie długo, dłużej niż człowiek. Ale głupota, ciężka głupota człowieka sprawia, że zanim doczekają nasze wnuczęta tych zielonych czasów, nam dzisiejszym grozi odzwyczajenie się od piękna. Dzisiaj, na miejscu podłódzkiej Retkini słynącej z sadów i pszenicy, można zaczepić oczy już tylko o jakieś smutne resztki sadów, o jakieś zdziczałe drzewka, biegające teraz za osiedlową zieleń. Retkinia i tak po sześciu latach wygląda jako tako. Teren uporządkowany, trochę drzewek posadzono, z grubsza da się żyć. Tu i tam widać, jak ludziom potrzeba zieleni. Powstają mikroskopijne ogródki, klomby, gdzieniegdzie już pnącze dzikiego wina okrywa szarą ścianę bloku. Ale są nadal miejsca straszące pustką i jakby zapomniane przez utrzymywaną przez spółdzielców administrację. Jest taki ogromny wygon między ulicami Dzierżyńskiego i Marchlewskiego. Od frontu, od ulicy jeszcze ujdzie, ale na tyłach jest smutno. Na tym wielkim placu — nie placu, jak dwie wyspy, tkwią dwa przedszkola, jakieś resztki zabudowań niegdysiejszej wsi, lodowisko, szkoła i magazyn materiałów budowlanych. Środkiem przebiega nie istniejąca ulica Balonowa. To znaczy teoretycznie ona jest, nawet poczta tam się mieści, tyle, że praktycznie ulicy nie ma. Ten otóż wygon jest najgorszym z możliwych środowisk, że tak powiem wychowawczych. Maszerujące do przeszkoli i do szkoły dzieci widzą nic. Zwyczajne nic. O tym, że otoczenie, jego uroda lub szpetota także wychowuje, wiedzieli już starożytni. A my jakoś zapomnieliśmy. Jakiego świata mają się nauczyć te dzieci, gdzie ma się formować ludzka potrzeba piękna, jeśli żyje się w betonowej klatce, mając przed oknem półtora przyzwoitego drzewa i trochę drzew potencjalnych, przyszłych. Kiedy człowiek od zarania swej pamięci widzi martwotę otoczenia, nie spodziewajmy się, że nauczy się kochać drzewa i chronić je. Dzisiejsi kilkulatkowie mają i tak dzieciństwo pod górkę, dajmy im więc choćby własne drzewko. Niech rośnie razem z nimi.

Ten pusty wygon nadaje się doskonale na park. Jest tak usytuowany że mógłby z czasem stać się wspaniałym miejscem oddechu. Miejsca tu dużo. Starczy na trawniki do opalania się, starczy nawet (marzenia nic przecież nie kosztują) na basen, starczy miejsca na dużo drzew. Jeśli więc można próbować realizacji marzeń, to mogłoby to wyglądać tak: można by urządzić osiedlowe zawody spartakiadę, czy jakąkolwiek inną masową imprezę, dla dorosłych i dla dzieci. Administracja mogłaby zafundować nagrody dla zwycięzców rozmaitych konkurencji. Na przykład kupić worek cukierków, albo zaagitować jakiegoś lodziarza, żeby, tytułem reklamy własnej firmy, wręczał darmowe lody dla triumfatorów. Zresztą pomysłów może być mnóstwo.

A jedną z głównych konkurencji byłyby podchody na śmieci. Rozpuścić po placu tyralierę dzieciaków dla zebrania papierów, petów i innego drobiazgu. Dorośli mogliby zebrać walający się obficie gruz i złom. Znalazłby się na pewno jakiś zakład, od którego dałoby się wypożyczyć na niedzielę, jedną lub dwie ciężarówki, by wywieźć zebrane śmiecie. Może nawet dałoby się wycyganić mały spychacz, od razu zniwelowałoby się alejki, czy teren pod boisko. A potem już tylko przyjemność sadzenia drzewek, krzewów, kwiatów.

Snując dalej te marzenia, chciałabym, żeby przyjął się w naszym codziennym życiu piękny obyczaj czczenia narodzin nowego człowieka zasadzeniem jednego drzewa. Niech rośnie razem z nim. W ogóle pięknie byłoby, gdybyśmy witali rozpoczęcie nauki szkolnej przez nasze dziecko, posadzeniem przez nie samo własnego drzewka, tak samo, gdy wprowadzamy się wreszcie do wyczekanego mieszkania. Zasadźmy coś zielonego. Okazji może być przecież tysiąc, a o młode drzewka łatwiej niż o meble.

Dużo jest takich ponurych i pustych osiedli, wszędzie da się uczłowieczyć widok z okna, a i korzyść wychowawcza z tego płynie. Nie niszczy się własnego drzewka i innym nie pozwala się na to.

Gdyby marzenie, pewnie nie tylko moje, miało się nie spełnić, wówczas pozostanie nam już ten gorzki fragment wiersza... i klonom ręce opadły... i mnie...

Co by było, gdybyśmy się nie starzeli?

Biolog australijski, prof Macfarlane Burnet, odkrył niedawno, że długość życia jest niejako zaprogramowana już od momentu urodzenia. Śmierć — jego zdaniem — nie jest być może nieuchronną koniecznością, lecz chorobą, którą można wyleczyć. Oto co pisze na ten temat Yves Christien.

JAKIE SĄ W OSTATNICH LATACH PROPOZYCJE PRZEDŁUŻENIA ŻYCIA?

Według ostatnich danych opublikowanych przez Światową Organizację Zdrowia w 1970 roku było na świecie 307 milionów ludzi w wieku ponad 60 lat, w roku 2000 będzie ich 580 milionów, a w roku 2025 — 1,12 miliarda. (Są to obecni młodzi ludzie). Równocześnie wzrosła liczba stulatków: we Francji jest ich dzisiaj 3.315 podczas gdy przed 20 laty stuletnich starców było tylko tysiąc! Ludzie nie tylko żyją dłużej, ale osiągają wiek sędziwy w lepszej kondycji niż dawniej. Zmiany te stwarzają poważne problemy społeczne i ekonomiczne, zwłaszcza, jeśli się weźmie pod uwagę obniżenie wieku emerytalnego: czas trwania aktywności zawodowej zmniejsza się znacznie, a w wielu przypadkach wynosi mniej niż połowę długości dojrzałego życia człowieka. Powstaje więc ryzyko, że ludzie nie będą dostatecznie długo pracowali, aby móc sfinansować nieproduktywną część swej egzystencji.

CZY SĄ GRANICE ZWOLNIENIA PROCESU STARZENIA?

Prawdopodobnie są. Uważa się na ogół, że nie ma szans przekroczenia 120 lat. Taka jest długość życia słynnych mieszkańców niektórych regionów Andów i Kaukazu, gdzie podobno z reguły żyje się sto lat. (w rzeczywistości, z powodu niedokładnych statystyk urzędów stanu cywilnego w tych rejonach, nikt nie zna prawdziwego wieku obywateli). Są to jednak granice dość arbitralne i w dodatku nie biorą one pod uwagę możliwości opracowania nowej terapii.

CZY MOŻNA WYTŁUMACZYĆ DLACZEGO DŁUGOŚĆ ŻYCIA JEST ŚCIŚLE OGRANICZONA?

Doświadczenia przeprowadzone przed dwudziestu laty przez amerykańskiego biologa, Leonarda Hayflicka, wykazały, że hodowane komórki (nierakowate) dzielą się kilkadziesiąt razy zanim umrą. Odkrycie to sugeruje, że życie ma nieprzekraczalne granice, ustalone programem genetycznym.

Właśnie tym programem i jego znaczeniem dla zjawiska starzenia się interesuje się biolog australijski, laureat Nagrody Nobla, Macfarlane Burnet. Opublikował on niedawno niezwykle cenną pracę pt. „Program i błąd", którą prof. Jean Hamburger uznał w swym posłowiu (zawierającym zresztą także krytykę niektórych tez książki) za wielkie wydarzenie. Prof. Burnet opiera się na następującym stwierdzeniu: „W ciągu ostatnich 50 lat medycyna zupełnie się zmodyfikowała. Infekcje, rany i niedożywienie stały się bolączkami, którym można zapobiegać lub leczyć według dokładnie ustalonych i skutecznych metod naukowych. Dlatego też to, co trzeba jeszcze traktować na płaszczyźnie klinicznej zależy niemal całkowicie od genetycznej konstytucji człowieka i jego reakcji na środowisko społeczne". Innymi słowy, człowiek jest obecnie narażony nie na wypadki, lecz na ograniczenie swego potencjału genetycznego.

JAK MOŻNA WYJAŚNIĆ PROCES STARZENIA SIĘ?

Jest to jeden z najbardziej intrygujących problemów nurtujących współczesną biologię. Wysuwano wiele hipotez. Prof. Burnet opiera się na twierdzeniu specjalistów od biologii molekularnej, mianowicie molekuła będąca wektorem dziedziczności (słynne DNA) jest nieustannie narażona na naruszenie na ryzyko błędu. Na szczęście dysponuje ona niezmiernie złożonym wyposażeniem, wyspecjalizowanymi enzymami, które zapewniają jej naprawę w razie uszkodzenia. W tej machinie zdarzają się jednak awarie. „Do programu stopniowo wkradają się błędy". Z wiekiem owe błędy coraz bardziej się gromadzą. Prof. Burnet wykazuje, że organizmowi nieustannie zagraża ryzyko błędów. „Życie — powiada profesor — jest tylko szeregiem błędów".

Te modyfikacje DNA komórek ciała otrzymały nazwę „mutacji somatycznych". Zdaniem prof. Burneta, są one główną przyczyną starzenia się. Drobnym, lecz charakterystycznym przykładem tego rodzaju mutacji są piegi. Te małe nagromadzenia komórek skórnych są jakoby jedynie przejawem organicznego starzenia się, nie mającego zasięgu patologicznego. Z biegiem lat gromadzą się podobne, ale poważniejsze błędy, które w końcu prowadzą do nieodwracalnych urazów i do śmierci.

CZY MOŻNA W TEN SPOSÓB WYTŁUMACZYĆ WYSTĘPOWANIE CHORÓB ZWIĄZANYCH ŻE STARZENIEM SIĘ?

Prof. Burnet sądzi, że tak. Wiele jest chorób związanych z wiekiem. Jedną z najbardziej niepokojących jest obłęd starczy, czyli choroba Alzeimera. W Stanach Zjednoczonych jest ona przedmiotem badań priorytetowych i wiadomo, że prezydent Reagan zgodził się poddać serii nowo opracowanych testów, aby można było ocenić ewolucję choroby u osób w wieku podeszłym.

U osób starszych rozwijają się też często różnego rodzaju infekcje. Wynikają one jakoby z osłabienia mechanizmów obronnych organizmu, związanego z kolei, jak twierdzi prof. Burnet, z gromadzeniem się błędów na szczeblu programu genetycznego. To samo dotyczy raka i być może także schorzeń układu krążenia.

CZY JESTEŚMY WSZYSCY RÓWNI WOBEC ZJAWISKA STARZENIA SIĘ I ŚMIERCI?

Oczywiście, istoty żyjące nie są równe wobec ryzyka błędu, które prowadzi do starzenia się i śmierci. I tak np., jak mówi prof. Burnet, „mysz umiera w wieku dwóch lat i w bardzo znikomej mierze naprawia swoje DNA w porównaniu do człowieka, którego długość życia wynosi odpowiednio 60 i 75 lat".

Ludzie też nie są w tej dziedzinie równi, jeśli ich między sobą porównać. Na 250 000 noworodków jeden jest dotknięty poważną chorobą dziedziczną „xeroderma pigmentosum" czyli niedoborem enzymów naprawiających DNA. Dzieci te są niezwykle wrażliwe na napromieniowanie i zazwyczaj umierają na ogólnego raka przed ukończeniem 25 lat życia. Z kolei dzieci dotknięte progerią, która polega na przyśpieszeniu procesu starzenia się, umierają ze starości przed ukończeniem 10 lat życia. Ich zegar biologiczny został rozregulowany.

W JAKIEJ MIERZE TE ODKRYCIA DOTYCZĄCE WPŁYWU DZIEDZICZNOŚCI NA PROCES STARZENIA SIĘ MODYFIKUJĄ NASZĄ KONCEPCJĘ CZŁOWIEKA?

Jest to jeden z głównych przedmiotów badań prof. Burneta. „Jeśli — mówi profesor — błąd w zakresie DNA ma tak wielkie znaczenie, musimy bardziej skrupulatnie niż dawniej brać pod uwagę ewentualność, zgodnie z którą o zachowaniu człowieka przede wszystkim i być może całkowicie decyduje poziom genetyczny. Tutaj właśnie nowoczesny filozof miałby najwięcej szans znalezienia odpowiedniego podejścia do problemu zła na świecie".

Poruszając zagadnienie dziedziczności, Macfarlane Burnet zdaje sobie sprawę, że dotyka groźnego tabu. Mówi o tym całkiem wyraźnie: „Ten ciężar ideologii jest tak wielki, że gdyby zachodni genetyk pragnął naśladować Łysenkę, prawdopodobnie znalazłby w większości krajów niebywale dużo ludzi gotowych ulec tej herezji".

CZY MOŻNA MYŚLEĆ O OPÓŹNIENIU STARZENIA SIĘ?

O ile prof. Burnet godzi się z pewną nieuchronnością genetyczną, o tyle inni uczeni zdecydowani są działać przeciw naturze. Już dzisiaj przypuszcza się, że niektóre substancje mogą opóźnić starzenie się. Odkrywa się nawet systematycznie nowe tego rodzaju substancje. Ostatnio odkryto np. że właściwości opóźniające starość ma kwas moczowy, który skądinąd może być także szkodliwy. Sądząc po doświadczeniach na myszach można by wysunąć wniosek, że do przedłużenia życia przyczyni się także niedożywienie. Ale za jaką cenę? Gerontolog Roy Walford zaleca z kolei zamrażanie organizmu. Wykazał on m.in. że ryby, których temperatura została obniżona, żyją dłużej. Jak to się dzieje w przypadku człowieka? Wielką pokusą jest podjęcie próby oddziaływania na funkcjonowanie przysadki mózgowej, która reguluje temperaturę ciała. Jest to pokusa tak wielka, że prof. Walford, którego prace z zakresu immunologii zyskały duże uznanie, postanowił przekonać się, czy mistrzowie jogi mogą za pomocą medytacji, wpłynąć na funkcjonowanie swej przysadki mózgowej i obniżyć temperaturę ciała.

Roy Walford był olśniony mędrcem z Poony, Swami Rajneshem, ale słuchając jego „wspaniałego kazania" uświadomił sobie jednocześnie trudność swego zadania. „Nie byłem przecież w stanie wyobrazić sobie, abym mógł włożyć termometr do odbytu czcigodnego Swami Rajneesha". Dzięki cierpliwości Roy Walford osiągnął jednak swój cel. Kilku mistrzów jogi poddało się eksperymentowi: włożyli sobie do kiszki stolcowej superudoskonalony teletermometr gerontologa, i o dziwo temperatura w odbycie okazała się niższa niż przeciętna (o prawie 3 stopnie w niektórych przypadkach). Można stąd wysnuć wniosek, że niektóre rodzaje medytacji mogą sprzyjać przedłużeniu życia i taki chyba wniosek wyciągnął prof. Walford.

Większość specjalistów bardziej jednak wierzy środkom farmakologicznym, bądź też jeszcze bardziej skomplikowanym manipulacjom. Trzej badacze japońscy, Toshiya Takano, Makoto Noda i Taka-aki Tamura, dokonali niedawno wielkiego dzieła: przekształcili mianowicie komórki pacjentów chorych na „xeroderma pigmentosum" wstrzykując im DNA komórek normalnych, co spowodowało, że chorzy ci stracili swą niezwykłą wrażliwość na napromieniowanie.

CZY MOŻNA PÓJŚĆ DALEJ?

Nikomu nie zabrania się marzyć. Niektórzy biologowie zwracają uwagę, że śmierć nie jest absolutną koniecznością biologiczną. Mikroby, które się reprodukują przez parytet podzielności niekoniecznie muszą umierać (jednostki umierają, ale połowy, które pozostają, są w pewnym sensie wieczne). Wiadomo też, że żywe komórki (komórki nowotworowe) mogą się wiecznie rozmnażać w hodowli. Dysponując tymi częściami organizmu, które unikają śmierci, można już dzisiaj stwierdzić, że wieczność wkroczyła do laboratoriów.

Poza tym nie jest wykluczone, że lecząc choroby związane ze starzeniem się można będzie nie tylko zatrzymać czas, ale także zawrócić jego bieg. To ma na myśli prof. Gerard Milhaud ze szpitala Saint-Antoine w Paryżu, gdy mówi o terapii (chodzi tu o hormon zwany calcitoniną) zdolnej przezwyciężyć bardzo często spotykaną chorobę wieku starczego — osteoporozę. (Jest to choroba kości). W tym konkretnym przypadku wyleczenie byłoby równoznaczne z prawdziwym odmłodzeniem!

CZY TE PERSPEKTYWY INTERESUJĄ ZARÓWNO FILOZOFÓW JAK BIOLOGÓW?

W każdym razie tak twierdzi prof. Gerard Milhaud, gdy mówi, że „odtąd przemijanie czasu nie jest już nieuchronnie nieodwracalne".

Warto podkreślić, że większość filozofii zachodnich bierze pod uwagę nieuchronność śmierci. Pojęcia tragedii, przeznaczenia itp., nie byłyby takie same w społeczeństwach nieśmiertelnych. Zmieniłyby się także obyczaje, a życie ludzkie stałoby się dobrem absolutnym. Być może nie ryzykowano by już jego utraty w wojnach czy burzliwych przygodach. Trzeba jednak przyznać, że do tego jeszcze daleko.

Foto: Mirosław Zajdler

(„LE FIGARO MAGAZINE")

Foto: M. Zajdler

Leczenie pod namiotem

W naszym niełatwym dziś życiu niesienie pomocy i udzielanie wsparcia najbardziej tego potrzebującym uznane zostało — przy najzupełniej zgodnych odczuciach społeczeństwa i władz — za podstawowy kanon polityki społecznej. Wśród ludzi wymagających specjalnej troski na pierwszym miejscu znajdują się dzieci, zwłaszcza dzieci chore. Nie wszystkie one otrzymują od nas to, co im się należy, toteż warto może zwrócić uwagę na tę ich kategorię, której zdrowotne potrzeby, mimo znacznych wysiłków władz i instytucji, dalekie są od zaspokojenia.

Jest to zresztą kategoria niejednolita, obejmująca zarówno dzieci cierpiące na choroby wrzodowe przewodu pokarmowego, jak i na cukrzycę, wobec których stosuje się co prawda odmienne sposoby leczenia, przy zbliżonej jednak diecie i podobieństwie innych niezbędnych im warunków. Na obszarze sprawowania kontroli i opieki przez łódzkie instytucje i placówki służby zdrowia, czyli w regionie składającym się z kilku województw, mamy aż trzy i pół tysiąca zarejestrowanych małych wrzodowców i cukrzyków, a liczba ta nieustannie się powiększa, ponieważ m. in. ze względów cywilizacyjnych (a dodatkowo trudnych obecnie warunków bytowych) notuje się stały wzrost zachorowań, za którym nie nadążają efekty lecznicze.

Można by powiedzieć, że i w niektórych innych dziedzinach zdrowotności dzieci i młodzieży sytuacja bywa nielepsza, a rozmiary zjawiska niekiedy większe, ale w tym rzecz, iż choroba chorobie nierówna, bo właśnie w chorobie wrzodowej czy cukrzycy szpitalny czy ambulatoryjny tryb leczenia wymaga w wyjątkowo znacznym stopniu uzupełniających działań i dodatkowych form opieki. Tak np. dawkowanie insuliny w przychodni odbywa się na zasadzie ustalania co pewien czas dawki, którą zaleca się po okresowej kontroli, gdy tymczasem poziom cukru we krwi podlega stałym wahaniom, co wymagałoby (przy założeniu idealnym) nieustannego korygowania dawki leku. Ponadto w przypadku obu tych chorób, zarówno ze względu na poważne nieraz dolegliwości i mniejsze niż w wielu innych chorobach szanse całkowitego wyleczenia, stan psychiczny pacjentów (przypomnijmy — małych pacjentów!) jest ze zrozumiałych względów nie najlepszy, a bywa, że bardzo niepokojący.

Wychodząc tym wyjątkowym okolicznościom naprzeciw Wojskowa Akademia Medyczna w Łodzi weszła przed kilkoma laty w porozumienie z łódzką komendą chorągwi Związku Harcerstwa Polskiego i urządzono pierwszy w Polsce letni obóz leczniczo-wypoczynkowy dla dzieci cierpiących na obie te choroby, a stosowne miejsce znaleziono w nadmorskim Jarosławcu. Mariaż wysoko kwalifikowanej placówki leczniczej i naukowo-badawczej z organizacją harcerską umożliwił zastosowanie kompleksowych działań leczniczo-wychowawczych jak najlepiej odpowiadających potrzebom pacjentów. W swoim aspekcie zdrowotnym stanowi on niejako dalsze ogniwo leczenia szpitalno-ambulatoryjnego, połączonego z wypoczynkiem, mającym też ogromne walory wychowawcze, uwzględniającym obciążenia psychiczne podopiecznych. Co też ogromnie ważne, utrzymana zostaje ciągłość leczenia, gdyż opiekę nad chorymi sprawuje ten sam personel medyczny (w tym również pomocniczy), który wcześniej nadzorował te same dzieci pod bezpośrednim kierownictwem doc. Izabeli Małeckiej, będącej kierownikiem WAM-owskiego oddziału Interny Dziecięcej w Łagiewnikach i jednocześnie poradni gastrologicznej Instytutu Pediatrii, a nadto kierownikiem wspomnianego obozu.

Ludzi, którzy z oddaniem wykonują swoją pracę zawodową czy społeczną zwykło się nazywać z przekąsem „harcerzami" (tak przeżywają ich ci, którym wyższe motywacje są najzupełniej obce). Tu zaś mamy do czynienia rzeczywiście z harcerzami, bez żadnego cudzysłowu, cały bowiem personel medyczny z WAM — od docenta do studenta, a po części także z AM w Łodzi, jednoczy się w społecznej obozowej pracy na zasadzie ochotniczego harcerskiego zaciągu, podobnie jak współdziałający z medykami instruktorzy łódzkiej chorągwi. A jest to praca niezmiernie odpowiedzialna i uciążliwa, jeśli wziąć pod uwagę, że dzieci podlegają codziennemu skrupulatnemu badaniu (m. in. ustalaniu optymalnej na dany dzień dawki insuliny) oraz uważnej obserwacji pod względem ich ogólnego samopoczucia i zachowania. Niemałą rolę odgrywa też w działaniach lekarsko-wychowawczych tak potrzebna dzieciom psychoterapia.

O wysokim stopniu wyspecjalizowania owej obozowej opieki świadczy i to, że nawet kadra kuchenna jest co roku w zasadzie ta sama, co ważne ze względu na przyrządzanie potraw zgodnie z wymaganiami diety.

Dzieci więc — prowadzące tu poza tym całkowicie harcerski tryb obozowego życia, z rozmaitymi zajęciami, zabawami, leczą się i wypoczywają, podreperowują zdrowie, odbudowując w sobie wiarę we własne siły i perspektywy życiowe, natomiast personel opiekuńczy, który nieodpłatnie poświęca co roku swój urlop, nie zaznaje wypoczynku, a ta coroczna mitręga rozpoczyna się już wcześniej, w związku z czynnościami przygotowawczymi i organizacyjnymi, należy bowiem naszykować zawczasu — wydzielając z wyposażenia WAM nie tylko aparaturę medyczną i leki, ale także pościel, naczynia stołowe i kuchenne, po części także zapasy prowiantu, i w dodatku przewieźć to wszystko co roku z Łodzi do Jarosławca i z powrotem. Dzieje się to od szeregu lat bez fanfar i rozgłosu, jaki nieraz towarzyszy mniej ważnym i nie tak ofiarnym poczynaniom. Piękny to przykład cichego i skromnego bohaterstwa pracy, któremu należy się wdzięczność i szacunek.

Koszty utrzymania obozu są stosunkowo wysokie — ok. 11 tys. zł na dziecko, opłaty natomiast w zależności od zarobku rodziców wahają się od 1 do 3 tys. zł. Tej różnicy nie pokrywają dotacje centralne w wysokości 170 zł dziennie na dziecko (co daje w miesięcznym przeliczeniu ok. 5 tys. zł). Jeśli obóz pomimo tego rokrocznie dochodzi do skutku, to w znacznej mierze dzięki pomocy finansowej łódzkich władz wojewódzkich, co prawda nie na zasadzie stałej pozycji budżetowej, lecz każdorazowej dotacji. Udzielały też znaczącego wsparcia związki zawodowe, co ostatnio ze znanych powodów nie przychodzi najłatwiej.

Obóz stanowi dla dzieci prawdziwe dobrodziejstwo, o czym one same i ich rodziny wiedzą najlepiej. Niestety jednak tylko niewielka część może z niego dotychczas korzystać, ponieważ turnus nie jest w stanie objąć więcej niż 200 dzieci, a utworzenie choćby drugiego tylko turnusu jest na razie niemożliwe z braku personelu. Ale temu dałoby się chyba w perspektywie czasu zaradzić, gdyby zagwarantować na ten cel odpowiednie i stałe środki budżetowe. Można by wtedy zacząć myśleć o skompletowaniu dodatkowej ekipy medycznej.

Z pewnością sprawa warta jest zwiększonego materialnego poparcia władz i czynników społecznych.

JERZY KWIECIŃSKI

kolumna ajencyjna

Tadeusz Chróścielewski

Dlaczego nie tańczyłem przed ołtarzem bogini Neit?

Nie rozumiem, czemu pan dyrektor, choć czasy nastały ciężkie i szkoła prawie plajtowała, zaprosił do nas na seans — jasne, że nie za darmochę — pana jasnowidza-hipnotyzera.

Kazano nam zebrać się klasami w sali rekreacyjnej i jasnowidz urządził pokaz.

Najpierw wybrał ochotników, którzy mieli przekazywać mu na odległość rozkazy myślami. Żeby nikt z nas nie sądził, że to lipa, ochotnicy zapisywali najpierw na karteczkach treść rozkazów, karteczki rolowali i zrolowane wrzucali do czapki pana woźnego. Pan woźny trzymał przed sobą czapkę jak ksiądz tacę i sam rozwijał kartkę, dopiero, kiedy pan jasnowidz rozkaz wykonał.

Kolega Bryliński napisał, a potem przekazał w myśli panu jasnowidzowi, żeby ten wyjął Sadziowi Sażyńskiemu z górnej kieszeni wieczne pióro — ową zadziwiającą nowość sezonu, którą jak dotąd mogli się poszczycić tylko pan dyrektor i właśnie nasz Sadzio. Pan jasnowidz rozkaz dokładnie wykonał. Potem na myślowe polecenie Natki nachylił się nad uchem kolegi Godlewskiego i powiedział mu na ucho, ale całkiem głośno: „głupi dyda" („Dyda" to było przezwisko nadane przez nas koledze Godlewskiemu, za które tamten zawsze się głośno obrażał). Ale kiedy pan jasnowidz odebrał w myśli rozkaz od koleżanki Rajnszówny, zawahał się i powiedział głośno, że polecenie jest niestosowne i on nie może go wykonać. Szalenie nas ten rozkaz zaciekawił. Zaczęliśmy tupać głośno nogami, niektórzy zaś z nas protestowali po sportowemu wołając: „Magik kalosz".

Pan jasnowidz spytał wtedy pana dyrektora i ciało pedagogiczne, czy może niestosowne polecenie wykonać. Otrzymawszy zezwolenie, przeszedł przez całą salę i tuż koło drzwi do kancelarii chwycił panią profesor Szymkiewiczównę za nos. To była zemsta koleżanki Rajnszówny za to, że ją ta pani na matematyce postawiła do kąta. Zresztą nie pierwszy raz, a też i nie ostatni.

Z kolei pan hipnotyzer przeszedł do pokazywania innych sztuk. Otóż posadził na fotelu kolegę Hejna i tak dziwnie wymachiwał nad nim rękami i gładził go po czole, że koledze Hejnowi znudziło się i zaczął spać. Wtedy ten pan nakłamał mu mówiąc, że Hejn jest rycerzem Tristanem, który kocha nad życie złotowłosa przecudną królowę Izoldę i pokazał mu ukochaną. A to nie była królowa Izolda, lecz szczotka do zamiatania, którą pan woźny pozostawił przed klasą IV b. Pan hipnotyzer tak koledze Hejnowi w głowie zachachmęcił, że ten zaczął ową włochatą szczotę czule całować i tulić sobie do piersi. Straszniśmy się z kolegi Janusza śmieli. Ja chyba najbardziej, bo jestem śmieszkiem.

Pan hipnotyzer musiał dosłyszeć mój bardzo głośny śmiech, bo zaraz i mnie wyciągnął z rzędów, posadził na tym samym fotelu i począł mnie tak samo właśnie rękami i cichymi, mocnymi słowami czarować, żebym usnął i potem robił głupoty, z których by się nasza klasa i szkoła nabijała.

Naprawdę zachciało mi się od tego jego machania rękami trochę spać i zacząłem na zmianę otwierać i zamykać oczy. Ale nie zamknąłem ich całkiem, tylko cokolwiek opuściłem powieki. Pan hipnotyzer powiedział, że dookoła mnie panuje ciemność, a to dlatego że znajduję się w najgłębszej komorze piramidy Cheopsa, który był faraonem i pochodził z dynastii memfickiej, a rządził 2700 lat przed narodzeniem Pana Jezusa. I rzeczywiście koledzy stali się nagle prawie ciemni. Za to w środku ciemności — tam właśnie, gdzie siedziała moja Baśka — było jakby złociście i w ogóle jasno. A to nie dlatego że tak akurat siedziała Baśka, lecz przez to że tam stał — pouczył mnie pan hipnotyzer wskazując dokładnie palcem — ołtarz, na którym płonął wieczysty ogień ku czci bogini Neit, a ta bogini była krową która urodziła Słońce. Ja zaś — pouczył mnie pan hipnotyzer — wcale nie jestem sobą, lecz egipską kapłanką-tancerką, która ma odtańczyć pobożny taniec ku czci tejże bogini-krowy. Przez to będę się — zrozumiałem zawczasu — cudacznie wygibał dokoła Baśki.

Widziałem jak na kliszy fotograficznej, na której jakiś gapa zrobiłby dwa zdjęcia naraz i stożkowate wnętrze piramidy, i wszystkich ich na sali rekreacyjnej, i siebie bezwstydnie, bo bez ubrania, za to opalonego na brąz jak wojownik na papierosach „egipskie", i zarazem siebie w uczniowskim mundurku siedzącego z półprzymniętymi oczyma na fotelu. A i widziałem coś jakby mglisty ołtarz bogini-krowy i moją Baśkę.

Pan dyrektor — tak teraz czarny, że mało się od czerni ścian piramidy odróżniał — poruszał z zadowolniem chrabąszczykowymi wąsikami w oczekiwaniu, że się za chwilę będę wygłupiał. Niektórzy koledzy tak szeroko otwarli usta, że niejednemu gapa mogłaby wpaść do gardła... Tylko Baśka była bardzo, ale to bardzo poważna i patrzała na mnie ze smutkiem. Było jej przykro, że wszyscy będą się zaraz ze mnie na potęgę nabijać, a ja już wysuwałem, choć z oporem, nogę do tańca... Po spojrzeniu na Baśkę nogę cofnąłem.

— Tańcz, tancerko egipska! — rozkazał mi po raz drugi pan hipnotyzer głosem przenikliwym i tak rozkazującym, że groźniej by i Napoleon nie potrafił. Postanowiłem go jednak za nic w świecie nie posłuchać, choć wciąż dreptał koło mnie półkolem i robił rękami fokusy coraz to bardziej zamaszyste.

— Tancerko, tańcz!! Rozzzzkazuję ci!!! Ja, boski faraon! Pan Górnego i Dolnego Egiptu! Brat Amona-Ptaha, Rah!!! Tańcz!!!! Tańcz!!!! Tańczżeż, do jasnej cholery!!!

Chciało mi się tańczyć jak nigdy w życiu. Pot lał mi się z tego chcenia i walki ze chceniem dosłownie z czoła. Tak samo zresztą lał się z czoła i panu hipnotyzerowi-faraonowi. Nadal zwycięsko opierałem się pokusie... i tylko lekko przebierałem nogami. Ale mało kto to zauważył i nie musiało to być bardzo śmieszne.

— On ma psyche hipopotama i nie ulega inkarnacji. Rzadko zdarzają się, panie dyrektorze i szanowni państwo, przejawy tak słabego peresprite, czyli uźrocza, ale czasem się trafiają — pouczył salę pan hipnozyter wskazując na mnie z wyraźną odrazą. — Wielki Schiaparelli wspomina o takim samym przypadku w Nowej Zelandii — dodał spychając mnie nie całkiem grzecznie z fotela.

Zupełnie nie wiedział, że to nie moje „słabe peresprite" podobno, lecz tylko tak nadludzko mocna miłość do Baśki stała się przyczyną mojego nieposłuszeństwa jego rękom i głosowi.

Na twarzy jej teraz dostrzegłem wyraz ulgi głębokiej. Posłała mi też jakby w nagrodę najsłodszy ze swych uśmiechów z tamtego miejsca — tuż przed wygasającym szybko wieczystym ogniem ku czci bogini Neit — krowy, która urodziła Słońce.

Tadeusz Fangrat

FRASZKI ŁÓDZKIE

SKUTKI PODRÓŻY SŁUŻBOWEJ

Gdyby Rembieliński
stron tych nie przemierzał,
dziś pisalibyśmy:
„M. Łódź koło Zgierza".

PERŁA

Osiedle Bytomskiej
oto perła Bałut.
Ten w nim mieszka błogo,
który szczęścia ma łut.

DĄBROWA I CHOJNY

Trzeba było aż dwóch
wojen
by Dąbrowa była z Chojen.

O FASADACH DOMÓW

Taki dzisiaj łódzki bon ton,
że co rusz, w złym stanie
fronton.

Z przygotowywanego do druku w Wydawnictwie Łódzkim tomiku „PŁOCHODNIE".

Narysuj sobie sam!

Nasz śmiały zamysł pobudzenia do czynu młodych, utalentowanych rysowników nie przyniósł jeszcze spodziewanych efektów, ustawicznie jednak wypatrujemy listonosza z torbą pełną przesyłek. Przypominamy, że najciekawsze rysunki zamierzamy opublikować, płacąc wprawdzie — jak to teraz w modzie — możliwie mało, ale podpisując za to dzieło pełnym imieniem i nazwiskiem autora (a nawet, na życzenie, imieniem i nazwiskiem panieńskim matki).

Ponieważ zwrócono nam jednak uwagę, że wydzielone poprzednio miejsce — w formie poziomego prostokąta — nie pozwalało na twórczy rozmach i autor nie mógłby narysować tam żyrafy, fabrycznego komina, albo nawet zwykłej wieży Eiffla, nadrabiamy to zaniedbanie wydzielając tym razem PT Twórcom znacznie, ale to znacznie więcej miejsca.

Za Ajenta
KUZYN AJENTA

Piękne dziewczęta tylko u ajenta

Pod tym hasłem zamierzamy publikować zdjęcia możliwie, a nawet niemożliwie pięknych dziewcząt, w przekonaniu, że żadnemu pismu to jeszcze nie zaszkodziło raczej wręcz przeciwnie.

Użyte hasło może się wprawdzie wydać nie dość zabawne, trzeba jednak uczciwie powiedzieć, że choć autor w wyniku ustawicznych kontroli i prześladowań zmuszony był przekwalifikować się z kucharza na dziennikarza, to wciąż jeszcze lepiej gotuje niż rymuje. W miarę rozwoju wypadków hasło możemy zresztą zmieniać, natomiast dziewczętom — pozostaniemy wierni niezmiennie.

Pierwsza próbka do degustacji — powyżej.

SZEF KUCHNI

Najzabawniejszy tekst miesiąca

W czasach gdy zespół KOLUMNY AJENCYJNEJ prowadził jeszcze przyzwoitą knajpę, gazet używając niemal wyłącznie na podpałkę, w jednym z czasopism — chyba to była „Polityka" — po prostu przez roztargnienie przeczytaliśmy hasło: UCZYĆ SIĘ CHOCBY OD DIABŁA.

Hasło zapadło nam w pamięć, dlatego też zmieniając rodzaj pracy na początek przestudiowaliśmy pilnie humoreskę Twaina „Jak redagowałem gazetę rolniczą" i zamierzamy bezwzględnie trzymać się wskazań Mistrza. Kiedyś, w przyszłości, zdradzimy nawet na czym to polegało.

Jednocześnie wertujemy wszystko, co nam w ręce wpadnie, zaś co miesiąc będziemy przedrukowywać — w całości lub we fragmentach — tekst, który uznamy za najzabawniejszy. Tekst będzie stanowić dla nas drogowskaz, jaką niby drogą podążać należy, a gdy już wrócimy do gastronomii, każdy z autorów-laureatów zostanie zaproszony na przewspaniały bankiet.

Za lipiec jako pierwszy wpisuje się na listę KLAKSON z felietonem „Nasz system kartkowy" pomieszczonym w „Szpilkach" z dnia 29.VII. br.

Autor odpowiada młodej mężatce, która grymasi na poradnie przedmałżeńskie twierdząc, iż życie płciowe to ona zna, bo prowadzi je od ósmej klasy, nie potrzebuje tedy pouczeń w tej materii chciałaby natomiast wiedzieć, co, jak i dlaczego dają u nas na kartki, bo wyprowadziwszy się od mamusi nie umie sobie z tą kwestią poradzić.

Odpowiedź na to zażalenie — ze skrótami niestety — cytujemy:

„Bez kartek sprzedawane jest wszelkie mięso, które za życia pływa: od ryby czy raka poczynając, na kaczce kończąc. Niereglamentowane są też wydzieliny stworzeń wodnych np tran i kawior. Bez kartek sprzedaje się także mięso zwierząt, które biegają o ile robią to one szybko. Chodzi o zwierzęta zaliczane do dziczyzny jak: sarna, zając, dzik, kuropatwa. Nie podlega reglamentacji drób: gołębie, bażanty, perliczki, indyczki. Wyjątkiem paradoksalnym — kura. Paradoksalnym dlatego, że akurat kur mamy najwięcej. Tylko na kartki sprzedaje się mięso ssaków hodowlanych, z wyjątkiem konia, królika, nutrii, a ostatnio także krowy. Wołowina jest częściowo na kartki, a częściowo bez, przypuszczalnie dlatego, że zwierzę to pływa, choć tylko w ostateczności, w zasadzie jest więc lądowe, ale wodne trochę także.

(...) Mleko chude nie jest reglamentowane, natomiast tłuste tak, lecz mleko jeszcze tłustsze, zwane w Polsce śmietanką, znajduje się w wolnej sprzedaży. Omijanie reglamentacji mleka tłustego przez mieszanie chudego ze śmietanką jest możliwe, ale jeszcze nikt na to nie wpadł, dzięki czemu system reglamentacji uchodzi za logiczny.

Reglamentowane jest masło, lecz masło solone niekiedy nie. Margaryna powstaje z wymieszania niereglamentowanego mleka z niereglamentowanym olejem po skwaśnieniu obu substancji. Wynika z tego, że istotą reglamentacji jest tu przetwórstwo, a nie półprodukty. Na kartki margarynowe można kupić słoninę albo masło z solą. Sól bez masła znajduje się w wolnej sprzedaży.

(...) Kartki papierosowe wymieniane są na papierosy lub cukierki, albo wina i szampany. Człowiek, który ma kartkę alkoholową nie może wybrać: czy chce do kolacji wypić wódkę czy wino. Reglamentator inaczej pogrupował uciechy: wódka i wino albo wódka i papierosy albo wino i kawa. Picie wina i palenie zostało wykluczone".

Dalej też jest śmiesznie, ale miejsce — też reglamentowane — już się nam kończy. Żałujemy i gratulujemy Klaksonowi.

ZESPÓŁ KOLUMNY AJENCYJNEJ

Lektury przy jedzeniu

Wiele gazet i czasopism — w tym niezawodny „Przekrój", choć nie tylko — publikuje porady kulinarne, dostosowane do naszych skromnych możliwości, oszczędnościowe niejako. Nie chcąc wchodzić kolegom w paradę postąpimy dokładnie odwrotnie: naszych przepisów nie da się co prawda zrealizować poczytać można je jednak z prawdziwą przyjemnością. Polecamy zwłaszcza lekturę przy jedzeniu. Konsumujemy — dajmy na to — kaszankę, a ukochana żona czyta nam w tym czasie na głos jak przyrządzić

KIEŁBASĘ ŻMUDZKĄ

8 kg dobrego mięsa wieprzowego, 2 kg wołowiny, 10 dkg cukru, 100 g spirytusu, 10 dkg przypraw (pieprz, ziele angielskie, czosnek, majeranek, cebula), cienkie jelita wieprzowe.

Z mięsa wieprzowego i wołowego usunąć błony i przylegający tłuszcz. Drobno pokrajać, posypać solą i zostawić w bardzo chłodnym pomieszczeniu przez 2—3 dni. Po upływie tego czasu mięso przepuścić przez maszynkę, dodać cukier, przyprawy oraz spirytus i dobrze wyrabiać rękoma przez 1 godz. Masę upchać do jelit i surowe kiełbasy przechowywać w chłodnym miejscu przez jeszcze jedną dobę. Powiesić w wędzarni i wędzić 2 dni w dymie chłodnym i 2 dni w gorącym.

Przechowywać w chłodnym pomieszczeniu. Tak przyrządzona kiełbasa przechowuje się ok. 8—10 miesięcy.

(Przepis z książki „Kołduny, pyzy i inne przysmaki" Biruty Markuzy Bienieckiej)

1 Zdarzenia i zwierzenia

„Bal w operze" i cenzura

Prawie pół wieku po napisaniu wydano po raz pierwszy w edycji książkowej i po raz pierwszy w pełnym kształcie „Bal w operze" Juliana Tuwima. W okresie międzywojennym całość nie mogła się ukazać ze względów cenzuralnych — po wojnie, o paradoksie! — również. Tyle, że przed wojną przeszkody były polityczne — po wojnie zaś zarzucono poematowi „pornografię i bluźnierstwo".

Myślę, że przy tej okazji warto przypomnieć pewną dwoistość stosunku do ceuzury, jaką zaprezentował Julian Tuwim. Była to dwoistość wywodząca się w prostej linii z tzw. filozofii Kalego: „Jak Kalemu ukradna krowę — to wielki grzech — jeśli jednak Kali ukradnie komuś krowę — to dobry uczynek".

Tuwim i jego przyjaciele gwałtownie atakowali cenzurę międzywojenną, która kwestionowała niektóre teksty poety. Na przykład Jan Lechoń przy okazji głośnego sporu o wiersz „Wiosna" pisał: „protestujemy stanowczo przeciwko usiłowaniu narzucenia nam cenzury, mamy bowiem pełne obywatelskie i artystyczne prawo do tej swobody, która jest warunkiem rozwoju twórczości".

Miał Lechoń całkowitą rację. Kiedy jednak — już po wojnie — ukazały się głosy krytyczne o „Balu w operze" Julian Tuwim pisał: „Zamiary te udaremniła cenzura, która artykuł w „Gazecie Ludowej" mocno złagodziła, a innych po prostu nie puściła. Bardzo słusznie...".

Tak więc to co było całkowicie niesłuszne wobec tekstów poety — okazało się „bardzo słuszne" wobec głosów krytycznych. Osobiście uważam, że krytycy poematu racji akurat nie mieli, ale przecież nie o racje tutaj szło lecz o dwoisty stosunek do cenzury. „Jest zła kiedy mnie dotyczy — jest dobra, gdy chroni mnie przed krytyką".

No cóż, nawet najwybitniejsi poeci nie są czasem w stanie wznieść się ponad własne podwórko. I w ten sposób Tuwim kwestionował „pełne obywatelskie i artystyczne prawo do swobody" tych, którzy — mniejsza o to słusznie czy nie — odważyli się na głos krytyczny. Wówczas udawał się pod opiekę cenzury która nie puszczając krytycznych tekstów postępowała — jak pisał — „bardzo słusznie".

Szczerze mówiąc, do pewnego stopnia Tuwima rozumiem. Cała jego międzywojenna twórczość upłynęła pod znakiem nieprzytomnych ataków ze środowisk endeckich, katolickich, a nawet lewicowych.. Zaczęło się to już w 1918 roku głośną „Wiosną" drukowaną w studenckim „Pro Arte et Studio" — a potem co jakiś czas sypały się gromy, kalumnie i wyzwiska na głowę poety. Trudno się dziwić, że spowodowało to zapewne głębokie urazy.

Wśród międzywojennej publicystyki Tuwima sporo miejsca zajmują różnego rodzaju polemiki, wyjaśnienia i odpowiedzi na artykuły krytyczne. Czytamy dziś te publikacje z rozbawieniem, ale i z niejakim zdumieniem. Ówczesna obyczajowość literacka była bowiem tego rodzaju, że nie przebierano w słowach i argumentach.

Na przykład poecie Stanisławowi Młodożeńcowi zarzuca Tuwim współpracę z „bolszewickim „Płomykiem" oraz to, że publikował wiersze w antologii... „wydanej przez trzech Żydów z których jeden pojechał potem szukać wolności w Sowietach". Chodziło oczywiście o jednodniówkę futurystyczną i Brunona Jasieńskiego.

O poecie Józefie Aleksandrze Gałuszce pisze, że „polszczyzną pańską będą polskie matki straszyły dzieci polskie". Inna rzecz, iż Gałuszka zarzucił Tuwimowi twórczość w żydowskim żargonie co było kompletną bzdurą i mogło poetę wyprowadzić z równowagi.

W tym czasie Tuwim nie korzystał z ochrony cenzury. Nikt na przykład nie zakwestionował nieprawdopodobnego zdania w felietonie Adolfa Nowaczyńskiego który napisał: „niechże sobie Tuwim na gałązce zadynda...". Tak, tak „szubieniczne polemiki" mieliśmy także w czasach Najświętszej Rzeczpospolitej, a zóźiczenie obyczajów nie jest wymysłem lat osiemdziesiątych.

Jak więc widać urazy Tuwima były zrozumiałe i owa dwoistość stosunku do cenzury ukazuje się nam w nieco innym świetle. I właśnie w celu oświetlenia owych zapomnianych już spraw przypominam te parę zdarzeń na marginesie „Balu w operze".

JERZY WILMAŃSKI ■

2 Lewym okiem

Świat paskudnych kretynów

Nie mam zamiaru wybrzydzać dzisiaj na jeszcze jedno zjawisko, tym razem z zakresu sztuki dawniej nazywanej piękną ani też oceniać tego zjawiska z pozycji „kiedyś było tak ładnie, a dziś — co się to porobiło!" Chcę spróbować wyciągnąć jakiś uogólniający wniosek — może sprawa warta takiej próby?

Chodzi mianowicie o drobiazg, który może Państwo zauważyliście: o panujący styl rysunków satyrycznych, o sposób satyrycznego przedstawiania ludzi. Satyra jest po to, żeby ośmieszać. Ale rysowani ludzie nie są śmieszni, dawno już takimi być przestali. Są obrzydliwi. Mają zawsze wybałuszone oczy, wywalony na wierzch język, cieknie im z gęby. Są zawsze kretyńsko, obleśnie uśmiechnięci, ten obrzydliwy kretynizm bije z całej postaci i z wyrazu twarzy, zdeformowanej w kierunku jak największego znikczemnienia i zeszmacenia.

Narzuca się wrażenie, że autorzy nienawidzą rodzaju ludzkiego; każdy z nich pastwi się nad swym wyobrażonym modelem, czyni z niego wstrętnego, oślizgłego płaza, jakby chciał wywołać w odbiorcy jedno dominujące odczucie: niesmak. Ludzie na łamach pism satyrycznych są niesmaczni, budzą nieodmiennie odruch wstrętu. Cały świat, zaludniony takimi typami, jest obrzydliwy. Nie bywa groźny, śmieszny, grupi, zawistny, nie budzi protestu, gniewu — budzi po prostu wstręt, jak śmierdzące żeberka, jak nie sprzątany nigdy szalet na stacji kolejowej.

Artyści dają zawsze najdobitniejszy wyraz swojej epoce, choćby nawet nie czynili tego w sposób zamierzony. Widocznie bardzośmy się do świata zdegustowali. I to bardziej my — tutaj, na naszym kawałku planety — niż mieszkańcy odmiennych kultur. Takiego stężenia jadowitej niechęci do wszystkiego, takiego budzącego odruch wymiotny wstrętu do ludzi nie spotkacie ani w satyrycznej grafice żadnego kraju socjalistycznego, ani w Republice Federalnej, Anglii czy Ameryce. Może jeszcze najczęściej we Francji, którą zawsze neoficko staramy się naśladować i zawsze w tym neoficko przefajnujemy. Ale i Francja bardziej się śmieje niż odwraca ze wstrętem oczy.

Zdegustowaliśmy się tym światem i nasi artyści co okazja to zdają się nam sugerować: patrz, jakie to paskudne, jakie to łajno nieprzebrane, odwróć się, uciekaj...

Można się odwrócić, trudniej uciec — bo dokąd? W mizantropię? Tysiące małych, codziennych zdarzeń, czy raczej chamskich zderzeń, pcha nas ciągle w tym kierunku. Niechby sztuka pomogła stawić opór, zamiast przynaglać do ucieczki. Niechby też przynajmniej czasami dała nam porcję zwyczajnego ludzkiego śmiechu, zwłaszcza że w tym celu przecież nabywamy wcale nie tanie pisma humorystyczne, zamiast epatować coraz wymyślniejszym grymasem chorobliwej abominacji.

WŁODZIMIERZ KRŻEMIŃSKI (ĆWIEK) ■

4 Spojrzenie znad szachownicy

Seans spirytystyczny

Nie bardzo, prawdę powiedziawszy, byłem pewien czy Mądry Człowiek — spotkany hen na suwalszczyźnie — nie robi ze mnie tak zwanego balona, ale jeżeli ktoś obiecuje seans spirytystyczny, to czemu nie, niech będzie seans.

Czynię więc, co mi kazano. Kupuję na kartkę pół litra, a potem — na szlachetniejsze alkohole kartki akurat znieśli — jeszcze pół, bo — mówi Mądry Człowiek — „...duch może okazać się pijący".

Ciemną, duszną nocą całym towarzystwem idziemy nad jezioro. Mądry Człowiek każe włożyć półlitrówki do wody, żeby się ochłodziły. Wkładam. Potem rozkłada na ziemi arkusz papieru, siada na pieńku, zdejmuje lewy but, między wielki palec u nogi a sąsiedni wciska długopis i każe nam zrobić krąg, trzymając się mocno za ręce.

— Nogą, zwłaszcza lewą — wyjaśnia — za cholerę nie umiem pisać, ale w czasie seansu noga zaczyna mi dygotać i jakieś kulfony same rysują się na papierze. Trochę trudno czytać, jednak przy silnej latarce można.

No dobrze. Wypijamy po jednym na rozgrzewkę, potem po drugim, robimy ten krąg — siedząc zresztą w kucki, bo pieniek, jak na złość, jest tylko jeden — Mądry Człowiek coś mamroce, mamroce, aż wreszcie pyta na głos:

— Duchu, czy jesteś?

— Jestem — pisze lewa noga Mądrego Człowieka.

— A jak cię zwać, duchu?

— Beniek — pisze noga — Tu wszyscy jesteśmy po imieniu.

— Teraz pan pytaj — mówi Mądry Człowiek do mnie.

Robi mi się jakoś głupio, mętnie, niewyraźnie, nie bardzo wiem od czego zacząć, więc bąkam:

— Czy grają tam u was w szachy?

— Prawdopodobnie — gryzmoli noga Mądrego Człowieka — Ale spytaj pan o to Olka.

— Jakiego Olka?

— Alechina.

Wszystko się niby zgadza, bo Alechin był Aleksander, a oni tam są po imieniu.

— A czy łatwo zostać wampirem? — przechodzę wreszcie do właściwego tematu.

— Zależy — odpowiada noga.

— Od czego?

— Od cierpliwości.

Dalej będę już streszczał, bo ta wymiana pytań i odpowiedzi trwała dosyć długo, zwłaszcza że Beniek okazał się istotnie pijący i Mądry Człowiek co i rusz kazał sobie nalewać. Na lewą nogę — dla Bońka i na prawą — żeby Beniek nie pił w samotności. Dla nas już nie starczyło, zresztą — jak się dowiedziałem — uczestnicy seansu muszą być obowiązkowo trzeźwi. Medium i duch — nie muszą.

No więc na tamtym świecie jest tak, że każdy ma to, w co wierzył, słowem jeżeli ktoś w nic nie wierzył — nic też nie ma.

Po wtóre — i to po wtóre jest jakby najważniejsze — każde absolutnie życzenie musi być spełnione, pod warunkiem, że nie jest sprzeczne z zasadami ogólnymi, czymś w rodzaju pozaziemskiej konstytucji. Konstytucja jest dość rozległa i żeby ją dobrze poznać nawet najzdolniejsi potrzebują do tysiąca lat. Dlatego też, dla ułatwienia po prostu, istnieją odpowiednie urzędy i jak się tylko złoży podanie otrzyma się bezwarunkowo odpowiedź i to zawsze pozytywną.

Tak się ucieszyłem, że już chciałem umierać i przeistaczać się w wampira, ale noga Mądrego Człowieka napisała:

— Chwileczkę.

(Noga, jak sądzę, była już w trupa pijana i dlatego zamiast „l" pisała odtąd „ł").

Tu zaczęła się dłuższa wymiana zdań, którą po części Mądry Człowiek odcyfrował dopiero nazajutrz, ponieważ — za radą ducha tj. Bońka — noga przeszła na stenografię i rysowała głównie jakieś esy floresy.

Ogólnie obraz jest mniej więcej taki. Każde podanie istotnie musi być załatwione pozytywnie, ale po pierwsze jeżeli jest w zgodzie z zasadami ogólnymi (jedna z zasad mówi np. NIE RÓB DRUGIEMU, CO TOBIE NIEMIŁE nie można więc nawet najbardziej wrednemu duchowi dać legalnie w zęby, o ile ten wredny duch tego nie lubi), po drugie — termin pozytywnej odpowiedzi może być dowolnie odległy.

— Tu mamy dużo czasu — napisała noga wyjątkowo wyraźnie.

Aby zostać wampirem trzeba złożyć podanie o odpowiednie ciało, gustowne, wysterylizowane i akredytowane na Ziemię. Ciała mogą być różne: kwaterunkowe, spółdzielcze, własnościowe i po protekcji. Na ciało kwaterunkowe — twierdził Beniek — czeka się do tysiąca lat, na spółdzielcze — połowę krócej. Własnościowe może być po głupim stuleciu, a po protekcji zaraz.

— Czy ma pan tam jakąś protekcję? — spytała noga.

— Chyba nie mam — wyjęczałem — Na Ziemi nie mam, to i tam nie mam.

— To poczekaj pan, aż ja umrę — powiedział Mądry Człowiek. Mało elegancko wypił nie czekając na Bońka, tj. od razu na prawą nogę, wrzasnął „Za tych, co na morzu!", zachybotał się, zleciał z pieńka i natychmiast zasnął.

Seans spirytystyczny był skończony. Co miałem robić, pełen niesmaku wróciłem do codzienności tj. do „Odgłosów" jako całkiem zwykły.

JERZY P. ■

(jeszcze wciąż nie wampir)

3 Sport

Czy mogło być lepiej?

Chciałabym przypomnieć dwa przysłowia: „Mądry Polak po szkodzie", o czym dobrze wiemy i o czym coraz to się od nowa przekonujemy. I drugie — „tam, gdzie kucharek sześć nie ma co jeść". Oba te przysłowia — jak tak się dobrze zastanowić — odnoszą się do naszych umiejętności... organizacyjnych.

Gdy Mundial był w pełnym toku, my przed telewizorami, a także paru panów w telewizorze, sililiśmy się na różnorodne ekspertyzy, udawaliśmy znawców i dobrze bawiliśmy się, przeżywając rozczarowania i zachwyty. Marząc i tracąc nadzieję. A oni tam... nie mogli spać i to przed meczem właściwie decydującym, przed meczem z Włochami. I nie dlatego, że byli zdenerwowani. Po prostu — mieszkali pod Barceloną w hotelu bez klimatyzacji. Tracili formę. Oto, co na ten temat powiedział Piotr Mowlik w wywiadzie dla „Przeglądu Sportowego":

— „My nie mieliśmy ani klimatyzacji, ani basenu. W Barcelonie panowały 45-stopniowe upały. Na basen trzeba było jeździć cztery kilometry, co dodatkowo męczyło zawodników. Ale najgorzej było w nocy. Człowiek się budził mokry, myślał, że jest w łaźni. Potem pędził do lodówki z chłodnymi napojami. Wypijaliśmy kilka litrów płynów dziennie. Spaliśmy tylko po trzy, cztery godziny. Straciliśmy tam całą formę, co było najlepiej widać podczas meczu z Włochami. (...)"

I jeszcze:

„...chłopcy odczuli pobyt w tym fatalnym ośrodku. Podczas spotkania z ZSRR już brakowało kondycji, a w meczu z Włochami przyszedł kryzys. Następnie pojechaliśmy na południe do Alicante. Tam było jeszcze cieplej, ale mieszkaliśmy w hotelu z klimatyzacją. Organizmy zawodników trochę wypoczęły i od razu uwidoczniła się zwyżka formy".

I konkluzja:

— „Uważam, że pobyt w tym ośrodku (chodzi o pobyt w hotelu bez klimatyzacji pod Barceloną — B. M.) przekreślił nasze szanse na zdobycie mistrzostwa świata".

Można się z takim poglądem zgadzać, można się nie zgadzać, ale nie można zaprzeczać faktom, jak to usiłował zrobić prezes PZPN, Włodzimierz Reczek oskarżając „PS" o złośliwość i „fałszywe a nawet kłamliwe stwierdzenia". Najprościej jest bowiem obrazić się na krytykę. Stara to, wypróbowana i mało skuteczna metoda.

Jest bowiem faktem — tak wszyscy utrzymują — że organizatorzy opłacali pobyt 30-osobowej ekipy. Polska ekipa liczyła 44 osoby, 22 zawodników i 22 osoby towarzyszące. Prosty rachunek: 44 minus 30 daje 14. A więc 14 osób żyło na koszt reszty, przez co trzeba było obniżyć stawki dla wszystkich, aby te 14 osób mogło być w Hiszpanii. Czy musiało?

Sytuacji już nic nie zmieni, ale może wreszcie Polak zacznie być mądry przed szkodą. Może wreszcie zrozumie, że oszczędność jest trudną i skomplikowaną sztuką. Kto szybko i nierozsądnie, nieprzemyślanie daje, ten dwa razy daje. Do Madrytu, po polskich piłkarzy wysłano IŁ-18, któremu po starcie nie zamknęło się podwozie i który przymusowo, ponownie musiał lądować w Madrycie. Drugi samolot wysłany z Warszawy — IŁ-62 — bardziej już się nadawał do latania i przywiózł cało 70-osobową ekipę, razem z dziennikarzami, do Warszawy. Gdyby od razu poleciał do Madrytu sprawniejszy samolot, może wydano by trochę więcej pieniędzy, ale i tak mniej niż wydano za dwa loty.

Trudno mi wyrokować, czy 22 osoby towarzyszące były konieczne, ale, w myśl przysłowia o 6 kucharkach, pewne fakty nasuwają wątpliwości. Okazuje się, że przegapiono rezerwację ośrodka w okolicy Barcelony i Argentyna nas ubiegła. Okazuje się, że w Madrycie piłkarze nie otrzymali kart wstępu na stadion i mecz finałowy oglądali w... telewizji. Francuzi zresztą też, ale przynajmniej zaprotestowali w FIFA. Kierownictwo naszej ekipy nie zdobyło się na to. Szkoda, bo o swoje prawa należy się upominać również w FIFA.

Wśród 22 osób towarzyszących zabrakło jakoś miejsca dla dr Jerzego Wilkoszyńskiego — fizjologa, który przed Mundialem zajmował się badaniami wydolności organizmu zawodników kadry. Być może, gdyby był na miejscu, zwróciłby uwagę na te, czy inne objawy sygnalizujące wyczerpanie organizmu zawodników. W rezultacie Waldemar Matysik, który na mundialowych boiskach harował ponad siły, po powrocie do kraju poszedł.. do szpitala. Właśnie z powodu nadmiernego wyczerpania organizmu.

Cieszymy się z sukcesu polskiej drużyny, ale im dalej od Mundialu, tym więcej dowiadujemy się, jaką cenę zapłacili za to zawodnicy. Sądzę, że warto o tym pamiętać, przygotowując się do mistrzostw Europy i do następnego Mundialu w Kolumbii. Czasu niby dużo, ale bądźmy mądrzy przed szkodą i pamiętajmy, że im mniej kucharek, tym obiad szybciej ugotowany i smaczniejszy.

BOGDA MADEJ ■

Bomba „A" dla ubogich

HENRYK SROCZYŃSKI

Wbrew powszechnemu przekonaniu, wyprodukowanie bomby atomowej wcale nie jest rzeczą trudną. Potrzebne jest przede wszystkim 6 kilogramów plutonu. Instrukcje pomocnicze do skonstruowania takiego ładunku systemem „zrób to sam" zawiera wiele publikacji specjalistycznych. Tabele z podstawowymi wyliczeniami wysyła za zaliczeniem pocztowym Amerykańska Komisja d.s. Energii Atomowej, a broszurę pt. „Manhattan District History Projekt Y", która zawiera szczegółowe objaśnienia budowy pierwszej amerykańskiej bomby atomowej, przesyła, po opłaceniu kilku dolarów, Federalny Urząd Służb Technicznych w USA. Rzecz jednak w tym, że pluton prawie w ogóle nie występuje w przyrodzie, a jego producenci — mocarstwa atomowe, nikomu go nie odstępują. Ale i tę przeszkodę, jak udowodniły to swą eksplozją atomową Indie w 1974 r., można pokonać.

PLUTON Z REAKTORA

Paliwem dla elektrowni atomowej jest wzbogacony uran. Normalnie paliwo reaktora nie nadaje się do produkcji broni atomowej, bowiem nie zawiera wystarczającej ilości izotopu U-235; właśnie tylko wielkie mocarstwa posiadają urządzenia do oddzielania izotopów, z których można produkować uran nadający się do konstrukcji bomby atomowej.

Z drugiej jednak strony każdy reaktor przeznaczony do produkcji energii elektrycznej wytwarza podczas procesu rozszczepiania — pluton. Pluton z prętów paliwowych wymaga jednak oczyszczania z zużytego uranu i innych odpadów. Powstaje więc konieczność budowy zakładu przerobu paliwa wypalonego.

Stąd opanowanie tej skomplikowanej techniki przerobu zużytego paliwa dla uzyskania plutonu, nadającego się do produkcji bomby atomowej — „bomby z lat czterdziestych" czy po prostu znalezienie firmy, która podjęłaby się dostarczenia odpowiedniej aparatury, stanowi przedmiot największych zabiegów amatorów posiadania broni jądrowej.

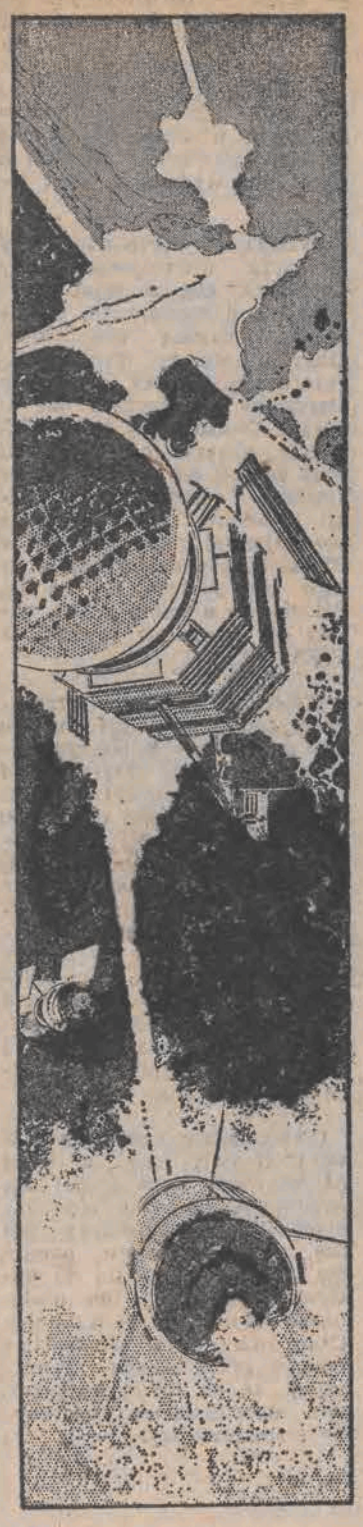

Przykład Indii dowodzi, że wyprodukowanie bomby „A" w krajach posiadających średnio rozwinięty przemysł chemiczny oraz elektromaszynowy jest możliwe, nawet bez zakupu urządzeń do separacji plutonu. Posiadając dostarczony przez Kanadę reaktor doświadczalny i korzystając z amerykańskich dostaw paliwa, Indie same, w oparciu o własną technologię, odseparowały pluton i potrafiły zbudować urządzenia wybuchowe.

PROLIFERACJA

Huk indyjskiej eksplozji atomowej przestraszył supermocarstwa. Stało się bowiem jasne, że również inne kraje Trzeciego Świata będą chciały wejść do klubu atomowego. Kwestie prestiżowe i chęć wystąpienia przeciwko egoizmowi Wielkich, stworzyły też korzystny klimat do proliferacji atomowej. Po eksplozji indyjskiej nauczono się też, że państwo dążące do posiadania bomby musi przede wszystkim unikać odkrywania kart. Przeciwnie — powinno jak najgłośniej proklamować swe pokojowe intencje, podkreślać swe potrzeby energetyczne i naukowe, a jeśli już dochodzi do wybuchu — utrzymywać, że idzie tu o eksplozję „cywilną".

Nierozprzestrzenianiu broni nuklearnej ma zapobiec zainicjowany i wynegocjowany przez ZSRR, Stany Zjednoczone i Wielką Brytanię układ NPT — Noproliferation Treaty, podpisany w 1968 roku. Układ ten wraz z porozumieniem z roku 1963 w sprawie zakazu prób jądrowych w atmosferze, miał być główną przeszkodą w anarchicznym mnożeniu się bomb. Ale jak dowiodła praktyka — istniejące zakazy bardzo kiepsko wytrzymują próbę życia.

Układ NPT zakazuje krajom dysponującym bronią nuklearną przekazywania jej w jakiejkolwiek formie państwom nie posiadającym tej broni: te drugie zaś zobowiązują się, że nie będą jej produkowały lub nabywały. Słabości układu tkwią w trzech dziedzinach.

Po pierwsze — podpisało go tylko 105 krajów, a na liście „opornych" figuruje 40 państw, w tym niemal wszystkie kraje znajdujące się w skomplikowanej sytuacji politycznej a m.in. Izrael, RPA i Pakistan oraz wiele krajów potężnych jak Brazylia, Argentyna, Arabia Saudyjska, Hiszpania, Turcja.

Po drugie — wprawdzie układ NPT zakazuje posiadania broni jądrowej, ale pozwala najspokojniej przebyć całą prowadzącą do tego drogę i to aż do „ostatnich pięciu minut". Jak stwierdził amerykański profesor, Wohlstetter „państwo nie posiadające broni atomowej, może dziś, nie łamiąc wziętych na siebie zobowiązań nieprodukowania bomby, być bliżej przeprowadzenia wybuchu na bazie plutonu, niż Stany Zjednoczone wiosną 1947 r. kiedy to świat uważał nas, nie tylko za potęgę nuklearną, ale za jedyną potęgę nuklearną".

Po trzecie — niedostatki polityczne układu NPT nie tylko nie zniknęły z upływem lat, ale przeciwnie — nasiliły się. Wprowadzając zasadniczy podział na kraje nuklearne — które nie zobowiązują się do niczego poza zatrzymaniem dla siebie swej broni i kraje nienuklearne, jedyne które zostały poddane kontroli, układ nosi cechy dyskryminacyjne. Tym ostatnim państwom, nie daje bowiem żadnej rekompensaty jak na przykład uprzywilejowania w zakresie zakupu urządzeń czy materiałów rozszczepialnych.

Te słabości układu NPT oraz fakt, że zaostrza się konkurencja w eksporcie materiałów rozszczepialnych i urządzeń nuklearnych, skłoniły grupę państw eksporterów do zawarcia gentleman's agreement o sposobach realizacji ich zobowiązań z tytułu NPT. Do porozumienia tego, które stanowiło ważny element kontroli w eksporcie urządzeń i „wrażliwych technologii" do krajów nie będących sygnatariuszami układu o nieproliferacji, przyłączyło się ponad 20 krajów.

Następnym ważnym krokiem służącym ograniczeniu eksportu „wrażliwych technologii" stało się powołanie nieformalnego „Klubu Londyńskiego", który początkowo skupiał 7 państw eksportujących materiały rozszczepialne i technologię jądrową, a który obecnie liczy kilkunastu członków (do udziału w jego pracach zaproszono także Polskę). Klub Londyński ustalił dodatkowe zasady eksportu „wrażliwych technologii", zaostrzając w tej dziedzinie międzynarodową kontrolę. Dotychczas przyjęte zasady eksportu materiałów i urządzeń jądrowych nie przewidują jednak rzeczy najważniejszej: zgody odbiorców — jako warunku realizacji dostaw — poddania całej ich pokojowej działalności jądrowej nadzorowi i kontroli ze strony Międzynarodowej Agencji Energii Atomowej.

CORAZ WIĘCEJ ATOMU

Wyścig zbrojeń atomowych nie obciąża więc tylko wielkich mocarstw. Ulegają mu również średnie i małe kraje. A oto niektóre z państw o „ambicjach atomowych".

Argentyna „Argentyna będzie dysponować w przyszłym roku własną fabryką plutonu, umożliwiającą jej produkowanie broni atomowej, dzięki zawarciu tajnego porozumienia z doświadczonymi niemieckimi naukowcami, którzy podczas II wojny światowej odgrywali kluczową rolę w nazistowskim wyścigu zbrojeń" — stwierdziła BBC w programie telewizyjnym w dniu 19 kwietnia br. Program ukazał film o budowie zakładów atomowych w pobliżu lotniska w Buenos Aires, w którym ma być produkowany pluton.

Jak informowała telewizja brytyjska, czołowy specjalista od atomistyki, Walter Schnurr, „zaginął" po wojnie, aby przez 10 lat pracować w Argentynie. Ujawnił się w roku 1958 i zaraz też został zaproszony do powrotu do Niemiec przez Franza Josefa Straussa, wówczas ministra energetyki. Schnurr zbudował reaktor atomowy w Karlsruhe i próbował wykorzystać go do produkcji elektryczności, co się jednak nie powiodło. Natomiast reaktor ten jest idealny do wytwarzania plutonu dla celów zbrojeniowych.

Wkrótce po tym, drugi podobny reaktor, według tego samego wzoru, został zbudowany w Argentynie. Od roku 1983 Argentyna będzie zdolna wytwarzać 20 ton plutonu rocznie. Admirał Castro Madero mówiąc o planach nuklearnych stwierdził, że Argentyna w dalszym ciągu będzie odmawiać przystąpienia do układu o nieproliferacji broni jądrowej i że rezerwuje sobie prawo do sprzedawania plutonu swobodnie, według własnego wyboru.

Brazylia Brazylijski fizyk i były wojskowy Antonio Didier oświadczył, że kraj ten może stać się przed rokiem 1990 państwem nuklearnym. Didier, który od 1960 r. uczestniczy w realizacji projektów nuklearnych, stwierdził, że brazylijski program jądrowy cieszy się wielkim poparciem ze strony wojskowych.

Władze brazylijskie oficjalnie wielekroć zapewniały, że ich program służy wyłącznie celom pokojowym — produkcji elektryczności. Komentatorzy zagraniczni zaznaczają jednak, że zachodnioniemiecko-brazylijskie porozumienie o budowie reaktorów, któremu USA starały się zapobiec, przewiduje również dostawę zakładów wzbogacania i przetwarzania zużytych paliw jądrowych.

Kontrakt z RFN dający w przyszłości szanse uzyskania przez Brazylię broni jądrowej, został też w wyniku presji Stanów Zjednoczonych, a następnie trzech krajów europejskich — Holandia, Wielka Brytania i RFN, które uczestniczą w budowie urządzeń do wzbogacania uranu w Brazylii, poddany ostrzejszej kontroli. Brazylia wyraziła zgodę na kontrolę urządzeń do uzysku plutonu przez Międzynarodową Agencję Energii Atomowej, ale w dalszym jednak ciągu nie podpisuje układu o nierozprzestrzenianiu broni jądrowej. Wciąż też nalega, aby kontrola jakiej się poddała, nie była „dyskryminująca".

Izrael W wydanej przed paroma laty biografii b. premiera Ben-Guriona, zawarte są informacje, z których wynika, że już w 1961 r. Izrael zbudował reaktor jądrowy zdolny do produkowania plutonu. Prezydent D. Eisenhower przesłał Ben-Gurionowi ultimatum z żądaniem dopuszczenia ekspertów amerykańskich do tajnego reaktora badawczego w pobliżu Dimona. Ultimatum miało formę noty i domagało się odpowiedzi tego samego dnia. Premier zgodził się na kontrolę ze strony inspektorów amerykańskich. Ale zakłady te, w wyniku wielu zabiegów, udało się Izraelowi uratować.

Z biegiem lat — według doniesień różnych agencji — przy pomocy plutonu wyprodukowanego w Dimona (obecnie Izrael odmawia dopuszczenia do inspekcji tego ośrodka), państwo żydowskie stało się posiadaczem broni nuklearnej. Swego czasu znany tygodnik amerykański „Time", opierając się na jemu tylko znanych źródłach, podał sensacyjną wiadomość: Izrael posiada 13 bomb atomowych. Miały to być ładunki tej wielkości, jakie użyto w Hiroszimie i Nagasaki.

Wielkim zwolennikiem broni atomowej był Mosze Dajan. Wybitni specjaliści nie sądzą jednak, aby wobec nalegań niektórych wojskowych, wyprodukowano w Izraelu broń atomowa. Niemniej stwierdza się, że Izrael dysponuje atomowym potencjałem, to znaczy techniką potrzebną do wyprodukowania bomby atomowej. Oficjalnie też Tel Aviv głosił, że nigdy jako pierwszy nie wprowadzi broni nuklearnej na Bliski Wschód.

Pakistan Powołując się na informacje ze źródeł rządowych, senator Alan Cranston oświadczył w senacie, że istnieją dowody iż Pakistan dokonuje końcowych przygotowań do prób z bronią jądrową. Jak podał senator, w Pakistanie trwa budowa podziemnej instalacji w górach Baludżystanu, która posłuży próbnej eksplozji.

Wcześniej oficjalnie podano w Islamabadzie (30 sierpnia 1980 r.) o uruchomieniu własnej produkcji uranowych prętów paliwowych. (Tę technologię wśród państw rozwijających się opanowały tylko Indie). Pakistan rozpoczął jednak budowę zakładów wzbogacania uranu — zakład znajduje się w Kahucie koło Rawalpindi. W Indiach istnieje obawa, że w oparciu o własny materiał Pakistan skonstruuje bombę i że pierwszej eksplozji może dokonać na terytorium chińskim.

Pierwsza „islamska bomba atomowa", byłaby poważnym zagrożeniem dla Indii; powstałoby w tym rejonie lokalne ognisko zbrojeń nuklearnych.

Republika Południowej Afryki Doniesienia o przygotowaniach RPA do produkcji broni jądrowej powtarza się od kilku lat. Znana eksplozja nuklearna, jaka miała miejsce 22 września 1979 r. w południowej części oceanu Atlantyckiego, przypisywana jest właśnie temu krajowi.

Wprawdzie w Pretorii zdementowano doniesienia o próbnej eksplozji, ale oświadczeniom rasistowskich władz przeczą fakty zaobserwowane przez satelity radzieckie i amerykańskie. Dokonano m. in. zdjęć rzucających światło na realizację programu produkcji broni jądrowej.

Pierwszy południowo-afrykański reaktor powstał w 1965 r. W 1970 r. z ośrodka w Karlsruhe dostarczono do RPA urządzenie do wzbogacania uranu, które zainstalował koncern „Steag". Już w rok później prezes Rady Energii Atomowej oświadczył, że „nowa metoda wzbogacania uranu umożliwia RPA produkcję własnej broni". Głośnym echem odbiło się też w świecie doniesienie zachodnioniemieckiego tygodnika „Der Spiegel" (w 1980 r.), według którego „Steigerwald Strahltechnik" dostarczyła na południe Afryki urządzenia do produkcji broni jądrowej. Pretoria odmówiła podpisania międzynarodowego układu o nierozprzestrzenianiu broni nuklearnej.

Taiwan. Już niejeden raz w prasie amerykańskiej pisano, że grupa wykształconych na Zachodzie specjalistów pracuje nad „dostosowaniem Taiwanu do ery atomowej". Zarówno Chiny, jak i inne kraje bacznie obserwują postępy wyspy w badaniach atomowych, a zwłaszcza zwraca się uwagę na to co się dzieje w Instytucie Badań Jądrowych, znajdującym się w rozległym kompleksie żelazobetonowym na południowy zachód od Taipei.

Instytut posiada kanadyjski doświadczalny reaktor — jest on tej samej mocy co pierwszy reaktor indyjski, który, jak wiadomo, doprowadził do przeprowadzenia pierwszych prób atomowych przez Delhi. Jeszcze przed paroma laty amerykańscy eksperci prowadzący badania nad rozwojem atomistyki na Taiwanie stwierdzali, że kraj ten realizuje program głowic jądrowych „planując poszczególne doświadczenia na komputerach, podobnie jak czynią to Izraelczycy".

Władze taiwańskie głoszą: wprawdzie rząd jest w stanie wyprodukować broń jądrową, jednakże nigdy tego nie uczyni, ponieważ nie może się pogodzić z tym, że mogłaby ona zostać użyta przeciwko chińskim rodakom na kontynencie.

Ludzkość nigdy nie wyróżniała się poczuciem odpowiedzialności zbiorowej, trudno się więc dziwić, że niebezpieczeństwa związane z wyścigiem po atom rosną. Wątpliwy atut jakim dla państw niezamożnych jest bomba „A", może okazać się katastrofalny w skutkach.